

Naciągacze

ERIC

GARCIA



Garcia Eric

Naciągacze

Roy i Frankie są oszustami, którzy żyją z robienia przekrętów. Roy jest perfekcjonistą, cierpi na nerwicę natręctw, ma obsesję na punkcie czystości i porządku, boi się bliskiego kontaktu z ludźmi. Otwiera się dopiero pod wpływem czternastoletniej córki, odnalezionej po latach. Roy nawiązuje bliski kontakt z Angelą, stopniowo uspokaja się, nabiera radości życia. Jego wspólnik namawia go na ostatni numer, do którego, na jej usilne życzenie, Roy wciąga Angelę. Ale sprawy przyjmują nieoczekiwany obrót. Kto teraz okaże się prawdziwym naciągaczem, a kto ofiarą?

Dziesięć

Restauracja jest tego popołudnia niemal pusta, więc Roy i Frankie siedzą przy barze dłużej niż zazwyczaj. Dopóki nie pojawi się więcej klientów, nie ma sensu wyciągać kart. Przy stoliku w głębi siedzi starsze małżeństwo, a naprzeciwko jakaś rodzina, ale ani jedni, ani drudzy się nie nadają. W takim dniu najlepiej jest po prostu czekać. Chodzi o nabieranie wprawy i o przyjemność. Nie ma potrzeby ryzykować. Masz jelenia na muszce, kiedy masz jelenia na muszce, jak mawia Roy. Nic na siłę. Po co marnować amunicję.

Kelnerka, która obsługuje ich prawie codziennie od sześciu lat, przechodzi wzdłuż kontuaru i nie zatrzymując się, dolewa im kawy do kubków aż po sam brzeg. Robi to płynnie i perfekcyjnie niczym balerina, jakby uczyła się tego przez całe życie. Roy mamrocze podziękowanie. Frankie zajada hamburgera.

— Rozchorujesz się od tego — mówi Roy. Kąciki ust ma usmarowane musztardą.

— Od czego?

— Od tych hamburgerów. W zeszłym miesiącu złapała cię podagra i znowu cię złapie.

Frankie wzrusza ramionami. Jego kościste barki ledwie się poruszają pod cienką bawełnianą koszulą.

— Dużo rzeczy cię we mnie denerwuje, co?

— Czasami — odpowiada Roy.

— Jesteś spasionym sukinsynem, a czy ja się ciebie czepiam?

— Czasami.

— A teraz?

— Nie powiedziałem, że się czepiasz. Powiedziałem, że jak ostatnio zjadłeś hamburgera, to... — Roy kręci głową i wyciera usta papierową serwetką. — A pieprzyć to, jedz sobie, co chcesz.

— Dzięki. — Tłuszcz ścieka Frankiemu po brodzie. Uśmiech ma umazany keczupem. Jedzą w milczeniu.

Kelnerka wraca. Tym razem przechodzi za kontuarem i zatrzymuje się. Ma laminowany identyfikator z nabazg-ranym długopisem imieniem: Sandi. Oklapnięte włosy kładą się ciężko na jej ramionach, jakby umyła je w benzynie.

— Bierzecie dziś deser? — pyta.

— Nie — mówi Frankie.

Roy pokazuje na swój kubek. Sandi dolewa mu kawy.

— Posiedzimy jeszcze trochę, kochanie, jeżeli można. Sandi chrząka i odchodzi. Codziennie jest tak samo.

Roy i Frankie zawsze dają jej dobry napiwek i odnoszą się do niej lepiej niż inni, więc pozwala im siedzieć przy barze, jak długo chcą. A kiedy robią to, co robią, patrzy w drugą stronę. Czasami słucha, ale najczęściej woli nie patrzeć.

Frankie pochłania hamburgera i zabiera się do warzyw; chrupie całe krążki surowej cebuli.

— Ten gość, o którym ci mówiłem w zeszłym tygodniu... — zaczyna.

— Ten z portu?

— Mhm, chce się z nami spotkać. On ma po uszy obciążeń, Roy, w każdej chwili mogą go przymknąć...

Roy kręci głową, odgryza kęs razowej grzanki z indykiem.

— Nie teraz — mruczy. — Później się tym zajmiemy.

— Później, tak?

— Później — powtarza Roy.

Frankie wypluwa kawałek cebuli i nachyla się do niego.

— Co z tobą jest? Wszystko odkładasz ostatecznie na później. Nie chcesz na szybko, nie chcesz na spokojnie, a ja nie mam czasu na urlop. Na razie też mam ludzi — mam swoich ludzi, rozumiesz — którzy mi siedzą na karku i tylko mnie wkurzają. Jak mam pokazać kasę, skoro nie zarabiam, wspólniku?

Roy obraca się na wysokim stołku, powoli przesuwając pośladki po winylowym siedzeniu. Wbija wzrok we Frankiego, robiąc swoją słynną minę. Frankie wytrzymuje to spojrzenie; ma chudą twarz o zwiotczałej skórze, oczy nieco zapadnięte, jakby się bały światła. Włosy krótko przycięte i baczki spływające na policzki. Chce być Jamesem Deanem, ale na razie mu nie wychodzi. Roy uważa, że nigdy nie wyjdzie.

— Posłuchaj tylko — zaczyna Roy, lecz jego słowa przerywa podwójny dźwięk gongu. Otwierają się frontowe drzwi i jeleń wkracza na wybieg.

Para studentów, chłopak i dziewczyna. Trzymają się za

ręce, ubrani w bluzy z emblematem uczelni; idą w stronę baru. Gdy tam dochodzą, Roy i Frankie są już na dobre pochłonięci grą, tak jakby od dwóch godzin zajmowali się tylko tym.

— Nie ma sprawy, nie ma sprawy — mówi Frankie, podczas gdy studenci sadowią się na stołkach. — Z taką kartą ja się poddam.

Para siedzi dwa stołki dalej, ale przy zarzucaniu przynęty dwa stołki to tyle co nic. To tuż obok.

— Cholera z tym — rzuca Roy, demonstracyjnie składając talie.

— I tak już za długo gramy.

— Nie, nie, jak chcesz grać, to możemy...

— Daj spokój — mruczy Roy. Zabiera karty leżące przed Frankiem i dokłada je do talii. — Może spróbujemy poprosić o rachunek?

Frankie rozgląda się za kelnerką, wyciągając teatralnie szyję, lecz nie ma jej w zasięgu wzroku. Dobrze wie, że nie powinna się teraz pokazywać. Powinna zniknąć na dłuższą chwilę. Tak właśnie zarabia na swój napiwek.

— Rozumiesz coś takiego? — pyta Roy odrobinę głośniejszym głosem, niż to konieczne. Obraca się nieco w prawo i powtarza: — Rozumiesz coś takiego?

Chłopak, dziewiętnasto-, najwyżej dwudziestoletni, uśmiecha się półgębkiem.

— Człowiek czeka na obsługę, chce zapłacić, a tu... No, ale co można zrobić, prawda?

Chłopak znów się uśmiecha. Już został wciągnięty, choć jeszcze o tym nie wie. Roy odpowiada uśmiechem i zwraca się do Frankiego.

— No to czekamy.

— No to czekamy — mówi Frankie.

I czekają. Mija minuta, dwie, kelnerki w dalszym ciągu nie widać. Kiedy chłopak z dziewczyną przestają rozmawiać i już tylko siedzą w milczeniu, wpatrując się w jadłospis i pusty bar, Roy zaczyna.

— Już wiem, o co chodzi w tej grze.

— W jakiej grze?

— W tej, którą ci pokazywałem w zeszłym tygodniu. Frankie wybucha rubasznym śmiechem.

— Czegoś głupszego w życiu nie widziałem — stwierdza.

— Nie, zaczekaj — upiera się Roy. — Już wiem, co źle robiłem. Już skapowałem i teraz mi wychodzi. — W rękach ma nagle znowu talię kart i przebiera palcami po ich brzegach.

— Słuchaj, nie chcę cię poniżyć ani nic takiego — tłumaczy mu Frankie — ale jesteś beznadziejny w sztuczkach karcianych i szkoda mojego czasu.

— Taki jest cenny ten twój czas?

— Każdemu by było szkoda czasu na gapienie się, jak psujesz sztuczkę.

Roy prostuje się sztywno i wypuszcza głośno powietrze ustami, jakby go ktoś rąbnął w żołądek.

— Co ty tam wiesz — odpowiada. Zbiera się w sobie, przysuwa do kontuaru. — Tylko popatrz, zobaczysz, że ci się spodoba.

Frankie kręci głową, płaska otwartą dłonią o bar. Odchyła się do tyłu, w stronę chłopaka za Royem.

— Słuchaj — mówi i studencik odwraca się do niego, jak było do przewidzenia. — Słuchaj, chcesz zobaczyć, jak mój kumpel robi z siebie głupka?

— Czy to jego prosiłem, żeby popatrzył na moją grę? — obrusza się Roy. — Nie, prosiłem ciebie.

— A mnie to w ogóle nie interesuje. Może jakbym miał towarzystwo...

— Daj chłopakowi zjeść spokojnie lunch. Co będzie patrzył na jakąś głupią...

— Jasne — odzywa się chłopak, jakby już liczył na to, że czegoś się nauczy. I właśnie tak powinno być, myśli Roy. Idzie jak z płatka. — Chętnie popatrzymy.

Roy nie musi nawet ukrywać uśmiechu, który wykwita teraz na jego twarzy, uśmiech jest bowiem w tym momencie całkiem na miejscu.

— Dzięki, młody — mówi. Przygląda się kartom w swojej dłoni.

— Tu jest za mało miejsca, usiądźmy przy stoliku.

Przedstawiają się sobie. Roy i Frankie są Royem i Frankiem, nie ma potrzeby kłamać. To jest ich bar, nie muszą się ukrywać.

Kevin z Amandą faktycznie są studentami, wyskoczyli na lunch, bo mają okienko w zajęciach.

— Ładna z was para — odzywa się Roy, gdy już zajęli miejsca przy laminowanym stoliku. — Macie dzieci?

— My... tylko ze sobą chodzimy — bąka chłopak. — Od dwóch miesięcy.

— Najpiękniejszy czas w życiu — stwierdza Roy. — Ja chodziłem z moją żoną sześć miesięcy, a potem chajt-nęliśmy się w Vegas. Małżeństwo to świetna sprawa, błogosławieństwo, dar od Boga, ale chodzenie... To wyjątkowy czas. Zupełny luz. Nie spieszcie się, dzieciaki. Obiecujecie mi to?

Amanda się uśmiecha, też już jest wciągnięta.

— Nie będziemy się spieszyć — przyrzeka. Jakby rozmawiała ze swoim wujkiem. Jakby się znali przez całe życie. Roy chciałby, żeby wszyscy byli tacy jak ona. Wie, że większość taka właśnie jest.

— Wybierz kartę, mój wykształcony przyjacielu — mówi Roy, tasując talie i kładąc ją z rozmachem na dłoni Kevina. — Nie pozwól mi dotykać talii, nie pozwól mi podglądać. Tylko wybierz kartę i pokaż ją innym.

— Mam w samochodzie czapeczkę z oślimi uszami — wcina się Frankie. — Mam ją od razu przynieść, czy zaczekamy, aż to spieprzysz?

Roy dzielnie ignoruje Frankiego, rzuca zranione spojrzenie swym nowo poznanym przyjaciołom i kontynuuje. Kevin po drugiej stronie stołu sięga do talii i wyciąga trójkę trefl. Pokazuje ją Amandzie, Frankiemu i ponownie Amandzie.

— Już? — pyta Roy. — Dobrze. Teraz wsuń ją z powrotem do talii, nie odwracaj, tylko włóż w dowolne miejsce. Tak jest. Teraz potasuj, możesz tasować do woli. Całkiem je poprzekładaj, niech każda karta zmieni miejsce.

Palce Kevina nie nawykły do tasowania; karty kilkakrotnie mu się odwracają, zanim trafią znów do talii. Kevin się śmieje, Amanda się śmieje, Frankie też się śmieje. Świetnie się bawią. Bo to fajna zabawa.

— Doskonale — mówi Roy. — Dobra talia. Wyciąga rękę i Kevin oddaje mu karty. Roy rozpoczyna sztuczkę.

Karty ześlizgują się kolejno z wierzchu talii i lądują obrazkami do góry na stole.

— Musi mi się udać — mruczy Roy, tak żeby usłyszeli. — Musi mi się udać.

Walet, król, ósemka, as. Padają na stół i wpatrują się w sufit. Kevin, Amanda i Frankie obserwują uważnie. Roy wyklada karty, trzaskając nimi mocno o blat.

— Nauczyłem się tej sztuczki od starego hinduskiego mędrca z Osiemdziesiątej Piątej Alei — mówi, unosząc jedną brew w stronę Kevina. — Uwierzyłybyś?

— No... nie wiem — odpowiada chłopak.

— A ja wiem — śmieje się Frankie.

— Co wiesz?

— Że gówno ci z tego wyjdzie.

Trójka trefl upada na stół, mocno uderzając o blat. Kevin to widzi. Amanda to widzi. Frankie też to widzi i robi to, co zawsze w tym momencie. Przygryza górną wargę. Leciutko, ledwie na milimetr. Roy dalej wyklada karty. Nie patrzy na Frankiego, nie zatrzymuje się. Dalej zdejmuje karty z wierzchu talii. Nie wiadomo, czy dostrzegł znak.

— A ty mi wierzysz — zwraca się do Amandy — że to był hinduski mędrzec?

— Nie wiem... nie znam cię właściwie, więc... — Dziewczyna spogląda na chłopaka, a ten na Frankiego, który uśmiecha się kpiąco. — Nie, chyba ci nie wierzę — mówi w końcu Amanda.

— Bystra dziewczyna — stwierdza Roy z uśmiechem, zwracając się do Kevina. — Zapomnij te bzdury o chodzeniu. Żeń się z nią natychmiast.

Śmieją się razem przez chwilę, przez sekundę, ale ich śmiech rozbrzmiewa harmonijnie i Roy wie, że już czas.

— Mam ją — oznajmia, stukając w wierzch talii mięsistym palcem. — Wiem, która to karta. Tym razem ją mam.

— Takiego wała — rzuca Frankie.

— Ejże, nie przy kobiecie.

— Chcę tylko powiedzieć, że musisz jeszcze poćwiczyć.

— A co — mówi Roy — uważasz, że spieprzyłem? Frankie wzrusza ramionami i patrzy jednym okiem na Kevina, a drugim na trójkę trefl na stole. Prowokuje chłopaka do uśmiechu, używając jako przynęty własnych zaciśniętych ust. Po chwili śmieją się obaj, w tej sprawie są po tej samej stronie. Karta leży jak byk na stole. Roy się pomylił, wszyscy wiedzą, że tak jest, i on się także wkrótce o tym przekona. „Chodzi o to, po której są stronie — mawia Roy. Jeżeli będą po twojej, to nieważne, do czego zmierzasz; wynik jest pewny jeszcze przed końcem gry”.

— Chcesz jeszcze raz spróbować? — pyta Frankie. —
Pozwolimy ci zacząć od nowa.

— Spadaj — mruczy Roy; w jego głosie pobrzmiwa nutka złości. Ledwie cień, ale to wystarczy, żeby pogłębić rozdźwięk. Kevin musi się teraz sprzymierzyć z Frankiem, zobaczyć całą sprawę jego oczami. — Klamka już zapadła.

— Jak sobie życzysz, kumplu — Frankie wzrusza ramionami. Roy spogląda na pozostałych, próbuje nawiązać kontakt wzrokowy. Uciekają spojrzeniem. Świetnie. Roy wchodzi na całego:

— O ile chcecie się założyć, że następna karta, którą odwrócę, to ta wyciągnięta przez Kevina? — Nareszcie padło zdanie, na którym się zarabia. Wypowiedziane ot tak, od niechcienia.

Perfekcyjnie.

— Niby jak? — pyta Frankie. — Taki zakład o zakład?

— Oczywiście. Zakład o zakład — odpowiada Roy. Frankie trąca Kevina łokciem.

— Widziałeś go? Dałem mu szansę wyjścia z tego z twarzą, a ten chce stracić pieniądze. A, diabła tam — mówi — wchodzę w to.

— Sięga do kieszeni, wyciąga kilka banknotów. Dwudziestka, dwie dwudziestki, w końcu trzy, leżą na kartach na stole.

— Utracjusz — mruczy Roy pod nosem. — Lecimy dzisiaj do domu twoim prywatnym odrzutowcem. — Odwraca się do Kevina i Amandy, odsuwając się z krzesłem od stołu, żeby dać im więcej przestrzeni, powiększyć dystans między nimi. — A ty, młody? — pyta, bębniąc palcami o blat. — O ile chcesz się założyć, że następna karta to ta, którą wyciągnąłeś?

Kevin rzuca szybkie spojrzenie na stół, żeby się jeszcze raz upewnić, że trójka trefl już tam leży, już jest wyjęta z talii. Nie ma szans na przegraną. Łatwy zarobek.

— O milion dolarów — odpowiada ze śmiechem. Roy śmieje się serdecznie i ociera kąciki oczu, w których zaczynają się pojawiać prawdziwe łzy.

— No nie — mówi po chwili. — Wujek Roy nie ma kasy na taki wielki zakład. Co byś powiedział na setkę?

I nagle jakimś sposobem w jego dłoni znalazł się banknot studolarowy, jak gdyby wykiełkował mu między palcami, pasek czystej zieleni. Kładzie delikatnie banknot na blacie stołu.

Między Kevinem i Amandą wywiązuje się dyskusja, strategia fiskalna, szept, przekonywanie. Palce już gmerają w kieszeniach dzinsów, wyciągają stamtąd zgniecione kwitki i papierki po batonach, zmieszane z banknotami i drobnymi.

— Osiemdziesiąt siedem dolarów — ogłasza Kevin,

gdy poskładali już pieniądze. — To wszystko, co mamy przy sobie.

— W porządku. — Roy strzela palcami i bierze ze stołu talię. Prostuje się i opiera mocno o oparcie krzesła. — Powtórzmy — mówi. — Założyłem się z wami o te pieniądze, twierdząc, że następna karta, jaką odwrócę, to będzie ta, którą wybrał Kevin, zgadza się?

— Tak jest — odpowiada Kevin, skubiąc materiał bluzy, szykując się do zwycięstwa, przeliczając stawkę.

— Dobrze — przytakuje Roy.

Żadnych popisów ani wymyślnych gestów. Kładzie spokojnie talię na stole, nachyla się nad blatem, bierze do ręki trójkę trefl i odwraca ją. Obrazkiem do dołu. Następnie zgarnia pieniądze ze stołu, upycha je w kieszeni i rusza za przechodzącą kelnerką do kontuaru.

— Rachunek proszę — zwraca się do niej. — Już wychodzimy. Roy prowadzi. Frankie odpoczywa. Jadą chevroletem caprice Roya, ledwie dziesięcioletnim. Jest czarny, z szybami przyciemnionymi w granicach prawa, wewnątrz ma ciemnoszare. Woskowanie się przetarło, ale plastik trzyma się dobrze, a podłogowe maty są bez jednej plamki. Roy mógłby kupić nowe auto, wie o tym, mógłby kupić sto nowych aut, gdyby chciał. Ale Chevrolet nie rzuca się w oczy, silnik świetnie chodzi, dywaniki są czyste i może nim dojechać wszędzie, gdzie potrzebuje. Frankie, najedzony, nie posiada się z radości. Oczywiście zarabiali już więcej, zawsze zarabiają więcej. Lecz dla Frankiego każda zarobiona kasa jest szczęśliwa. Przerzuca

banknoty jak uczniak karty na wymianę. Roy prowadzi, palce zacisnął mocno na kierownicy, aż kłykcie zakwitły mu na czerwono. Czuje w głowie ciśnienie. Ucisk.

— Widziałeś, jak się stamtąd zmyli? — chichocze Frankie. — Wracać na lekcje, dzieciaczki...

— Za długo to trwało.

— Dobrze nam poszło. Sto dolców, właściwie osiemdziesiąt siedem, ale...

— Mogło być lepiej.

— Tylko tyle mieli. Wzięliśmy wszystko.

— Mogliśmy to lepiej rozłożyć w czasie — mówi Roy. Frankie się poddaje, kiwa głową.

— Od pięciu lat robimy ten numer, mogłoby się wydawać, że już mamy go w małym palcu.

— Mogłoby.

Frankie rozsiada się wygodniej, opiera nogi o deskę rozdzielczą. Jego wysokie czarne buty są brudne, podeszwy szorują po klapie schowka.

— Zdejmij te nogi, cholera jasna — warczy Roy, strącając je w dół silnym pchnięciem.

— Zaraz, zaczekaj, czyli ja mówię: „Jesteś beznadziejny w sztuczkach karcianych...”.

— W *grach* — poprawia go Roy. — W *grach* karcianych.

Właśnie to jest ten błąd. Sztuczka może cię zdradzić. Sztuczka, zagrywka, przekręt. Sztuczka to sztuczka. Natomiast gra...

cholera, gra to spacerek, przyjemne popołudnie w parku. Nikt się nie wzdryga przed grą.

— I według ciebie wszystko polega na słowach? Roy kręci głową.

— Nie, nie wszystko, ale jeżeli używasz ich niewłaściwie, to nadajesz zły komunikat. Chodzi mi o to, że

trzeba bardzo uważać. Nie idzie się z armatą polować na jelenie, prawda?

— To zależy od wielkości jelenia.

— Nie, armata ci niepotrzebna. Pistolet na kapiszony też się nie przyda. Na jelenie idzie się ze strzelbą. Tak samo jest z frajerami, rozumiesz? Musisz dobrać odpowiednią broń, bo inaczej wszystko rozwalisz albo w ogóle nie trafisz w cel.

— I słowo gra to odpowiednia broń? — pyta Frankie.

— W tym wypadku tak. Gra. O to właśnie chodzi. Frankie musi to przemyśleć. Kładzie znów nogi na desce rozdzielczej i chwilę później wścieka się, że znów zostały strącone. Roy nie cierpi brudu w samochodzie. Widział, jak Frankie traktuje swoje kolejne auta. Z przodu puste puszkki, z tyłu opakowania po kondomach. Okruchy, pogniecione mapy. Ruchoma strefa przyfrontowa. Obrzydliwość. Coś takiego może się stać z każdym samochodem, jeżeli człowiek się nie pilnuje. Jeżeli nie jest czujny. A Roy jest czujny. Jest superczujny, jeśli chodzi o Frankiego. Frankie jest dobrym człowiekiem i od śmierci Hanka dobrym współnikiem Roya, ale to jego niechlujstwo jest jak wirus.

— Na Czwartej Ulicy jest bar — zaczyna Frankie. — Można by tam zajrzeć.

— Nie jestem głodny.

— Ja też nie, ale moglibyśmy wziąć frytki i popробować jeszcze gry. Dla treningu.

— Nie dzisiaj.

— Myślałem, żeby jeszcze coś...

— Nie dzisiaj.

Roy ostro bierze zakręt, zapiera się nogami o podłogę,

gdy koła zawadzają o krawężnik. Frankie siłą bezwładności opiera się o drzwiczki, klamka wbija mu się w bok.

— Słuchaj — odzywa się po pewnym czasie — nie chcę się ciebie czepiać...

— To się nie czepiaj.

— ...ale wstajesz o jedenastej, wyciągasz mnie na lunch, odstawiamy jeden głupi numer z jakimiś studenciakami i na tym chcesz zakończyć dzień?

— Czy ja to powiedziałem? — pyta Roy. — Czy powiedziałem, że skończyliśmy na dzisiaj?

— A skończyliśmy?

— Nie. Po prostu jestem zmęczony.

— Ty ciągle jesteś zmęczony. Od trzech tygodni luna-tykujesz w czasie każdej roboty. — Frankie przerywa na moment, jakby był niepewny, czy mówić dalej, czy nie. — Bierzesz te swoje pigułki?

— Wspólniku — burczy Roy — zdejmij te cholerne buciorzy z mojej deski.

Już nie ma o czym rozmawiać. Roy prowadzi. Frankie znajduje w radiu jedną z ulubionych stacji. Złote przeboje. Pościelowy. Facet w jego wieku, a słucha muzyki swoich rodziców. Nuci do taktu jakiś przebrzmiały szlagier z Vegas.

Na tylnym siedzeniu leży gazeta, złożona starannie na trzy. Gdy przejeżdżają przez stare tory kolejowe, Roy sięga za siebie, chwytając gazetę za lewy róg i rzuca Frankiemu na kolana.

— Chcesz popробować dekarstwa? — pyta.

— Poważnie? — Frankie promienieje.

— Część „D”. Znajdź coś fajnego.

— Sprzed ilu dni jest ta gazeta?

— Sprzed dwóch tygodni. Rodzina już się na pewno wyniosła. Frankie z upodobaniem przegląda gazetę, rzucając niepotrzebne strony za siebie. Roy powstrzymuje grymas irytacji, choć żółć drażni go w gardle. Nie ma sensu kazać mu teraz sprzątać, nie ma sensu wszczynać dyskusji. To dobry współnik, dobry współnik, dobry współnik. Kiedyś w ogóle mu nie przeszkadzało to, co robił Frankie, te jego drobne przywary. Ten brak dbałości o porządek. Krzykliwe ubrania. Głośna muzyka. Czasami nawet go to rozczulało, a w każdym razie było do przyjęcia. Ale od kilku tygodni, odkąd doktor wyjechał, jest inaczej. Jakby Roy miał w sobie ocean niechęci, rozkołysane morze gniewu.

Krwistoczerwone fale. Zanurz się, wzywają go, zanurz się. Roy czuje się tak, jakby podchodził na palcach do skraju wody, badał ją i wycofywał się w ostatniej chwili. Doktor na pewno chciałby o tym usłyszeć. Zanotowałby sobie wszystko, a potem rozmawiał z nim o tym całymi tygodniami. Ale doktor się wyprowadził. Zawsze tak w końcu robią. Wyprowadzają się.

— Mam Isaacsona na Dwudziestej Trzeciej — mówi Frankie, stukając palcem w nekrolog. — Osiemdziesiąt trzy lata, zostawił żonę i córkę.

— Córkę, to niedobrze. Może tam mieszkać.

— No to najwyżej się wycofamy. Zawsze mówiłeś, że nie ma się co bać o kurnik...

— ...kiedy lis już zjadł obiad, wiem, wiem. Wiem, co mówiłem.

— Roy wzdycha ciężko. Wprost trudno mu uwierzyć w to, co słyszy o samym sobie. Ostatnimi czasy ma często ochotę dopaść dawnego Roya gdzieś w ciasnej uliczce i spuścić mu łomot.

Poderżnąć gardło.

— Isaacson, mówisz?

— Na Dwudziestej Trzeciej.

— Możemy podjechać do Vica i wziąć furgonetkę — proponuje Roy. Zaczął już się zastanawiać, kombinować i tamte myśli pierzchły. Wycofały się w cień i się czają. Tak jest lepiej. Bezpieczniej.

— I ciuchy — dodaje Frankie. Podkreca atmosferę, jest podekscytowany. — Dawaj, działamy. Góra pół godziny i po robocie.

Pani Isaacson skończyła właśnie rozmawiać przez telefon z córką, gdy pod jej domkiem na przedmieściu stała furgonetka firmy dekarskiej. Zamierzały z Lindą wybrać się tego dnia do Armii Zbawienia, oddać im część ubrań po Halu. Te, których nigdy nie lubił, krawaty, których nigdy nie nosił. Hal zawsze bardzo wspomagał dobroczynność, lecz teraz już nie żył, a pani Isaacson pragnęła wypełnić jego, jak sądziła, ostatnie życzenia. Nie zdążył ich wypowiedzieć. Atak serca. Umarł we śnie. Lekarze powiedzieli, że nic nie poczuł. Ostatnie życzenia we śnie.

Nie wie, dlaczego dzwonią akurat do niej, ale otwiera drzwi dwóm panom w jasnoszarych kombinezonach, zachlapanych farbą i smołą. Jeden bardzo szczupły, drugi ze skłonnością do tycia. Stoją w jej drzwiach jak malowani, uśmiechnięci, z notesami w rękach.

— Dzień dobry pani — odzywa się ten grubszy. Ma pot na czole, jest opalony. — Jestem Jonas Taylor, firma Wszystko dla Dachy. Czy pan Isaacson jest w domu? To pani ojciec, tak?

Pani Isaacson opuszcza wzrok. Głos ma słaby, drżący.

— Mój mąż...

— Rozumiem — mówi mężczyzna. — Nie wspomniał, że ma taką ładną żonę. Ale nie szkodzi, pani też może nam podpisać.

— Chcielibyśmy zacząć jak najszybciej — wtrąca ten drugi, chudszy, z długimi baczkami i pociągłą twarzą. — Gdyby miało padać, czy coś takiego...

— Nie, nie — przerywa pani Isaacson. — Hal... mój mąż... nie żyje.

— Ojej — współczuje zdławionym głosem grubszy, cofając się o krok. — Ojej.

— Zawał — informuje gospodyni.

— Ojej — powtarza tamten. Pociera mimowolnie pierś, jak gdyby czuł cierpienie Hala. — Bardzo... nam przykro, proszę pani.

Kobieta kiwa głową.

— To już dwa tygodnie — dodaje. — Czy panowie... znaliście go?

— Nie, proszę pani — odpowiada chudy. — Pan Isaacson zamówił u nas usługę, mieliśmy naprawić dach. Ale nie będziemy pani przeszkadzać... w tej sytuacji...

Mężczyźni wymieniają szybkie spojrzenia i ten grubszy uchyla czapki.

— Szanowna pani Isaacson — mówi, skłaniając się lekko — naprawdę bardzo bolejemy nad pani stratą.

Pani Isaacson nie widziała kogoś takiego od sześćdziesięciu lat, od czasów gdy Hal się do niej zalecał. Takiego grzecznego mężczyzny, który uchyla czapki i nazywa ją szanowną panią. W dzisiejszych czasach wszyscy ci fachowcy to partacze albo złodzieje, albo zwyczajne

chamy. Nawet zakupy woli robić przez telefon, żeby nie mieć do czynienia ze sprzedawcami.

Obaj mężczyźni ruszają ścieżką z powrotem do furgonetki. Pani Isaacson woła za nimi:

— Jaką pracę mój mąż wam zlecił?

— Tylko naprawę dachu — pada odpowiedź. Są odwróceny plecami, nie widać, który mówi. — Mieliśmy to zrobić przed jesiennymi deszczami. Powinna pani kiedyś kogoś wziąć, żeby to pooglądał.

— Zaczekajcie! — woła kobieta. Zatrzymują się. — Skoro i tak mieliście to zrobić... Hal zawsze się tym zajmował... domem i wydatkami... Ale skoro już przyjechaliście...

Wracają pod ganek, kartkują notatniki, przerzucają się cyframi, mówią o smole, dachówkach i czasie.

— To by kosztowało tysiąc osiemset dolarów — mówi ten starszy, grubszy. — Trzy godziny pracy, już ze wszystkim. Niedługo, ale dla pani to może być bardzo uciążliwe...

— Ależ skąd — odpowiada pani Isaacson. — Miałam właśnie wyjść na parę godzin, jestem umówiona z córką.

— W takim razie zróbmy tak — mówi młodszy. — My pojedziemy do magazynu, weźmiemy dachówki, wrócimy i od razu zabierzemy się do roboty. Jak pani wróci do domu, dach będzie gotowy, a my znikniemy, jakby w ogóle nas tutaj nie było. Trzask-prask i po wszystkim.

— Dobrze — zgadza się pani Isaacson, zadowolona, że Hal zadbał o te sprawy przed swoją śmiercią. Że zatrudnił takich sympatycznych fachowców. Może o innych sprawach też pomyślał zawczasu. — Dobrze, tak zrobimy.

— Chyba powinniśmy wziąć zaliczkę — mówi chudy. — Bo inaczej szef...

— Daj spokój z zaliczką — przerywa mu kolega. — Przecież pani Isaacson na pewno nam zapłaci. — Dotyka znów daszka czapki, z ciepłym uśmiechem, a starsza pani zastanawia się, czy nie powinna im przynieść ciasteczek i herbaty, jak będą pracować.

Ten niższy jednak się denerwuje.

— A pamiętasz ostatni raz? Pan Yarrow dostał szału, jak zapomnieliśmy o zaliczce.

— Dobra, wiem, przecież nam zapłaci.

— Jasne, ale to chodzi o pana Yarrowa. Pani Isaacson nie chce, żeby się kłócili.

— Panowie — mówi, wyciągając w ich stronę chudą, suchą rękę — dziękuję wam za zaufanie, jednak przepisy to przepisy. Z przyjemnością dam wam tę zaliczkę.

— Ależ nie musi pani...

— Diabła tam. Nie chcę, żebyście mieli przeze mnie kłopoty. Może być gotówka?

— Niech panią Bóg błogosławi — odpowiada grubszy, uchylając czapki po raz ostatni. — Gotóweczka jak najbardziej, szanowna pani.

— Tysiąc dwieście dolców — oznajmia Frankie. Zwinął banknoty w ciasną rurkę, spiętą recepturką. — Fajnie wymyśliłeś tę naszą sprzeczkę.

Roy wjeżdża na autostradę; nie chce już jeździć po mieście. Pani Isaacson dała im sok w kartonach na drogę do magazynu. Sok był dla jej wnuka, wyjaśniła, ale on, odkąd skończył siedem lat, nie chce już pić jabłkowego. Zostało jej w spiżarni kilka kartonów. Roy pociąga łyk. Czuje goryczkę, napój gryzie go w gardle.

— Najśmieszniejsze jest to — mówi Frankie — że kobita faktycznie ma kiepski dach. Miałem wujka dekarza, zabierał mnie czasem na robotę, jak byłem mały. Z dołu niewiele dało się zobaczyć, ale zauważyłem, że gonty miały wyszczerbione brzegi. Jak przyjdą deszcze, może się okazać, że będzie miała pełną chałupę wody.

Roy popija jeszcze soku. Samochody na drugim pasie śmigają obok niego, kątem oka dostrzega tylko smugi czerwieni i zieleni. Chevrolet toczy się naprzód. Szybkościomierz pokazuje dziewięćdziesiątkę, ale Roy równie dobrze mógłby jechać na rowerze.

— Pędzą chyba stoczterdziestką — mruczy do siebie.

— Co tam znowu? — pyta Frankie zatopiony w studiowaniu nekrologów.

— Mówiłem, że pędzą chyba stoczterdziestką. Tamte samochody.

— Stoczterdziestką — powtarza Frankie, imitując mamrotanie Roya. — Jasne, Roy, jadą stoczterdziestką. O, mam coś. — Składa gazetę, oddzierając niechcący róg strony, który opada na podłogę.

Dźwięk jest dla uszu Roya nie do zniesienia, jakby tuż obok niego startował odrzutowiec. Jednakże hałas dartego papieru to nic w porównaniu z odgłosem sfruwającego w dół skrawka gazety (skrzydła trzepoczą mocno, tłuką się o bębunki Roya), który opada na podłogę z takim hukiem, jakby ktoś wrzucił kulę kręglową do fabryki szkła. Roy zaciska palce na kierownicy, czerwone kłykcie bieleją, dłonie kurczowo trzymają się plastiku. Zęby zgrzytają, usta sztywnieją, powstrzymując wymioty, falę jedzenia i kwasu podchodzącą do gardła, gotową eksplodować, hałas i ból zaraz zmiażdżą mu szczękę...

— ...i handlował diamentami. — Głos Frankiego przebija się przez dźwięki i wszystko cichnie. Poza Frankiem. Tamto uczucie odchodzi.

— Kto taki? — pyta Roy. Inne auta zwolniły, caprice dorównuje im w tempie.

— Nasz następny facet. Był handlarzem diamentów. Zmarł na zawał, bezdziejny, tylko żona. Na moje oko mieli dużą kasę, i to sporo w gotówce. Moglibyśmy tym razem wykręcić większy numer, tak sobie myślę. Może nawet kilka kawałków...

— Jestem zmęczony — mówi Roy. — Jadę do domu.

— Przestań, mamy dobrą passę.

— Jestem zmęczony.

Frankie próbuje dyskutować, lecz Roy nie odpowiada. Po każdym argumencie Frankiego przejeżdża, milcząc, kolejny kilometr. To nierówna walka, która się kończy, nim się zaczęła. Frankie mieszka w budynku ze szkła i stali, nowoczesnej budowli, której Roy nie rozumie. Zapytał kiedyś Frankiego, ile go to kosztuje, a kiedy tamten podał mu wysokość czynszu, Roy nie wiedział, czy walnąć współnika w łeb, czy się rozplakać. Próbował mu tłumaczyć, że trzeba inwestować, trzeba odkładać pieniądze. Że lepiej kupić mieszkanie, niż je wynajmować, jeśli cię na to stać. Ale Frankie i Roy to Frankie i Roy; ich noce są tak różne od siebie, jak dni podobne. Frankie kupuje sobie co pół roku nowy samochód, a co dwa miesiące nową panienkę. Frankie wciąż się rozgląda za nowym zarobkiem, albowiem Frankie jest stale w długach.

— Zadzwoń do mnie jutro rano — mówi do Roya, wysiadając z chevroleta. — Mam już upatrzone miejsce.

— Zobaczymy — odpowiada Roy. — Naprawdę jestem zmęczony, muszę odpocząć.

Frankie staje, cofa się. Jest zatroskany.

— Nie rób mi tego — mówi. — Znalazłem klub na południu, nadaje się na numer z zoologiem. Może zgarniemy z pięć kawałków.

— Zobaczymy.

Frankie nachyla się do otwartego okna samochodu. Zahacza włosami o ramę, skóra na jego wysokim czole się naciąga.

Wybałusza zapadnięte oczy.

— Mam tych koleśków do spłacenia, mówiłem ci. Niechętnie to przyznaję, ale mam dług.

— Chcesz pożyczyć pieniądze?

— Chcę zarobić! Po prostu do mnie zadzwoń, dobrze?

— Jasne — zapewnia Roy. — Jestem tylko zmęczony, nic więcej.

— I wyświadcz mi przysługę, współniku, bierz te swoje pieprzone pigułki.

Po tych słowach Roy już nie czeka na następne. Chevrolet jest całkiem szybki, kiedy okazuje się to konieczne.

Roy kupił ten domek przed sześcioma laty. Okolica jest przyjemna. Nic odłotowego, wszystko w normie. Na swoim miejscu. Nie traci na wartości. Podwórko dobrze utrzymane, domy wokół zadbane i nikt nikomu nie przeszkadza. Nikt się nie wtrąca. Rewelacja. Sam dom nie jest wielki, zaledwie trzy sypialnie i dwie łazienki, lecz mieszka w nim Roy i tylko Roy, więc miejsca jest więcej, niż mu potrzeba. Jedna z sypialni jest sypialnią. Druga to gabinet. Jedno biurko, jedno krzesło, jedna lampa. To

tutaj Roy trzyma swoje teczki, swoją dokumentację. Tutaj pisze listy. Trzecia sypialnia, ta w głębi, jest kryjówką, norą Roy a, jego azylem, choć nikt prócz niego i tak nie wchodzi do mieszkania. Stoi tu wersalka, stary czarno-biały telewizor, z oklapłymi króliczymi uszami dla ozdoby, a w rogu toaletka i biurko, w którym nic nie ma. Na ścianach wiszą obrazki kupione na wyprzedażach w hotelach, akwarelki po dwadzieścia dolarów, specjalnie, żeby pokój wyglądał jak nora. Brzydka. Nieciekawa. Pod ścianą obok pustego biurka stoi ceramiczny koń, wysoki na metr dwadzieścia w kłębie i mniej więcej tak samo długi. Jest niebiesko-żółty. Boki ma ozdobione obszytym lamówką czaprakiem z obłazącą farbą. Czarne oczy konia są matowe, martwe. Przez cały dzień wpatruje się tępo w telewizor. Na szyi ma sztywną linkę, która wygląda, jakby prawdziwego konia zmieniono w ceramicznego tuż przed jego okiełznaniem. Linka jest żółta, pasuje kolorem do reszty. Royowi się to podoba. Po powrocie do domu najpierw zagląda do swej nory. Prawie zawsze, a szczególnie wtedy, gdy ma przy sobie gotówkę, czyli niemal po każdym wyjściu. Najczęściej wchodzi do mieszkania, wiesza marynarkę i od razu idzie do pokoiku w głębi. Ostatnio jednak, ponieważ doktor wyprowadził się z miasta, Roy ma nieco większy zakres czynności.

Najpierw wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Zamyka je porządnie, na zasuwę. Następnie otwiera je i zamyka ponownie. Otwiera i zamyka ponownie. Tak cztery razy i dopiero mieszkanie jest zamknięte. Nie ma co do tego wątpliwości. Żadnych.

Wiesza marynarkę na wieszaku przy drzwiach, po czym

obciąga ją mocno na kołku. Unosi i ponownie obciąga. Nigdy nie wiadomo, czy po pierwszym razie marynarka by nie spadła. Roy przeszukuje kieszenie, sprawdzając, czy nie zostały w nich jakieś pieniądze, a potem przeszukuje od nowa. Wczoraj na przykład dla pewności sprawdził po raz trzeci i znalazł dwudziestodolarówkę, zaplątaną w fałdach materiału. Dzisiaj też sprawdza trzykrotnie i choć niczego nie znajduje, postanawia włączyć to trzecie przeszukanie do codziennej rutyny, tak na wszelki wypadek.

Przed pójściem do kryjówki schował jeszcze buty do specjalnego pudełka na trzeciej półce w szafie i kilkakrotnie wytarł skarpetki o posadzkę. Mogły być na nich jakieś paprochy, które przeniósłby niechcący na dywan. Otwiera drzwi do pokoju i mijając kanapę, kieruje się do konia.

Kiedy zdejmuje ceramiczną głowę z korpusu, czuje jej ciężar w rękach. Kładzie ją na podłodze, uważając, żeby dobrze zbalansować. Sięga do kieszeni i wyjmuje dzienny urobek.

Po podzieleniu się z Frankiem Roy zarobił prawie siedemset dolarów. Zarobek niewielki, lecz łatwy, w sumie najwyższej godzina roboty. Teraz jest gotów sięgnąć do wnętrza konia, żeby pieczołowicie umieścić zwitek banknotów na stosie w środku.

Jednak nie musi tego robić. Ceramiczna rzeźba jest wypełniona pieniędzmi aż po brzegi, banknoty wszelkich nominałów już prawie się wysypują ze środka. Szybko się tyle uzbierało.

Chyba już czas odbyć kolejną wyprawę na Kajmany, myśli Roy. Poprzednio, kiedy koń się zapełnił, miał w banku osiemdziesiąt dziewięć tysięcy, plus to, co po-

zwał sobie trzymać w domu. Bezpieczną ilość. Zabezpieczenie w gotówce.

Jednakże plaża, słońce i zgiełk wysp byłyby teraz nie do zniesienia. Świat jest tam zbyt jaskrawy. A więc nie teraz, ale niedługo. Sprawa może troszeczkę poczekać. Musi poczekać. Na razie Roy chce przede wszystkim umieścić głowę konia z powrotem na jej miejscu i wpełznąć do łóżka. Spać, dopóki dźwięki, napięcie i ból nie odejdą. Potem obudzić się i dowiedzieć, że doktor Mancuso wrócił i chętnie przepisze mu znów zapas miękkich różowych pigułek. Zakryć kocem głowę, podkulić kolana pod brodę, chwycić obiema dłońmi po garści włosów i zgasić słońce.

Dziewięć

Frankie łomocze w drzwi. Roy widzi go ze swojej kryjówki, poznaje lisią twarz przez cienką firankę we frontowym oknie. Otworzył tylko jedno oko, lecz widzi, że Frankie wszedł na ganek. I wali w drzwi tymi małymi piąstkami. Kopie tymi małymi stopkami. Roy mógłby się nawet roześmiać, lecz boi się, że przy tym zwymiotuje. To nowa historia. Sprzed dwóch dni. Odpoczywał sobie na odchylanym fotelu, zajadając tuńczyka z puszki, i nagle pomyślał: *A co by było, gdybym teraz zwymiotował? Czy udławiłbym się własnymi wymiotami? Czy ktoś w ogóle by mnie znalazł, zanimbym umarł?* Od tamtej pory te myśli dość często mu towarzyszą.

— Roy, do ciężkiej cholery! — krzyczy Frankie, głosem stłumionym przez drewniane drzwi frontowe. — Wiem, że tam jesteś!

Roy nie wierzy, że Frankie rzeczywiście wie, że on jest w domu. Frankie blefuje, ale kiepsko mu to wychodzi. Roy uczył go kiedyś blefowania, lecz Frankie nie chciał słuchać o znakach, o tym jak je ukrywać i jak rozpoznawać.

Chciał od razu blefować po swojemu, po prostu na oślep. Mimo to zależy mu, żeby Roy go osłaniał, i Roy o tym wie.

— Zadzwoń do glin, zobaczysz — odgraża się Frankie i znowu grzmoci w drzwi. — Schowam cały swój szmal tak, że go nie znajdą, zadzwonię do nich i przyjdą tu do ciebie, i wtedy...

Nieważne, cholera, zadzwonię i już, tyle ci chciałem powiedzieć. Roy wie, że Frankie nigdy by czegoś takiego nie zrobił, bo nienawidzi glin. Popada w obłęd na ich punkcie. Uważa, że mają wykrywacze i zawsze wiedzą, kiedy się ich okłamuje. Frankie nie mógłby nawet iść jedną ulicą z gliniarzem. Lecz sama groźba wystarcza, żeby Roy się ruszył. Sam fakt, że Frankie się nią posłużył... Gliny. Mieć z nimi do czynienia, musieć z nimi rozmawiać... Roy zwleka się z fotela, powoli, żeby nie zdrzeć dywanu, i człapie do drzwi. Odciąga zasuwę i uchyla je, trzymając mocno za klamkę.

W szparze pokazuje się nos Frankiego i jego usta.

— Jezu, Roy, ale mnie przestraszyłeś. Otwórz, wpuść mnie.

— Zdejmij buty — mówi Roy.

— Co? Dlaczego?

— Bo brudzą. Zdejmij albo nie wejdiesz.

— Jaja sobie robisz? Przestań, przecież to ja. Otwieraj.

— Buty. No już.

Nos Frankiego znika, na jego miejscu pokazuje się oko. Lustruje to, co da się dojrzeć — salon, fragment jadalni, Roya; gałka oczna tańczy w górę i w dół, ogarniając całość obrazu.

Roy słyszy zza drzwi gniewne pomruki, gdy Frankie walczy z wysokimi butami. Zbiera mu się na śmiech, lecz

powstrzymuje go, czując podchodzącą do gardła żółć. Nie chciałby teraz zwymiotować. Nie tutaj, nie na dywan. Wchodzi Frankie z butami w ręce. Ma dziury w skarpetkach. Buty za tysiąc dolarów i skarpetki za czterdzieści centów. To cały Frankie. W drugiej ręce trzyma pączki.

— Śniadanie mistrzów — oznajmia, kładąc je na kuchennym stole. Rozgląda się po mieszkaniu, przechodzi do salonu.

— Szukasz czegoś? — pyta Roy.

— Mojego współnika. Widziałeś go może? Roy wraca na fotel.

— Przejechałeś taki kawał drogi, żeby się wygłupiać?

— Dzwonię do ciebie od pięciu dni, chyba normalne, że zacząłem się martwić?

— Wychodziłem. Wyjeżdżałem z miasta. Frankie kręci głową.

— Nie tym razem, nie kłam. Siedziałeś tutaj, aż się fotel wgniótł od twojego tłustego tyłka.

Roy wzrusza ramionami.

— Byłem zajęty.

Frankie, trzymając buty w jednej ręce, przechodzi przez pokój i podciąga żaluzje w oknie od frontu. Słońce oświetla nagle twarz Roya, który krzywi się i zasłania oczy grubym ramieniem.

— Co ty, cholera, nietoperz jesteś?! — wścieka się Frankie.

— Nie mów tak głośno.

— Tak ci się zdaje, bo nie słyszałeś od tygodnia normalnej ludzkiej mowy. Ludzie tak mówią, Roy. Prawdziwi ludzie w prawdziwym świecie.

— Ale ty mówisz za głośno.

Frankie rzuca współnikowi groźne spojrzenie, Roy je odwzajemnia.

— Bierzesz pigułki? — pyta ten pierwszy.

— Odwal się.

— Odpowiedz, czy bierzesz pigułki.

— Już ci mówiłem. Powiedziałem, żebyś się odwalił. Frankie w odpowiedzi rzuca swoje buty na podłogę, brudnymi podeszwami do dołu. Zanim zdążyły dotknąć dywanu i pozostawić jakikolwiek ślad, Roy zerwał się z fotela. Padł ze stęknieniem na kolana, porwał buty i podniósł je wysoko. Jak najdalej od dywanu. Sprawdza, czy się nie zabrudził, przesuwa palcami po rzędach włosów, szuka plam i drobinek ziemi. Frankie przykłęka koło niego, kładzie mu rękę na ramieniu. Roy ma wrażenie, że zaraz zwymiotuje na dywan. Taka plama nigdy nie zejdzie. Sama myśl o tym dławi go w gardle, piecze w przełyku.

— Co się stało z doktorem Mancuso? — ciągnie Frankie łagodnie. Półgłosem.

Roy nie może wykrztusić słowa. Gardło ma ściśnięte. Wyrzuca z siebie krótkie kaszlnięcia i urywane oddechy. Frankie siada na podłodze i bierze swego współnika za głowę. Zdejmuje buty z dywanu, pokazuje mu, że jest czysty. Patrzy mu w oczy.

— Już dobrze — mówi. — Nic ci nie będzie. Powiedz mi, co się stało z doktorem Mancuso.

Roy bierze głęboki oddech, z trudem.

— Nie ma go — odpowiada, dysząc ciężko.

— Już nie przyjmuje?

— Wyjechał. Wyprowadził się. Frankie kiwa głową.

— Daleko?

— Do Chicago. — Royowi już jest lżej. Może oddychać.

— To dość daleko. Kiedy? Roy się namyśla.

— Ze dwa miesiące temu. Prawie.

— Rany boskie... — Frankie wstaje i ciągnie za sobą Roya.

Podtrzymuje go za ramię, żeby nie stracił równowagi, gdy się podnoszą. — I tyle czasu nie zażywasz pigułek?

Roy już nie jest pewien. Jakiś czas temu przestał liczyć.

— Chyba gdzieś od miesiąca.

— No to musimy ci znaleźć nowego lekarza i tyle — stwierdza Frankie.

Roy kręci głową, ale ten ruch go osłabia.

— Doktor Mancuso...

— ...się wyprowadził. Wiem, że się dobrze z nim dogadywałeś, ale... to już nie wchodzi w grę. Nie możemy... nie może tak z tobą być. Musisz wyzdrowieć. Musisz funkcjonować. Mamy robotę do zrobienia.

— Sam się tym zajmij. — Roy odwraca się plecami.

— Razem się zajmujemy. Ty kręcisz tym interesem, Roy. Może na razie to tak nie wygląda, ale wciąż jesteś mistrzem. Robimy to wspólnie, kolego.

Roy nie jest w stanie myśleć o robieniu przekrętów. Myśli tylko o tym, żeby wrócić na fotel. Usiąść. Być bezpiecznym. Wstaje i człapie przez pokój.

— Znam pewnego gościa — mówi Frankie po namyśle.

— Gościa?

— Lekarza. Miły gość.

— Jest homo? — pyta Roy.

— Nie, dlaczego? — Frankie kręci głową. — Jest całkowicie normalny. Byłem u niego z moją mamą, jak miała te swoje wizje.

— Ja nie mam wizji.

— Wiem, że nie masz. Ale to psychiatra i może ci przepisać pigułki.

Roy nie zamierza się spierać. Sprzeczką oznacza mówienie. Mówienie oznacza ślinę. Ślina oznacza żółć w gardle, a żółć oznacza wymioty. Więc tylko kiwa głową.

— Weź prysznic — mówi Frankie — a ja będę telefonować, spróbuję coś załatwić.

Po drodze do łazienki Roy odwraca się i widzi, że wspólnik wybiera numer.

— Frankie.

— Tak?

— Wytrzymaj słuchawkę, jak już skończysz.

— Zmykaj do łazienki, Roy.

Roy siedzi na miejscu pasażera w nowym sportowym samochodzie Frankiego, wciśnięty w skórzany, kubelkowy fotel. Same dodatki kosztowały tyle, co cały jego Chevrolet. Muzyka z drogiego zestawu nagłaśniającego jest donośna, ale do zniesienia. Stare standardy. Scatting Elli Fitzgerald osiąga osiemdziesiąt decybeli.

— Jego sekretarka powiedziała, że nie trzeba wypełniać dużo papierków — mówi Frankie, skręcając na parking. — Ale musimy tam być kilka minut przed czasem.

— Podałeś moje prawdziwe nazwisko?

— No pewnie. Przecież jesteś prawdziwym sobą, nie? Czwarte piętro, pokój czterysta trzystaście. Doktor

Harris Klein, psychiatra. W skromnej poczekalni o białych ścianach Roy wypełnia kilka formularzy. Nazwisko, adres, historia choroby. W rubryce „zawód” pisze „handlarz antykami”. To jego stała przykrywka. Ma w domu dość brzydkich wyrobów, żeby ją uzasadnić.

— Chcesz, żebym tam wszedł z tobą? — proponuje Frankie.

— Jesteś moją matką czy co?

— Tylko pytam. Zostanę tutaj, poczytam sobie czasopisma.

Po kilku minutach sekretarka wzywa Roya, ten wręcza jej formularze i przechodzi krótkim, wyłożonym boazerią korytarzem. Drzwi na końcu są otwarte. Roy przystaje.

— Proszę wejść — słychać głos ze środka. — Niech pan wejdzie, proszę bardzo.

Doktor Klein czeka na Roya w gabinecie, stojąc przed ciężkim mahoniowym biurkiem. Jest niski, szczupły, owłosiony. Kręcona czupryna, okulary na perkatym nosie. Koszula, luźne spodnie, bez marynarki. Na prawej ręce rolex. Tylne kieszeń wybrzuszona, zapewne nosi tam portfel. Roy postanawia nie okradać doktora. Na ścianach wiszą dyplomy i plakietki, a między nimi rodzinne fotografie i cudaczne karykatury. Dywan w kolorze ciemnej, soczystej czerwieni, jakby go nasączono winem.

— Jak pan zauważa plamy? — pyta Roy.

— Co takiego? — Doktor jest skonfundowany.

— Pana dywan jest bardzo ciemny. Trudno na nim zauważyć plamy.

Doktor Klein się uśmiecha i podaje mu rękę.

— Nie przejmuję się tym tak bardzo — odpowiada. — Rzadko kiedy jem w pracy.

Roy chce mu wytłumaczyć, że nie chodzi tylko o jedzenie. Plamy mogą być od wszystkiego. Od płynu do szyb, od krwi, od moczu. Powstrzymuje się jednak, ściska dłoń doktora i siada jak na pacjenta przystało.

Klein stawia krzesło naprzeciwko niego i też siada.

— Cieszę się, że do mnie przyszedłeś, Roy. Jak rozumiem, twój poprzedni terapeuta się wyprowadził?

— On nie był terapeutą — mamrocze Roy — tylko psychiatrą.

— A to nie to samo?

— Nie. Doktor Mancuso dawał mi leki i nic poza tym.

— Rozumiem — mówi Klein. — A więc nie rozmawiałeś z nim o swoich sprawach?

— To znaczy o czym?

— No, o twoich... problemach, o tym, co myślisz. Żeby dotrzeć do sedna.

Roy z westchnieniem opada na oparcie krzesła.

— Mój współnik... mój kumpel Frankie powiedział, że pana zna, że może mnie pan przyjąć i dać mi pigułki. Doktor Mancuso przepisywał mi sto pięćdziesiąt miligramów anafranilu i siedemdziesiąt pięć zolofu. Jeżeli pan nie może tego zrobić, to kończmy tę wizytę w cholerę, zanim się jeszcze zaczęła.

— Widzę, że przechodzisz prosto do rzeczy. — Klein się uśmiecha.

— A pan się wykręca. Może mi pan przepisać te lekarstwa czy nie?

— Mogę — odpowiada lekarz.

— To niech pan wyjmie bloczek z receptami. — Roy wyraźnie się odpręża.

— Musisz wiedzieć, Roy, że zazwyczaj nie przepisuję leków, zanim nie porozmawiam trochę z pacjentem.

— Jak długo to trwa?

— A co, chciałbyś już być gdzieś indziej, Roy?

— Ja zawsze chciałbym być gdzieś indziej. — Roy czuje się dużo lepiej, już się tak bardzo nie przejmuję dywanem. A nawet wymiotami. Nie tak bardzo jak przedtem. Wkrótce dostanie pigułki i to mu już pomaga.

— W takim razie zajmę ci tylko kilka minut. Będę się streszczał — obiecuje doktor.

— To dobrze — mówi Roy. Rozsiada się na krześle. Jest wygodne, wyściełane, prawie jak jego fotel w domu. — Chce pan pogadać o mojej matce?

— A ty chcesz?

— Nie, ale doktor Mancuso od tego zaczął. Od mojej matki, ojca, sióstr.

— Masz z nimi bliski kontakt?

— Już nie żyją. Wszyscy. O kogokolwiek pan zapyta, odpowiem, że już umarł.

Doktor Klein poprawia się na krześle.

— To... nie jest konieczne. — Bierze z biurka cienki plik kartek i sunie palcem po jego brzegu. — Tutaj jest napisane, że handlujesz antykami. — Roy kiwa głową. — Podoba ci się ten rodzaj pracy?

— Podoba.

— Interes dobrze idzie?

— Raz gorzej, raz lepiej.

— Wiesz co — doktor Klein wstaje z krzesła — kupiłem ten mebelek parę lat temu na wyprzedaży. Powiedzieli, że to chippendale, ale możliwe, że mnie... jak by to powiedzieć?

...wykiwali. Może mógłbyś się przyjrzeć...

— Już jestem po pracy, doktorze. Możemy załatwić sprawę?
Klein siada z powrotem.

— Oczywiście — mówi. Czyżby się zdenerwował? Roy nie potrafi tego stwierdzić. — Żonaty?

— Byłem.

— Jak miała na imię?

— Heather.

— I jesteś... rozwiedziony.

— Geniusz z pana — rzuca Roy.

— Dzieci?

Roy wzrusza ramionami. Klein powtarza pytanie.

— Możliwe — pada odpowiedź. Klein unosi ze zdziwieniem brew.

— Możliwe? Hm, to nowa informacja.

— Fajnie, że panu pomogłem.

— Możliwe, że są twoje, czy możliwe, że...

Roy przerabiał już to z doktorem Mancuso, ale ten tutaj też wiedział, jak się zabrać do sprawy.

— Możliwe, że była w ciąży, kiedy ode mnie odchodziła. Więc możliwe, że mam dziecko, a możliwe, że nie mam.

— Nie widział go pan?

— A co przed chwilą powiedziałem? Nie, nie widziałem.

Doktor Klein kiwa głową. Coś sobie notuje.

— A próbowałeś? — pyta.

— Czy próbowałem? A co mnie to obchodzi?

— Staram się tylko lepiej cię poznać. Jakoś zrozumieć...

— A po co miałem próbować, skoro... Słuchaj pan, moja żona odeszła we wtorek rano, a papiery rozwodowe

przysłała mi pocztą w czwartek. O ile wiem, tego samego wieczoru potrafił ją autobus. O ile wiem, nie było żadnego dziecka. Koniec historii. Niech pan wypisze tę receptę. Doktor Klein chyba to rozumie. Zagląda znowu do dokumentacji.

— Powiedziałeś, Roy, że cierpisz na obsesje i natręctwa, połączone z depresją.

— Dlatego dostawałem te lekarstwa. Doktor Man-cuso postawił taką diagnozę. Dlatego dostawałem ten anafranil i...

— Wiem, wiem, rozumiem. Po prostu trudno mi jest zdiagnozować pacjenta i przepisać mu leki, nie mając pełnego...

Roy przesuwa się do przodu z krzesłem, które rysuje ciemne smugi na dywanie. Jest teraz tuż przed doktorem, ich spojrzenia się spotykają. Roy wstaje i kładzie dłonie na rękach doktora, przygważdżając je do oparcia. Klein nie próbuje walczyć.

— Ostatni tydzień spędziłem w swoim salonie, siedząc w fotelu

— mówi Roy, dysząc ciężko, aż okulary Kleina zachodzą mgłą.

— Obserwowałem dywan. Wgapiałem się we włókna cholernego dywanu. Przecież wiem, że to nie jest normalne, ale nic na to nie mogę poradzić. W ogóle nie mogę wyjść z domu, bo nigdy nie wiem, czy zakręciłem gaz. Wracam, sprawdzam, czy palniki nie są ciepłe, i chcę już wyjść, aż tu nagle myślę: A jeżeli niechcący przekręciłem któryś przy sprawdzaniu? Nawet jak mi się uda wreszcie wyjść na ganek, nie mogę pójść dalej, bo nie wiem, czy dobrze zamknąłem drzwi i czy nie zostawiłem otwartych okien. Więc zostaję i sprawdzam wszystko, ale bez przerwy się boję, że zwymiotuję. A przez

ten cały czas, kiedy myślę, że zaraz zwymiotuję, że za chwilę nie mnie nie powstrzyma od puszczenia pawia, przez cały ten czas jednocześnie myślę, że przecież jestem dorosłym facetem i powinienem wiedzieć, co się, u diabła, dzieje w mojej głowie, a im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że powinienem rozwalić ten pieprzony łeb, a im bardziej mam chęć rozwalić sobie łeb, tym bardziej myślę o tym, co się wtedy stanie z moim dywanem. I tak jest, jak mam w miarę dobry dzień, panie doktorze. Więc niech mi pan zapisze te pieprzone pigułki i da spokojnie żyć moim życiem.

Roy popija lekarstwo kilkoma łykami wody. Jedną małą zieloną kapsułkę, i to wszystko. To lek nowej generacji, tak powiedział doktor Klein. Jedna kapsułka załatwia i natręctwa, i depresję. Anafranilu i zolofu już się nie stosuje, tak powiedział.

Royowijest wszystko jedno, grunt, że coś dostał.

— I dał ci je tak po prostu? — dziwi się Frankie. — W swoim gabinecie?

Roy kiwa głową.

— Powiedział, że w aptece musieliby je specjalnie zamawiać, musiałbym czekać kilka dni. Dał mi zapas na tydzień.

— A co potem?

— Chce, żebyśmy znów do niego przyszedł — mówi Roy. — Żeby pogadać. Aleś ty mi, cholera, lekarza załatwił.

— To porządny facet.

— Straszny gaduła. Nic tylko by chciał rozmawiać, przez całą godzinę.

Frankie skręca na parking przed niewielkim sklepem samoobsługowym.

— Możemy poszukać innego lekarza.

— Inny może chcieć gadać przez dwie godziny. Mam to gdzieś, pójdę do tego Kleina i już.

Kiedy idą przez sklep, Roy czuje, że lekarstwo już zaczyna działać. Wie, że to niemożliwe, ale ma to w nosie. Przez dziesięć ostatnich minut nie myślał o żółci w gardle. A w sklepie nie ma dywanu, tylko linoleum. Wytarte, brudne. To go trochę odrzuca. Lepiej pomyśleć o czymś innym.

Frankie chodzi między półkami i obżera się najgorszymi świństwami: czipsami, ciasteczkami, wszystkim, od czego powinien kiedyś umrzeć, ale najpewniej wcale nie umrze. Roy nie rozumie, jakim sposobem Frankie jest ciągle taki szczupły. Zresztą za bardzo go to nie obchodzi, jeżeli tylko tamten po sobie sprząta. Frankie ma do jedzenia taki sam stosunek jak do pieniędzy: skoro jest, to trzeba je konsumować i nie robić z tego problemu.

Kiedy już sklep jest obrobiony, podchodzą do kasjera. Za ladą wisi plakat loterii z informacjami o ciągnięciach i wygranych liczbach z poprzedniego dnia.

— Proszę mi dać jeden kupon na pięć liczb — mówi Roy. Płaci dolara i skreśla dokładnie te same liczby, które padły dzień wcześniej, poza jedną. — Na losowanie dwudziestego drugiego.

— Proszę pana — odzywa się kasjer, zerkając na kupon — szanse na to, że w jednym miesiącu wypadną dwa

razy te same numery... że w ogóle wypadną te same numery... są prawie zerowe.

— Czy pan jest może moim doradcą finansowym?

— Nie, proszę pana.

— A moją matką?

— Nie, proszę pana.

— Nie, proszę pana, nie jest pan. Więc niech pan kasuje tego dolara, przyjmuje kupon na dwudziestego drugiego, a potem posprząta ten sklep, zanim zadzwonię do sanepidu.

Royowi wprost w głowie się nie mieści, jaki jest kiepski poziom obsługi w dzisiejszych czasach.

W samochodzie, w drodze do pralni, Frankie zaczyna rozmowę.

— Gadałem z Saifem, chce się z nami spotkać.

— Kto?

— Saif. Ten gość z portu.

— To jakiś Arab?

— Coś w tym rodzaju. Chyba Turek.

Roy przygląda się kuponowi loterii i zgniata go w dłoni. Zdrapuje datę, tak że pierwsza cyfra jest niewidoczna i kupon wygląda, jakby był wystawiony na drugiego, a nie dwudziestego drugiego. Kładzie go na podłodze i przydeptuje butem, żeby pobrudzić, żeby wyglądał na podniszczony.

— A czym on się zajmuje?

— Sztuką. Podróbkami. Chce coś opchnąć.

— My się na tym nie znamy - stwierdza Roy.

— Po prostu się z nim spotkajmy, tylko tyle.

— Ale po co?

— Po to, żeby się spotkać. Z uprzejmości. — Frankie otwiera paczkę czipsów i wpycha sobie garść do ust. — Kurczę, Roy, ty się nic nie zmieniasz.

Pralnia jest po drugiej stronie ulicy. Roy siada prosto w fotelu, obciąga koszulę i wkłada kupon loterii do kieszeni.

— Później o tym porozmawiamy.

— Zawsze mówisz „później”.

— Jest robota — mówi Roy. — Trzeba się skupić.

— A mógłbyś kiedyś powiedzieć „proszę”? Zwyczajne proszę, cholera jasna?

Roy wie, że będzie łatwiej, jeśli ustąpi. Chwila i po wszystkim, koniec rozmowy. Z Frankiem zawsze tak jest. Dlatego Roya korci, żeby właśnie się postawić, ale robota jest ważniejsza.

— Proszę. Wysadź mnie na rogu.

Frankie zatrzymuje auto i Roy wysiada. Zastanawia się nad krawatem, lecz odrzuca ten pomysł. Wygląd japiszona, tylko bez przesady. To jest ten styl. Frankie otwiera bagażnik i Roy wyciąga ciuchy do prania. Są czyste, ale mogą się stać jeszcze czystsze. Tak czy inaczej, będą dziś prane.

Świeci słońce, jego promienie padają na twarz Roya. A zapowiadali chłodny tydzień. Roy nie cierpi upałów. Nie cierpi się pocić, nawet jeżeli to akurat go nie zdradza. Po prostu nie cierpi się pocić. Dzisiaj, kto wie, może mu nawet to pomoże. Może dzisiaj nie jest tak źle.

W pralni są pod sufitem wielkie wentylatory, które młócą gorące powietrze, ochładzając je nieco. Jest znośnie. Pomieszczenie nie jest duże, dwadzieścia pralek i dziesięć ogromnych suszarek.

Tłoku też nie ma.

Na jednej z pralek siedzi mężczyzna, czarnoskóry. Czyta czasopismo. Roy nie tego szuka.

Trochę dalej parka, roześmiana. Stykają się czołami, nosami. Całują się. Też nie to, o co chodzi.

Przy ostatniej pralce kobieta w średnim wieku oddziela białe rzeczy od kolorów. Są tam koszule, damskie bluzki, ale też małe sztuki bielizny. A więc ma dzieci. Biżuterii niewiele, lecz to, co widać, wydaje się przeciętne. Ubranie też raczej z wyprzedaży, dobrane jednak z pewnym szykiem. Tleniona blondynka. Brwi ciemne. Tego właśnie Roy szukał. To jest właściwy adres. Idzie powoli przejściem po lewej, przyglądając się pralkom, szukając odpowiedniej. Nuci pod nosem coś wesołego. Nic konkretnego, po prostu wesoła melodyjka. Dwie pralki od kobiety z dziecięcymi ubraniami jest jedna wolna, ma otwarte drzwiczki.

— Tamte są zajęte? — pyta Roy.

— Nie — odpowiada kobieta. Ma niski, ochrypły głos. Pewnie często krzyczy.

— Myślałem, że pani może chce je zająć. Ma pani sporo prania. Uśmiecha się i jej twarzy ubywa kilka lat.

— To jeszcze nic — mówi. — Musiałby pan mnie widzieć po treningu baseballu.

— Dzieciaki?

— Trzech chłopców, dwie dziewczynki. — Kobieta lubi pogadać, Roy to czuje. Byle z kimś dorosłym. — Pralka w naszym budynku się zepsuła, więc jak odwiozę

dzieci do szkoły, targam to wszystko tutaj, a po praniu znów jadę je odebrać.

— Jest co robić. Ale dzieciaki to skarb, prawda? Ja sam pochodzę z dużej rodziny, siódemka nas była. Trzymaliśmy się razem jak nie wiem co. Bywało, że człowiek nie wiedział, kiedy znów będzie jadł, ale...

— ...ale trzeba mieć wiarę — kończy za niego kobieta.

— No właśnie. Teraz też się widujemy, wie pani, takie rodzinne zjazdy, weekend tu, weekend tam. Chyba nikt nie jest tak blisko jak ja z moim rodzeństwem. To bardzo ludzi łączy, nie uważa pani?

Kobieta się uśmiecha, a Roy wraca do swoich ubrań. RzUCA na stos koszule, spodnie, bokserki, gotowe do prania. Nie chce ich jeszcze wrzucać do pralki. Może nie będzie musiał. Czuje, że dobrze mu pójdzie z tą kobietą.

— Ma pan dzieci? — pyta ona. Roy wie, że już jest jego.

— Nie — odpowiada. — Próbowaliśmy, ale... myślimy o adopcji...

Kobieta kiwa współczująco głową, nic już nie mówi, tylko kładzie mu rękę na ramieniu. Martwi się, że go zasmuciła, nie chce już ciągnąć tego tematu. Roy uśmiecha się ciapowato i dalej segreguje ubrania. Kiedy wybiera ze stosu kolejną koszulę, prawą ręką sięga szybko do kieszeni. Ruch niemal niezauważalny.

Kupon loterii sfruwa na podłogę. Kobieta go nie zauważa. Na razie.

Roy wrzuca białe do pralki i zamyka pokrywę. Teraz grzebie w kieszeniach w poszukiwaniu drobnych. Znajduje kilka ćwierćdolarówek, lecz palce zaplątują mu się

w trzymaną w ręce koszulę i jedna z monet spada na podłogę, toczy się do stóp kobiety i odbija od podeszwy jej brązowych sandałów.

— Jedna mi zwała. — Roy się uśmiecha, kobieta także. Schyla się, żeby podnieść monetę, i Roy przez chwilę ma wrażenie, że nie zauważyła kuponu. Że go przegapiła.

Lecz ona zatrzymuje się ze zgiętym grzbietem, chwytając monetę lewą ręką, a kupon prawą.

— To chyba też panu wypadło — mówi, prostując się. Roy przygląda się kuponowi, naprawdę porządnie się przygląda. Kręci głową.

— To nie moje — odpowiada. — Ja nie gram na loterii.

— Ja też nie — wyjaśnia ona. — Kiedyś grałam, ale... mąż kazał mi przestać.

— A może uda się to gdzieś tu oddać, może ktoś się zgłosi.

— Może... — Kobieta mówi to bez przekonania. Nie rozgląda się po pralni.

Roy nie draży sprawy.

— Chyba nie ma gdzie — stwierdza. — To pralnia samoobsługowa. Ludzie pewnie ciągle coś tutaj gubią. Jaka tam jest data?

— Chyba drugi. Wczorajsze losowanie.

Roy się rozgląda. Parka w kącie wciąż się migdali. Czarnoskóry mężczyzna wyszedł. Jest jeszcze tylko jeden facet, stoi przy drzwiach, czyta gazetę. Roy czeka, aż kobieta sama podejmie temat. Oddaje jej inicjatywę.

I dziesięć sekund później ma, czego chciał.

— Może sprawdzimy, czy jest jakieś trafienie — proponuje kobieta.

— Trafienie? Aha, na kuponie, czy są szczęśliwe numerki? — Roy udaje, że się zastanawia. Może ma coś lepszego do roboty.

— Jasne, tak, dla zabawy. Podzielimy się po połowie. Jak będzie trójka albo czwórka możemy zgarnąć po kilka setek.

Kobieta się rozochociła. Biorą się do sprawy. Ona porzuca swoje pranie i rusza na poszukiwanie gazety, nie wypuszczając kuponu z ręki. Roy jest zadowolony, że to ona wzięła kupon. Numer zawsze wychodzi lepiej, kiedy kupon jest u frajera. Jakby był jego własnością. Pieniądze znalezione, ale już przywłaszczone. Patrzy, jak kobieta podchodzi do mężczyzny przy drzwiach, czytającego gazetę, i pyta, czy może ją na chwilę pożyczyć. Frankie chętnie się zgadza i nie jest w stanie się powstrzymać, żeby nie puścić oka do Roya, gdy kobieta się odwraca i idzie z powrotem.

— W której części to będzie? — zwraca się do Roya.

— Nie wiem — odpowiada Roy. — Nie jestem stąd, więc...

Lecz ona sama znajduje to bardzo szybko. Część B, strona druga, wyniki wczorajszego losowania. Przykłada kupon do gazety i zaczyna porównywać cyfry. Nie trwa to długo.

— Jezusie święty — mówi Roy. — Jezusie święty, pięć na sześć. Rany boskie, byliśmy tak blisko! Kiedyś...

Kobieta otwiera usta, zamyka je. Ledwie jest w stanie mówić, prawie jej nie słychać.

— Jest... jest piątka. Pięć liczb się zgadza, widzi pan? Roy wydyma usta.

— No trudno — sapie. — Cóż, miło było panią poznać...

Kobieta chwyta go za ramię i ściska mocno.

— Piątka też się liczy, nie rozumie pan? Wygrana jest mniejsza, ale... — Sunie palcem po gazecie. Wysokość wygranych jest podana pod zwycięskimi liczbami. Piątka, stoi tam jak byk, to jest wygrana w wysokości dziewięćdziesięciu ośmiu tysięcy dolarów. Kobieta sprawdza liczby wciąż od nowa, a Roy rozpoczyna swój występ.

— O nie, niech to wszyscy diabli! — mamrocze do siebie. — Nie, nie mogę, no nie... — Wali się otwartą dłonią w czoło, z głośnym plaskiem. Uderza się ponownie, aż skóra mu czerwienieje. — Rany boskie, a niech to...

— Spokojnie, spokojnie — mityguje go kobieta. — Pan nie rozumie, mamy wygraną! Proszę spojrzeć, za piątkę płacą dziewięćdziesiąt osiem tysięcy! Tu ma pan napisane!

— No nie, po prostu cholera mnie weźmie...

— Niech pan przestanie, proszę, tu w gazecie ma pan czarno na białym, że wygraliśmy. — Kobieta zniża głos, rozgląda się czujnie. Ściska kupon w palcach tak mocno, że omal go nie rozerwie na pół. To jej kupon, jej sto tysięcy. Niech nikt nie próbuje go jej odebrać. — Czy pan nie rozumie?

— Nie, nie — odpowiada Roy, również ścisząc głos — to pani nie rozumie. Ja nie jestem... Mnie w ogóle nie powinno tutaj być.

— W pralni?

— W tym mieście. W tym stanie. Ja... no, to jest właśnie to moje zakichane szczęście. Powinienem być w Kansas City, na zjeździe firm dekarских, ale... Moja żona myśli, że jestem na zjeździe.

— Pańska żona?

— Tak, że pojechałem do Kansas City. Ale nie pojechałem, bo... cholera, po prostu mam tutaj przyjaciółkę. I gdybym teraz...

— Rozumiem — zapewnia kobieta.

— Gdybym wrócił do domu z pięćdziesięcioma kawałkami w kieszeni, to super, wie pani, tylko co miałbym powiedzieć? Że wygrałem z chłopakami w karty po pracy? — Roy trze oczy, znów płaska się dłonią w czoło. — Co za durnowate szczęście, co za głupi pech.

Kobieta przygląda mu się w milczeniu. Roy woli nie odgrywać ostatniej części, jeśli nie będzie musiał. Jest dużo lepiej, jeżeli to oni obmyślają plan. Wtedy to jest ich pomysł. Ich kupon. Ich gotówka. Wszystko należy do nich, nic do niego. Tak jest najlepiej.

— Jezu, kobieto — mówi — pewnie, że chciałbym dostać te pieniądze, ale nie chcę rozwodu. — I na zakończenie: — Niech pani weźmie wszystko. Pani ma piątkę dzieciaków, przyda się pani taka kasa.

Ona jednak nie chce o tym słyszeć.

— Nie, nie, miało być po połowie. Spróbujmy coś wymyślić. Mogłabym panu wysłać przekazem, jak już odbiorę wygraną...

— Ale to wciąż pieniądze, z których nie będę się mógł wytłumaczyć. Moja żona to nie jest jakaś pierwsza naiwna, wie, ile mamy na koncie i w ogóle. Jak już, to by musiały być pieniądze z pokera, może z wyścigów konnych, coś w tym stylu. Jeśli przesadzę, ona mnie załatwi jak... no, załatwi mnie i już. Teraz to wszystko musi dotrzeć do kobiety. Trzeba odczekać. Nie przyspieszysz gotowania, gapiąc się na garnek; to samo dotyczy frajera. Sam musi dojrzeć. Roy

znów trze oczy, patrzy w sufit. Płytki są brudne, pokryte szarym nalotem. Odwraca wzrok.

— Może mam pewien pomysł — mówi kobieta, nie patrząc na niego. Roy bierze ją za rękę i lekko ściska.

— Zgadzam się na wszystko — oświadcza. — Co pani wymyśliła?

Kobieta wychodzi z banku, niosąc niewielką czarną saszetkę, otrzymaną od Roya. Powiedział jej, że to jego podróżna kosmetyczka. Patrzyła, jak wyjmuje ze środka szczotkę do włosów, płyn do ust, pastę do zębów, a potem weszła z nią do banku.

Teraz trzyma saszetkę przed sobą, tuli ją do piersi jak nowo narodzone dziecko. Idzie przez parking, rzucając czujne spojrzenia na boki i zaciskając dłoń na rączce torby. Roy czeka przy jej kombi, oparty o rdzewiejący bagażnik. Tego modelu już chyba nawet nie produkują.

— Czuję się okropnie — odzywa się kobieta, podchodząc do niego. — Powinnam dać więcej.

— To i tak za dużo — odpowiada Roy. — Jeszcze trochę i byłbym ugotowany. Pani pomysł był świetny, po prostu genialny, jestem naprawdę bardzo wdzięczny.

— Ja... jednak bym woląa, żeby było pół na pół — mówi ona. — Ale to jest wszystko, co miałam na koncie. Myślałam, że jest prawie siedem tysięcy, ale w zeszłym miesiącu zapłaciliśmy za naprawę samochodu, więc jest trochę ponad sześć.

— Rewelacja — stwierdza Roy. — Moja żona się... nie zorientuje, powiem, że wygrałem w pokera. Zresztą skończyłem już z tymi wygłupami, właściwie wczoraj

zerwałem ten związek, ale... cholera, czuję się jak złodziej...

— Niech pan tak nie mówi. My wszyscy... każdy czasem popełnia błędy.

— Błędy, no jasne...

— Żałuję, że nie mogłam panu dać więcej. Może jednak wyślę panu później pocztą?

Roy kręci głową i otwiera jej drzwiczki samochodu. Kobieta wsiada, podtrzymywana przez niego za łokieć.

— Niech panią Bóg błogosławi — mówi Roy. — Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Proszę zaraz odebrać wygraną, nakupić zabawek dla swojego drobiazgu.

Kobieta patrzy na niego. Pod słońce. Mruży oczy przed jaskrawym światłem.

— Może chociaż pana podwiozę do...

— Nie, nie. Złapię taksówkę. Muszę przemyśleć parę spraw. Proszę już jechać, do dzieci, do męża.

Kobieta zatrzaskuje drzwiczki i odpala silnik. Z rury wydechowej wali dym. Auto z pewnością potrzebuje kolejnych napraw. Roy odsuwa się, macha do niej, patrzy, jak zjeżdża z krawężnika na jezdnię.

Czuje pieczenie w gardle. Myśli o swoich pigułkach. Przygląda się ptakom.

Dwie minuty później podjeżdża Frankie; muzyka na ful, aż szyby drżą do rytmu. Jaki szczęśliwy, myśli Roy. Bo są pieniądze, bo znowu będzie mógł je wydawać. Frankie otwiera mu drzwiczki, hałas wylewa się na parking, trąbki zgniatają powietrze.

— Ścisż to! — krzyczy Roy.

— Co?

— Ścisż to, bo nie wsiądę!

Frankie zmniejsza odrobinę głośność i Roy rzuca mu na kolana czarną torebkę. Frankie ją otwiera... i oto są: nowiutkie studolarowe banknoty.

— Prostu z banku — mówi, przebiegając palcem po brzegach. — Uwielbiam to. Ile jest?

— Między sześć a siedem. Nie powiedziała dokładnie. — Roy wsiada, zamyka drzwiczki, zapina pas. — Uznajmy, że sześć i pół dla równego rachunku.

— A to skapiradło — stwierdza Frankie, zapalając silnik. Samochód wyskakuje z parkingu z piskiem opon. Z twarzy Frankiego spłynął uśmiech, minę ma skwaszoną. Sześć tysięcy to dla niego nie dość. Roy ma wrażenie, że i dwadzieścia sześć byłoby mu za mało w taki dzień jak dziś.

— Więcej nie miała — zapewnia. — Wzięła wszystko z konta.

— Bzdury gada!

— Sam gadasz bzdury, facetka więcej nie miała, wierz mi. Ja to wyczuwam.

— Jasne, ale co to jest sześć tysięcy za to, że zgarnie stówę, tak czy nie? Za łatwo jej to poszło.

— Nie ma żadnych stu tysięcy, Frankie.

— To tak jakby... No nie, sześć kawałków za stówę, do dupy z takim podziałem. Może jestem kiepski z matmy, ale to jest straszne gówno.

— Frankie — odpowiada Roy, cedząc słowa — nie ma żadnych stu tysięcy, rozumiesz?

— No nie ma, ale ona o tym nie wiedziała. Pieprzone skapiradło. Roy wyjmując z korytka przy siedzeniu puszkę gazowanego napoju. Puszka jest nagrzana słońcem, plyn

w środku pewnie ciepły i mdły. Roy jednak pije łapczywie, żeby wypłukać z ust smak żółci. Tej żółci, która znowu pełźnie w górę przełyku, podchodząc do gardła. Jest bliski wymiotowania tu, na miejscu, w tym brudnym samochodzie Frankiego, lecz ma nadzieję, że jednak się powstrzyma. Dopija napój, a potem bierze puszkę kolegi i też ją opróżnia. Pieczenie słabnie. Żółć opada. Spłukał wszystko, już jest dobrze. Dobrze. Wszystko zostało spłukane.

Osiem

Doktor Klein tym razem nie każe mu czekać. Sekretarka zaprasza go do gabinetu i Roy skręca w korytarzyk, nie pytając o drogę. Łyka te nowe leki od tygodnia i czuje się znacznie lepiej. Nie żeby był wyleczony, ale nie jest tak źle jak przedtem. Wyjście z domu zabiera mu już tylko dwadzieścia minut, a nie całą godzinę. Na więcej i tak na razie nie liczył.

— Jakieś efekty uboczne? — pyta lekarz.

— Trochę mi sucho w ustach.

— To dość częste. Niech pan pije więcej soków owocowych, powinno pomóc.

Roy kiwa głową. Ostatnio niewiele pija poza gazowanymi napojami.

— Ale ogólnie jest całkiem nieźle — mówi. — Inaczej niż po tych lekach od doktora Mancuso. Nie czuję się taki...

spowolniony. Rozumie pan? To znaczy, oczywiście anafranil był w porządku, ale czasami...

— Czasami lekko otepiał, tak?

— No właśnie.

— Anafranil należy do starszej grupy leków — mówi Klein. — Ten nowy lek działa trochę inaczej, hamuje... — Doktor urywa, odchyła się na krzesło, zsuwa okulary na czubek nosa. — Przecież nie przyszedłeś do mnie rozmawiać o chemii, Roy.

— Chyba nie — śmieje się Roy.

— No to porozmawiajmy.

— Porozmawiajmy... — Roy smakuje to słowo. — Ale o czym?

— O czymkolwiek. O czym chcesz. Czy jest może coś, co cię gnębi?

— To znaczy?

Klein odkłada kartę Roya na biurko i krzyżuje ręce na piersi.

— Jakiś ciężar, którego chciałbyś się pozbyć. Coś, o czym chciałbyś opowiedzieć, zwierzyć się komuś. Ja właśnie po to tu jestem. Chętnie wysłucham twojej historii.

Roy przez chwilę ma chęć mu opowiedzieć o kobiecie w pralni i o tym, jak zarabia na życie. Wyłożyć wszystko wprost, wywalić to z siebie i zacząć od nowa. Chciałby opisać wygląd tej kobiety, w najdrobniejszych szczegółach. Dziadowskie pierścionki, dziadowski samochód, dziadowskie życie. Tlenione włosy, kiepska cera, wyraz jej oczu. Sześć tysięcy, które od niej wziął, co do centa. Trzy tysiące z tego leżą u niego w domu, w pełnym po szyję ceramicznym koniu. Połowa działki. Chciałby opowiedzieć Kleinowi o wszystkich przekrętach, jakie zna i o tych, których chce się jeszcze nauczyć. Opowiedzieć mu wszystko, co wie o tym, czym się zajmuje.

— Nic mi nie przychodzi do głowy — mówi, wpatrując się w dywan. Wciąż jest taki ciemny.

Klein czeka spokojnie. Roy wzrusza ramionami.

— No to zastanówmy się — odzywa się w końcu psychiatra. — Ostatnio zamieniliśmy parę słów na temat twojej byłej żony.

— Naprawdę?

— Właściwie to mówiłem głównie ja. Z tego, co pamiętam, ty byłeś niezbyt zainteresowany, ale może dzisiaj, skoro czujesz się już lepiej... Pomyślałem, że moglibyśmy trochę rozwinąć temat.

— No nie wiem — odpowiada Roy. — Myślałem, że tak zwyczajnie sobie pogaworzemy. O sporcie, o byle czym, a potem da mi pan następną porcję i już.

— Można i tak. Czemu nie, na jedno wyjdzie. Jak to faceci, siedzą sobie i gadają: A jak tam Metsi, jak tam Dodgersi, a jak się żyje, jak sprawy, jak tam była żona...

Roy nie może powstrzymać uśmiechu; Klein rozmawia z nim na takim luzie, że Roy prawie zaczyna lubić faceta.

— Chce pan posłuchać o Heather? — pyta.

— Jeżeli chcesz mi opowiedzieć.

— Jasne, mogę, ale to nic takiego ciekawego.

— Nudne historie to moja specjalność.

— Dobra, opowiem panu o Heather.

Kiedy się poznali, miała dziewiętnaście lat i była w pełni świadoma swego ciała. Gdy szła, poruszała się, jakby tańczyła taniec brzucha, a kiedy się kochała, to jak akrobatka. Uosobienie elastyczności, była otwarta na wszystko, co zabawne, ekscytujące i niebezpieczne. Kiedy

jej potrzebował, zawsze gdzieś znikwała, a pojawiała się zazwyczaj, gdy była zbędna. Heather zawsze żyła na krawędzi, wściubiła nos, gdzie nie trzeba, i nigdy nie dawała się złapać. Roy jednak ją złapał. Było to osiem miesięcy po tym, jak wyrzucili go z wojska, zwolnienie wciąż miał w tylnej kieszeni. Był wściekły jednocześnie na wszystkich i na nikogo. Sporo wtedy pił i często wszczynał bijatyki. Większości bójek nie pamiętał. Tamtej nocy klub stał się sławny ze swych awantur, ale Roy nie. Nigdy już tam nie wrócił.

Heather tańczyła wśród tłumu mężczyzn, jej długie aż do pasa włosy poruszały się do rytmu. Tyłek opięty ciasno skórzanymi spodniami. Bluzeczka z gołymi plecami uwydlatniała małe, twarde piersi. Heather stanowiła ognisko zainteresowania na dolnym podejściu do tańca i była tego świadoma. Pławiła się w tym. Później, kiedy chodzili już ze sobą, Roy odkrył, że przed wejściem na parkiet zawsze pocierała sobie sutki, żeby sterczały. Chciała, by obwieszczały jej obecność. Heather właśnie taka była.

Roy przyszedł tego wieczoru z kumplem, swoim dawnym sąsiadem. Chłopak dopiero co wyszedł z pierdla i trzeba było gdzieś go zabrać. Był jednak przygnębiony, płakał do piwa i chciał iść do domu. Roy spostrzegł przy barze Heather i postawił jej drinka. Wypili, porozmawiali, pośmiali się. Położył rękę na jej pośladku, a ona się nie odsunęła. Po pewnym czasie inny mężczyzna, jej znajomy, wyciągnął ją znów do tańca. Royowi to nie przeszkadzało. Miał czas.

Siedział przy barze przez godzinę, cierpliwie czekał, aż tłum się rozejdzie, a muzyka przestanie grać. A wtedy Heather zostawi kółeczko mężczyzn i wróci do baru. Ale

puścili następny kawałek i tańczono dalej. Do grupy dołączyli kolejni mężczyźni. Było ich pięciu, a Heather jedna. Otaczali ją, napierając i podmacując. Roy zaczął czuć pod czaszką ucisk, od którego robiło mu się gorąco w szyję i rozmazywał się obraz. Dokładnie to samo poczuł tuż przed... przed otrzymaniem pisma o zwolnieniu. Ruszył na parkiet. Klepnął jednego z mężczyzn w ramię.

— Odbijany?! — zawołał, przekrzykując muzykę. Facet się nawet nie odwrócił. — Odbijany?! — wrzasnął ponownie Roy. Przed jego twarzą pojawiła się ręka, dłoń, która naciskała mu nos. Pchała go, odpychała.

Uczucie narastało, ten okropny ucisk pod linią włosów, jakby coś próbowało się stamtąd wydostać. Rycząc w jego wnętrzu.

Spróbował ponownie wcisnąć się do kręgu, lecz tańczące ciała wciąż go odpychały. A w środku widział tańczącą Heather. Jej włosy, piersi, roześmiane usta.

Kiedy znów usiłował się do niej precyzyjnie, jeden z mężczyzn — właściwie chłopak, chudy rudzielec niewiele starszy od niego — wystąpił i pchnął go mocno w pierś.

— Może byś się odczepił?! — krzyknął. — Ona jest teraz nasza. Roy wciąż nie do końca pamięta całe zdarzenie, ale za każdym razem, gdy o nim opowiada, przypomina sobie coś nowego. To jest jak kora, który się ciągle rozbudowuje.

Chwycił chłopaka za nadgarstek, szarpnął, wygiął i złamał w pół. Przez skórę przebiła się kość. Powietrze w nocnym klubie rozdarły przeraźliwe krzyki, zagłuszając muzykę. Ucisk wciąż narastał, głowa puchła. Czyjaś ręka w jego uścisku, ramię w jego dłoniach. Roy opadł na jedno kolano, dźwignia, szarpnięcie, trzask. Mokry trzask.

Następny facet leży i wrzeszczy. Roy w wojsku bardzo pilnie trenował walkę wręcz.

Po dwóch minutach krąg został oczyszczony. Heather i Roy stali na parkiecie. Jego wzrok nabierał ostrości, obraz sali klubowej powracał. Pięciu mężczyzn leżało na ziemi, wyjąc z bólu.

Heather nie wiedziała, co ją trafiło, lecz czuła, że jest zakochana. Zamieszkali razem dwa tygodnie później, a po miesiącu wzięli ślub. Ceremonia u notariusza trwała pięć minut. Roy nie miał pracy, a gdy udało mu się jakąś dostać, szybko ją tracił. Heather to nie przeszkadzało. Kochała seks z nim oraz to, że miała dom, do którego mogła wracać. Mieszkali w wynajętym pokoju w zrujnowanym wiejskim budynku, ale to był ich własny kąt. Mogła tam sobie krzyczeć, kiedy chciała. Mogła chodzić, w czym chciała. Roy kochał ją za to wszystko. Miała dopiero dziewiętnaście lat.

Gdy zaszła w ciążę, miała już dwadzieścia. Nie powiedziała mu przez dwa miesiące, ale do tego czasu między nimi już nic nie było. Heather czasem nie wracała na noc do domu, a Roy całymi wieczorami krążył samochodem po ulicach. Szukał dziewczyn podobnych do niej. Bił ich chłopaków. Wzrok mu się zaćmiewał. Znajdował najbliższy bar i znów robił to samo.

Gdy Heather w końcu powiedziała mu o ciąży, uderzył ją.

Uderzył, kiedy się okazało, że ukrywała to przez dwa miesiące.

Nigdy przedtem ani nigdy potem nie bił kobiety. Bił ją po rękach, po nogach, po twarzy. Ale omijał brzuch, nawet gdy obraz mu się zamazał i poczuł ucisk w głowie. Przez kilka tygodni była cała w siniakach, przez kilka tygodni jęczała, a potem odeszła.

Była wtedy w czwartym miesiącu. Brzuch zaczął się już zarysowywać, nieduży brzusek na jej jędrnym ciele. Roy nie próbował jej szukać, wiedział, że to nie ma sensu. Heather nie odeszła z powodu bicia ani ze względu na dziecko. Odeszła, ponieważ była sobą, Heather, a on był sobą, Royem, lecz nigdy nie powinni być parą, Heather i Royem. Papiery przyszły po miesiącu pocztą i Roy podpisał je, nawet nie czytając. Jak gdyby jego podpis mógł wymazać wspomnienia. Nie wychodził z domu przez trzy tygodnie, a kiedy wreszcie wyszedł, powietrze było czyste, po deszczu. I po wszystkim.

Czy myślisz o niej czasami? — pyta doktor Klein, gdy Roy skończył.

— Właściwie nie.

— O tym, co mogło być dalej, jak mogłoby być?

— Komu to potrzebne. Ja mam co robić w życiu, nie mogę myśleć przez cały czas o jakiejś zamierzchłej historii.

Doktor drapie się po brodzie.

— A dziecko?

— Jeśli w ogóle jest...

— Jeśli w ogóle jest — powtarza jak echo Klein. — Myślisz czasem o tym?

Roy przez chwilę milczy.

— Zdarzało się. Czasami. Dlatego że... no, wie pan, nie z powodu Heather, tylko... człowiek coś dał, jakąś część siebie. Czy gdzieś tam może biega jakiś Roy junior? Czy jest do mnie podobny? Coś w tym stylu.

Klein kiwa głową.

— Ma teraz ile, piętnaście lat, tak?

— Czternaście czy piętnaście.

— To już prawie dorosły.

— Pewnie tak. — Krzesło nagle robi się niewygodne. Roy się wierci. — Do czego to niby zmierza? — pyta.

— Tak tylko sobie rozmawiamy, pamiętasz? — mówi psychiatra.

— Nie zmierzamy donikąd, chyba że byś chciał.

— Nie chcę — odpowiada Roy po namyśle. — Chyba że...

— Tak?

— Sam nie wiem. Czasem przychodzi mi do głowy, że dobrze by było wiedzieć, czy mam dziecko. Nawet nie to, żeby się spotkać czy wtrącać do ich życia, Tylko żeby wiedzieć. Czy to ma sens?

— Oczywiście. Wiesz, Roy, to nic złego, jeżeli człowiek czasami zadzwoni do byłej żony. Nawet jeżeli ma takie... problemy jak ty. Wszyscy tak robią.

Roy nie może o tym myśleć. Próbuje sobie wyobrazić, jak dzwoni do Heather, jak podnosi słuchawkę. Ale w gardle wzbiera mu żółć. Podchodzi do góry, piecze. Roy kręci głową.

— Nie, lepiej jest tak, jak jest. Po co mi to. Ten dzieciak na nic mi się nie przyda.

— Nie każdy musi się od razu na coś przydawać, Roy — mówi Klein.

— Porządny z pana facet, doktorze.

Klein wstaje zza biurka i podchodzi do szafki.

— Porozmawiamy jeszcze o tym następnym razem, jeśli będziesz chciał — mówi, wyjmując buteleczkę z kapsułkami. Rzucają przez pokój, a Roy chwyta w powietrzu i chowa do kieszeni. — Daję ci zapas na miesiąc, ale

chciałbym, żebyś do mnie przychodził co tydzień. Będiesz przychodził?

— Tylko tak, dla odfajkowania?

— Tak jak dzisiaj.

— Dobra — mówi Roy. — Będę przychodził.

Trzy tygodnie później Roy przygląda się, jak Frankie przygotowuje numer z hiszpańskim więźniem; wykonują go w trzech miastach. Frajerem jest jakiś Joe z kongresu branży pralni chemicznych; ma wyłożyć trzy tysiące, licząc na to, że jego pieniądze pomogą siostrze Frankiego w Rumunii sprowadzić rodzinną fortunę z powrotem do Ameryki. To numer z długą brodą, ale na kongresy jest bardzo dobry.

Roy nie bierze w tym udziału; pomógł podprowadzić gościa, ale od tamtej pory trzyma się z daleka. Musi odpocząć. Ostatnie trzy tygodnie były bardzo produktywne, chyba najbardziej produktywne w tym roku. Nic wielkiego, żadnych długoterminowych przekrętów, tylko krótkie numery, wykonywane w karkołomnym tempie. Nie brakuje mu energii, wyraźnie to poczuł. Wczoraj przymierzył jedno ze swoich starych spodni i były prawie dobre. Nie oblepiały mu brzucha.

Frankie też dobrze się sprawia, pomaga tam, gdzie przedtem przeszkadzał. Dzięki wskazówkom Roya wyostrzyła mu się gadka. Dobry wspólnik z tego Frankiego. Z każdym dniem lepszy.

Kiedy już jest po wszystkim, kiedy frajer jest załatwiony i Frankie wraca do samochodu z trzema tysiącami w kieszeni, postanawiają to uczcić. Jadą po hamburgery, bo do

knajpy jest za daleko. Roy zażywa przy okazji lekarstwo; hamburger w jednej ręce, picie w drugiej, kolana na kierownicy.

— Wciąż je przyjmujesz? — pyta Frankie.

— Codziennie.

Frankie kiwa głową, popija z kubka.

— To dobrze. Mówiłem ci, że ten lekarz jest w porządku.

— Miałeś rację.

— Teraz to mówisz...

— Co? — pyta Roy. — O co ci właściwie chodzi?

— O to, że mogę, cholera jasna, doradzać ci w sprawach twojego zdrowia, ale nie mogę cię przekonać do poważnego numeru.

— Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

— O Saifie — denerwuje się Frankie. — Mówię o Saifie.

— O tym Arabie.

— Turku. Może Afgańczyku, wszystko jedno. O nim właśnie. Od miesięcy próbuję doprowadzić do spotkania, mówię ci, że facet jest w porządku, że chce zrobić z nami interes, ale ty za każdym razem masz to w dupie.

— Nieprawda.

— Prawda. Po prostu kasujesz mnie na wejściu.

— Bo uważam, że nam to nie jest potrzebne.

— Mnie jest potrzebne. Możesz mi raz zaufać? Muszę to zrobić, bo mam ludzi na karku.

— Wiem, wiem, słyszałem o twoich ludziach. Frankie kończy hamburgera. Tym razem nie zamierza odpuścić.

— Mówię ci, że są duże pieniądze do zarobienia

i proszę na razie tylko o spotkanie. Jedno spotkanie, nic więcej. Roy nie rozumie, czemu Frankie się tak ekscytuje, ale to nieistotne. Czasem marudzi i ma swoje fochy, lecz współpracują ze sobą od lat. Jest teraz naprawdę w szczytowej formie. Przepychanki nie mają sensu. Trzeba mu rzucić jakąś kość na odczepkę.

— Jedno spotkanie — oświadcza Roy. — Ustal kiedy i gdzie. Ale jeżeli mi się ten gość nie spodoba...

— Zostawimy to i nie było sprawy.

— Nawet jak mi się, cholera, nie spodobają jego włosy albo cokolwiek.

— To odpuszczamy — mówi szybko Frankie. Jest podniecony jak dzieciak, myśli Roy. Dzieciak przed swoim pierwszym przekretem po szkole. — Ty decydujesz, Roy.

— Żebyś wiedział.

— Nie pożałujesz. Będziemy spać na pieniądzach, zobaczysz. Ledwie wszedł do mieszkania, dzwoni telefon. Roy zamyka drzwi na klucz, tłumi impuls, żeby otworzyć je i zamknąć ponownie, i idzie do kuchni. Dywan wygląda dobrze. Najlepiej nie patrzeć w dół, tylko wyobrażać sobie, że wygląda dobrze, i tego się trzymać.

— Mów — rzuca do słuchawki.

— Roy?

— Słucham? — Podejrzliwie. Jakiś nieznany głos.

— Mówi Klein. Roy się rozluźnia.

— Witam, doktorze. Coś się zmieniło?

— Nie, nie po to dzwonię. — Lekarz jest jakiś podekscytowany. I chyba nieco nerwowy. Roy przysuwa sobie krzesło spod blatu śniadaniowego i siada. — Mam dla ciebie wieści.

— O Heather?

— I tak, i nie. Właściwie tak.

Podczas ostatnich kilku sesji Roy się otworzył. Na temat Heather, na temat ich związku. Kilka dobrych momentów, zbyt wiele niedobrych. Klein sprawił, że Roy zaczął się zastanawiać.

Głównie myślał o niej, ale też trochę o dziecku. O możliwości istnienia dziecka. A jednak, choć chciał to wiedzieć, nie potrafił się zdobyć na telefon do niej. Na rozmowę. Za każdym razem, kiedy o tym myślał, kiedy odbywał taką rozmowę w wyobraźni, żółć podchodziła do gardła i dławiła go. Raz musiał nawet pobiec do toalety u doktora, klęknąć nad sedesem. Suche nudności. Ślina kapiąca na podłogę.

I wtedy Klein obiecał mu, że sam to zrobi. Tego się nie praktykowało, było to nietypowe, ale mógł zrobić to dla Roya. Zadzwoić do Heather w jego imieniu. Sprawdzić, czy w ogóle będzie chciała rozmawiać. Jeżeli tak, to byłby już krok naprzód. Może wówczas Roy byłby w stanie coś powiedzieć. Co mu szkodziło spróbować.

— Znalazłem ją — mówi Klein. — Przeszukałem cały stan.

— Gdzie? — pyta Roy i zaraz dodaje: — Nie, niech pan nie mówi. I co?

— Zadzwoiłem i odbyliśmy całkiem... miłą rozmowę. Roy przełyka ślinę. Jeszcze bez żółci.

— Zgodziła się ze mną pogadać? Długie westchnienie w słuchawce.

— Nie — mówi w końcu Klein. — Nie zgodziła się.

— Rozumiem.

— Ona nie rozumie, że to może ci pomóc w terapii.

— Powiedział jej pan, że chodzę na terapię?

— Tak, powiedziałem jej, że jestem psychiatrą, Roy. Nie mogłem kłamać.

Roy osuwa się niżej na krześle.

— Więc nie chce się ze mną zobaczyć?

— Nie. Ale mam też dobrą wiadomość, Roy. Bardzo dobrą wiadomość.

— Heather ma raka? — zagaduje Roy i parska gorzkim śmiechem.

Psychiatra milczy przez chwilę. W słuchawce słychać szum.

— Czy chciałbyś tego? — pyta cichym głosem. — Musimy popracować nad twoim gniewem...

— Kurczę blade, doktorze, to był żart. Zbudź się pan. No, co to za wiadomość?

Klein odczekuje chwilę w celu wywołania napięcia. Roy wstrzymuje oddech.

— Masz dziecko.

Wydech. Roy wiedział od razu, że tak jest, jak tylko podniósł słuchawkę. To dlatego Klein zadzwonił do niego do domu. Z Heather mógłby poczekać do następnej sesji. Ale dzieciak...

— Jak ma na imię?

— Angela.

— Jak to? To dziewczynka?

— To raczej nie jest imię dla chłopaka, co? Tak, dziewczynka. Masz czternastoletnią córkę o imieniu Angela.

— Rany boskie. Angela, tak? To chyba ładne imię.

— Ona chce się z tobą spotkać.

Roy bierze głęboki oddech. Wstrzymuje go. Tego się nie spodziewał. Klein miał porozmawiać z Heather. Tylko porozmawiać. O spotkaniach na razie nie było mowy, tak ustalili. No, ale to jest dziecko. Córka.

— Kiedy? — pyta.

— Mamy powiedzieć kiedy i gdzie. Ona chodzi do szkoły, ale są weekendy, są popołudnia.

— Załatwi pan to? — dopytuje się Roy.

— Mogę, ale to ty powinienesz...

— Niech pan to zrobi. Umówi nas pan i ja przyjdę.

Trzy kilometry od domu Roya jest park. Są tam ławeczki, są huśtawki, jest zamek na pagórku. Ładny park, dobre miejsce na takie spotkanie. Doktor Klein wybrał to miejsce, to tam właśnie ma się zjawić Angela.

Przyjedzie pociągiem, ale Roy nie chciał jej odebrać ze stacji, chociaż doktor odmalował mu taką scenę. Spotkanie z nigdy niewidzianą córką na stacji kolejowej. A jednak coś mu w tym nie pasowało, dziwnie by się czuł. Na stacji są ludzie, mało miejsca do manewrowania. Wolał spotkanie w parku, na otwartym terenie. Rosną tu krzaki, w razie gdyby zrobiło mu się niedobrze.

Przyszedł przed wyznaczoną godziną. Nic nie powiedział Frankiemu o tym spotkaniu. Pewnie to nie w porządku, ale nie chciał. Może jak już będzie po fakcie. Jak już się spotka ze swoją córką... z Angellą... jak już się spotka z Angellą, wówczas opowie o niej swemu współnikowi. Powie mu, że ma dziecko. Na razie Frankie ma

myśleć, że Roy poszedł na normalną sesję do psychiatri. Coś takiego potrafi zrozumieć. Mama Frankiego była dobrą kobietą, naprawdę miłą osobą, która karmiła ich tak, że omal nie pękli, i nigdy nie powiedziała o nikim złego słowa. I nagle pięć lat temu zaczęła widzieć różne rzeczy i krzyczeć do ścian. Wrzeszczała też na Roya, kiedy przychodził, przeklinała go. Obrzucała wyzwiskami. Wygadywała świństwa. Więc psychiatra dla Frankiego jest do przyjęcia, tak samo jak łykanie pigułek. Lecz tego, że Roy ma córkę, mógłby nie zrozumieć i tyle. Trzeba z tym poczekać.

Roy siada na ławce, z której starł najpierw chusteczką ptasie łajno. Włożył dziś jeden ze swoich najlepszych garniturów, czarny z żółtym krawatem. Koszula trochę na nim wisi, szczególnie w pasie. Kołnierzyk też jest luźny. Przedtem wpijał mu się w szyję, tamował powietrze. A dzisiaj jest tam centymetr luzu. Roy wie, że powinien kupić sobie nowe koszule, ale dobrze się czuje w tych starych. Podoba mu się, że nie są takie ciasne. Po parku spacerują rodziny. Dzieci biegają z wrzaskiem i śmiechem wokół tatusiów. Roy zastanawia się, czy mu tego brakowało. Nie ma takiego poczucia, ale wie, że powinien je mieć. Może Angela będzie chciała, żeby się z nią poganiał? A co, jeżeli poprosi, żeby ją poniósł na barana? Nie ma pojęcia, co wtedy zrobi.

Czekając na nią, Roy przygląda się także innym ludziom w parku. Kilka samotnych osób, takich jak on. Spacerują, biegają, obserwują ptaki. Do każdej z nich dopasowuje od razu znakomity przekręt. Nie potrafi się powstrzymać. Panią przy stawie z kaczkami można by łatwo złapać na numer z ukrytą wiadomością. Młody facet pod drzewem

nadawałby się świetnie do hiszpańskiego więźnia. A obydwójce do sztuczki z dwudziestką. Roy uważa, że Kleinowi mógłby wykręcić każdy ze znanych mu numerów. Psychiatrzy niby potrafią analizować, ale najłatwiej z nich wyciągnąć kasę. Roy jest ciekaw, jaka byłaby specjalność Angeli. Czy jest dziewczyną nadającą się do długoterminowych przekrętów, czy raczej odnosiłaby sukcesy w szybkich? Czy szłaby na całość, czy raczej odpuszczała? Dopóki nie dowie się tego, nie będzie umiał jej zrozumieć. A kiedy się już dowie, nie będzie musiał jej rozumieć. Roy czuje się dziś świetnie.

Na parking piętnaście metrów od niego podjeżdża sedan i Roy wie bez patrzenia, że to samochód Kleina. Chciałby jeździć właśnie takim wozem, właśnie taki jest odpowiedni dla człowieka w jego sytuacji. Niezbyt szpanerski, ale wygodny. W sam raz.

Doktor Klein wysiada z samochodu, widzi Roya i macha do niego. Roy odmachuje. Okna auta są przyciemniane, lecz po stronie pasażera mignęła mu czyjaś czupryna. Włosy Heather, długie, gęste. Przez chwilę myśli, że psychiatra przywiózł jego byłą żonę, i zrywa się z ławki, szuka drzewa albo krzaka, bo w przełyku już narastają mu nudności...

Dziewczynka. Nie Heather, tylko dziewczynka. Wysiada z samochodu, długie kasztanowe włosy ma związane w koński ogon. Delikatne rysy, zadarty nosek, łuki brwi zdradzające pewność siebie. Smukła, długie nogi jak na ten wzrost, pączkujące piersi. Roy myśli o tym, jaka będzie piękna, gdy dorośnie, będzie taką dziewczyną, jakie najbardziej mu się podobają. Zamyka oczy, wyrzuca tę myśl. Córka. To jego córka.

Kiedy ponownie podnosi wzrok, oni już się zbliżają. Angela idzie obok Kleina, ani trochę nerwowa, po prostu idzie. Chwyta spojrzenie Roya i uśmiecha się, usta wydęte, dołeczki na policzkach. Roy próbuje dojrzeć w niej coś z siebie. Może uszy? Usta? Nie jest pewien, nie zna aż tak dobrze własnej twarzy.

— Korki — tłumaczy się Klein, patrząc na zegarek. — Na stacji było małe zamieszanie i...

— Nic nie szkodzi — odzywa się Roy.

— Długo czekałeś?

— Nie, nieważne, doktorze.

Klein cofa się o krok i kładzie dłoń na ramieniu dziewczyny.

— Po drodze odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę — dodaje. —

Roy, to jest Angela.

Dziewczyna podaje mu rękę, po prostu wyciąga ją przed siebie, a Roy chwyta i potrząsa. Jej dłoń w jego dłoni jest mała, jak śliwka w garści. Kiedyś była jeszcze mniejsza, myśli Roy, ciekawe, jakie by to było uczucie.

— Fajnie, że się spotkaliśmy — odzywa się Angela. Głos ma wysoki, zadziorny. Roy tego właśnie się spodziewał. Heather też tak mówiła.

— No, fajnie, ja też się cieszę. Masz głos... trochę podobny do mamy — zauważa.

— Tak? A wszyscy mówią, że do Lisy McPherson.

— No nie wiem. Kto to jest?

— Dziewczyna, która chodziła do mojej szkoły, a teraz prowadzi wiadomości na kanale dziewiątym.

— I ty masz podobny do niej głos?

— Chyba tak. Ludzie tak gadają. Doktor Klein staje między nimi.

— Muszę o trzeciej być w gabinecie — mówi. — Przepraszam, że was tak zostawiam, ale...

— Nie ma sprawy — odpowiada Roy. — My już tu sobie poradzimy.

Lekarz uśmiecha się i klepie go w ramię. Ludzie przeważnie nie klepią Roya w ramię. Co najwyżej raz. Ale tym razem nic nie mówi; Klein nie chciał źle.

— Angela ma o ósmej pociąg z powrotem — ciągnie doktor. — Jeżeli chcesz, żebym...

— Mogę ją zawieźć na stację — stwierdza Roy. — Zawiozę ją. Jeżeli będzie chciała.

— Jasne — piszczy Angela. — Super.

Doktor Klein podaje rękę Royowi, potem Angeli. Macha im jeszcze na pożegnanie i odchodzi. Wsiada do auta, odpala silnik. Roy patrzy, jak sedan wyjeżdża z parkingu. Patrzy, jak jedzie ulicą. Łatwiej jest patrzeć na to, niż zacząć rozmowę.

— No i co — odzywa się Angela — podobno jesteś moim tatą?

— Na to wygląda. Tak powiedział doktor Klein, to on cię... znalazł.

— Super. Bo ja myślałam, że nie mam ojca, wiesz?

— Mama nie powiedziała ci o mnie? Angela kręci głową.

— Powiedziała, że umarłeś.

— Aha, rozumiem. — Roy przetyka ślinę.

— To znaczy, widziałam cię na zdjęciu i w ogóle, ale nie wiedziałam... Myślałam, że tak jest, i przestałam się tym interesować. — Dziewczyna patrzy na Roya, który nie bardzo potrafi spojrzeć jej w oczy. — Hej, chcesz iść na huśtawki?

Roy trochę się nie mieści na krzeselku, ale chwyta mocno metalowy łańcuch i odpycha się od ziemi. Angela już fruwa w tę i z powrotem, jej nogi majtają w powietrzu.

— Ten pan doktor był miły — mówi.

— Klein? Tak, poczciwy z niego chłopina.

— Rozmawialiśmy po drodze. Jak mnie wiozł ze stacji.

— O czym? — pyta Roy.

— O różnych takich. O jego żonie.

— To on ma żonę? — dziwi się Roy.

— Mhm. Nie wiedziałaś? Roy wzrusza ramionami.

— Zazwyczaj rozmawiamy o mnie, kiedy do niego przychodzę.

Jak ona ma na imię?

— Ta żona? Lily — odpowiada Angela. — Pokazał mi zdjęcie, ładna jest. Rozmawialiśmy o tym, jak mi leci, jaka jest mama, co do mnie mówi, co robi. Ja też go trochę popytałam o ciebie, i tak dalej.

— I co ci powiedział o mnie?

Angela huśta się jeszcze wyżej, mocno wymachuje nogami.

— Że jesteś całkiem sam, że bardzo chcesz mnie zobaczyć.

Żeby cię nie spłoszyła, coś w tym stylu.

— Nie spłoszyła?

— No nie wiem. Nie powiedziałam, że ten Klein jest mądry, tylko że miły. — Jej huśtawka zwalnia, zrównuje tempo z sennym tempem Roya. — Utyłeś — stwierdza wprost.

— Tak?

— Tak. W każdym razie w porównaniu ze zdjęciami.

— Ludzie się starzeją. — Roy wzrusza ramionami. — Robią się grubszy.

— Ale niektórzy na starość chudną. Tylko skóra i kości, i zmarszczki. Tacy zasuszeni dziadkowie to ważą czasem ze czterdzieści kilo.

— Zasuszeni dziadkowie, tak?

— Ale mnie wcale nie przeszkadza, że jesteś gruby — mówi Angela i zatrzymuje się, szurając nogami po ziemi. — Jak dla mnie, fajnie wyglądasz. Tak jakoś zdrowo, jakbyś był piłkarzem albo kimś takim, tylko że już nie grasz. Ale nie masz zadyszki, nie przelewa ci się tłuszcz ani nic.

— Mówisz, że mama wciąż trzyma moje zdjęcia?

— No tak. Znalazłam je przypadkiem w szafie pod starymi ciuchami, jak szukałam butów. No i wtedy musiała mi już o tobie opowiedzieć.

— W szafie...

— Ale przynajmniej nie wycięła twojej twarzy — mówi Angela.

— Mama Margaret, mojej koleżanki, po rozwodzie wycięła jej tatę ze wszystkich zdjęć. Tylko twarz, i teraz, jak się ogląda ich zdjęcia, to widać Margaret i jej mamę, a obok stoi jakiś facet, tyle że zamiast twarzy ma dziurę. Dziwnie to wygląda, jakby były z Freddym Kruegerem.

— Jakim znów Freddym?

Angela zeskakuje ze śmiechem z huśtawki. Jej koński ogon trafia go w nos, łaskocze w czoło. Dziewczynka pochyla się, opiera ręce na kolanach i patrzy mu w oczy. Tęczówki są jasnoniebieskie, żywe, takie jak Roy widział rano w lustrze. Może to właśnie po nim? Jego oczy?

— Masz samochód? — pyta Angela.

— Mam.

— To chodźmy się przejechać.

Kelnerka w barze nie jest zaskoczona widokiem Roya, lecz dziwi ją, że jest bez Frankiego. A już na pewno zaskoczyło ją, że przyszedł z dziewczyną, właściwie jeszcze dzieckiem.

Zastanawia się, czy nie zadzwonić po gliny, ale rezygnuje z tego. Może to jego siostrzenica.

— Są wolne stoliki, Sandi? — zagaduje Roy, a kelnerka rozkłada szeroko ręce.

— Miejsca jest mnóstwo. Wybieraj.

Siadają w kącie sali, Roy nie chce być w pobliżu innych klientów.

Któryś z nich mógł go kiedyś widzieć przy robieniu przekrętu.

On i Frankie raczej nie robią szybkich numerów w lokalach, do których chodzą, ale czasami, dla rozrywki... Tak jak tę sztuczkę karcianą ze studentami. Nie chciałby teraz jakiejś sceny.

— Co tu mają dobrego? — pyta Angela.

— Wszystko chyba jest dobre. Ja często biorę indyka.

— Na żytnim chlebie?

— Tak, na żytnim. Angela promienieje.

— Ja też to lubię.

— Nie wciskasz mi gówna? — upewnia się Roy i szybko zakrywa usta. — To znaczy, mówisz poważnie?

Ona się śmieje, wysokim, pięknym głosem. To jeszcze chichot, ale już prawie śmiech. Tak na pograniczu.

— Mam czternaście lat — mówi. — Słyszałam już słowo „gówno”.

— Lepiej tak nie mówić.

— Jasne, ale czasami tylko to pasuje. Mówi się „gówna prawda” albo „wpadłam w gówno”; czasami nie ma wyboru.

Roy otwiera jadłospis i patrzy na słowa, które widział już tysiąc razy podczas posiłków.

— Mimo wszystko lepiej nie... nie ma takiej potrzeby, tylko to próbowałem powiedzieć. — Nie chce prawić jej kazań. Nie chce wydawać zakazów. W końcu dopiero co się poznali. To on był winny, że w ogóle użył tego słowa. — Dobra, nieważne — ucina. Angela wzrusza ramionami.

— Jak chcesz. — Czyta jadłospis, przesuując palcem po stronie. Roy obserwuje. Angela zastanawia się nad wyborem, wysuwając z kącika ust koniuszek języka. Heather też tak robiła. Roy się uśmiecha.

Dziewczyna to zauważa i odwzajemnia uśmiech.

— I co zamawiasz?

— Indyka na żytnim chlebie.

— Ja też.

Sandi przyjmuje zamówienie, przynosi im picie. Napoje gazowane dla obojga. Siedzą w milczeniu. Roy wciąż odwraca wzrok, lecz popatruje raz po raz na córkę. Wciąż szuka podobieństw. Może ramiona. A może podbródek?

— Jak się... co robisz dla rozrywki? — pyta.

— Idę gdzieś z kumplami. Do kina albo do centrum handlowego. Gramy na automatach.

Roy kiwa głową, jak gdyby sam tak robił:

— Fajna zabawa — stwierdza.

— No, może być.

Znów milczą. Roy chrząka, zaczyna coś mówić, lecz Angela wchodzi mu w słowo.

— Słuchaj, nie musimy nic mówić, możemy poczekać, aż się przyzwyczaimy do siebie. Pasuje ci to?

Roy jest jej wdzięczny. Parska krótkim śmieszkiem i kiwa głową. Dziewczyna rozsiada się wygodniej i rozgląda po barze.

Zdejmuje spinki z włosów, poprawia koński ogon i grzywkę.

Jedzenie zjawia się szybko. Roy skubie grzanekę, odgryza małe kęsy indyka. Angela pałaszuje błyskawicznie.

— Brzuch cię rozboli, jak będziesz tak jadła — ostrzega ją Roy.

— Coś ty. Raz w Pizza Hut zjadłam całą pizzę, i to nie taką małą, dla jednej osoby, tylko dużą, taką na osiem kawałków i na grubym spodzie. Potrafię zjeść każdą ilość, no, prawie każdą.

Jadłeś kiedyś kurczaka w sosie grzybowym, jakiego robi mama?

— Nie pamiętam.

— Jakbyś jadł, tobyś pamiętał. Od tego to dopiero może brzuch rozboleć.

Roy się uśmiecha, sięga pamięcią wstecz.

— My z mamą mało jadaliśmy w domu. Najczęściej na mieście, w fast foodach albo takich barach jak ten. Albo w klubach. Ciągłe w biegu.

— Mnie nie wpuszczają do klubów. Jest jeden dla młodzieży poniżej osiemnastki, ale pełno w nim pedałów. W środy wpuszczają od dwudziestu jeden lat, ale legitymują. W szkole był taki chłopak, który potrafił wrzucić zdjęcie do PhotoShopa i zrobić superlewe papiery, ale złapali na tym Robyn Markson i teraz nie dostanie prawa jazdy, dopóki nie skończy trzydziestki czy jakoś tak.

Roy nawet nie wie, od czego zacząć odpowiedź.

— Przecież to w tygodniu. Masz szkołę — mówi. Angela wywraca oczami.

— Nie powiedziałam, że tam chodzę, tylko że legitymuję.

— Aha.

— Mama się nie przejmuje tym, że mam szkołę.

— Nie przejmuje się, tak? W której jesteś klasie?

— Dziewiątej.

— Dobrze ci idzie?

— Nieźle. Jestem dobra z informatyki. I z WOS-u.

— To coś takiego jak geografia?

— Razem z historią i polityką. Wszystko w jednym. Pani Capistrano, moja nauczycielka, jest bardzo fajna. Pozwala mi siedzieć w swoim pokoju w czasie innych lekcji.

Angela zjadła już kanapkę i bierze się do zieleniny.

— A te inne lekcje nie są tak samo ważne?

— Są, ale...

— Posłuchaj tylko — mówi Roy. — Są ważne. Musisz chodzić na wszystkie lekcje.

Angela odchyła się na oparcie z kpiącym uśmiechem. Roy zna tę minę. To jego mina.

— Szkoła jest ważna, tak? A ty lubiłeś chodzić do szkoły? — pyta jego córka.

— Nie robiłem tego.

— Czyli nie lubiłeś, tak?

— Nie chodziłem. Przestałem po drugiej klasie. Angela siada prosto.

— Aha. To dlatego skończyłeś jako przestępca? Roy marszczy brwi. Dlaczego ona tak mówi? Czemu użyła tego słowa?

— Mama ci czegoś nagadała na mnie? — zauważa. Angela skubie sałatę.

— Niczego mi nie nagadała, po prostu jakoś mi to przyszło do głowy.

— To źle, że ci przyszło.

— To w czym się specjalizujesz? — pyta dziewczyna, ignorując jego protest. — Nie wyglądasz mi na takiego, co obrabia banki...

— Skończyłaś już jeść?

— ...ani na mordercę. Na mordercę na pewno nie. Od razu bym poznała, wiesz? Kiedyś byliśmy z klasą w więzieniu okręgowym; w szkole powiedzieli, że przyjrzymy się, jak działa sprawiedliwość, ale ja wiem, że chcieli nas zwyczajnie nastraszyć. No i widziałam, jak strażnicy prowadzili jednego więźnia z powrotem do celi, całego w kajdankach. Stałam i popatrzyłam mu w oczy, a on też na mnie spojrział, i od razu wiedziałam, że kogoś zabił. Wiem, jak wyglądają oczy mordercy. Ty nie masz takich oczu.

Roy wprost nie może uwierzyć, dokąd doprowadziła ich ta rozmowa.

— Skończyłaś już?

— Jeszcze nie odgadłam, jakimi przestępstwami się zajmujesz.

— Nie jestem...

— Nie ma sprawy. Każdemu się zdarzyło zrobić coś złego w życiu. Każdemu. A skoro ty masz taką pracę, to tylko zrobiłaś więcej takich rzeczy niż inni.

— Nie jestem przestępcą — upiera się Roy. — Handluję antykami.

— Nieprawda.

— Prawda. Handluję antykami. Kupuję i sprzedaję, kropka.

— Ojej! — zawołała Angela, nieco mniej pewnym tonem. — Ale kiedy byłeś z mamą, to...

— Jak byłem z twoją mamą, to byłem głupim szczeniakiem i robiłem głupie rzeczy, których teraz żałuję. I tyle. Popełniałem błędy, ale to było piętnaście lat temu.

— Jasne. — Angela jest teraz gdzieś daleko. Patrzy w/ dal nad jego ramieniem, potem w dół, na swoje dłonie. — To dawne dzieje — mówi.

Roy zabiera się do jedzenia. Dziewczynka milczy, a on się zastanawia, czy powiedział coś nie tak. Ma nadzieję, że nie. Ten pomysł z lunchem był dobry, mógł spokojnie posiedzieć i zapomnieć o przekrętach. Pogadać sobie tak jak z doktorem Kleinem, tyle że z kimś bliższym. Prawie jak z samym sobą. Przy lunchu. Na swój sposób było to miłe.

— Jest tu w pobliżu jakaś ciastkarnia? — pyta Angela, a jej niebieskie oczy błyszczą we fluorescencyjnym świetle baru. Roy kiwa głową, jego córka uśmiecha się i klaszcze w dłonie. Chyba wszystko zostało mu wybaczone.

Roy otwiera drzwiczki po stronie Angeli i pomaga jej wysiąść z samochodu. Przez obrotowe drzwi dworca płynie rzeka ludzi.

— Masz wszystko? Torebkę, portfel...

— Mam.

Roy sięga do kieszeni i wyjmuję spięty plik banknotów. Wyciąga jedną setkę z wierzchu i daje córce. Angela robi wielkie oczy.

— Masz, zjedz sobie coś w pociągu.

— O rany — śmieje się dziewczyna. — Mam zamówić kawior czy co?

Roy odpowiada śmiechem.

— Nie, ale pomyślałem sobie, że przyda ci się trochę kasy. Może będziesz chciała się napić.

— Sto dolców na colę? Chyba mało wychodzisz z domu. — Roy uśmiecha się, a ona pokazuje głową w stronę dworca. — Chcesz ze mną poczekać? Mam jeszcze pół godziny do odjazdu. Mogę się pouczyć, ale jak chcesz pogadać, to chodź.

— Nie, nie — mówi Roy. — Idź sama. Poucz się.

— Na pewno?

— Tak, ja muszę... — Za godzinę ma się spotkać z Frankiem w porcie. Ale Angeli nie zamierza tego mówić, choć, dziwna rzecz, miałby ochotę. — Jestem umówiony z klientem.

— W sprawie antyków?

— Mhm, w sprawie antyków.

— Aha. — Angela chowa banknot do kieszeni, drugą rękę opiera na biodrze. Podnosi torbę za pasek i wiesza ją sobie na szczupłym ramieniu. Wyjmuje długopis i notesik w koty. Pisze coś na kartce.

— To numer mojej komórki — mówi, wręczając mu kartkę. — Mama mi kupiła w zeszłym roku, jak urządziłyśmy z Becky maraton telefoniczny. Byłyśmy połączone przez sześć godzin bez przerwy. Mama Becky zabroniła jej dzwonić przez miesiąc, a ja dostałam komórkę. Fajnie, nie?

— Fajnie.

— Jak zadzwonisz pod ten numer, to ja odbiorę. Nie musisz się bać, że mama odbierze.

— Nie boję się. Właściwie to nawet powiedz jej cześć ode mnie, dobrze?

— Na wiele się to nie zda.

— Wiem, ale przekaz jej tylko, że powiedziałem...

— Dobra, dobra, powiem.

Roy wyciąga rękę, Angela nią potrząsa, przyciąga ku sobie. Roy podąża za tym ruchem, a ona wspina się na palce i całuje go w policzek. Krótki, miękki cmok.

— Do zobaczenia w przyszłym tygodniu? — pyta.

— W przyszłym tygodniu? — Roy wciąż czuje dotyk jej ust na policzku. Jest wilgotny, chłodny od wiatru. — No pewnie, tak, w przyszłym tygodniu.

Patrzy, jak córka przerzuca sobie torbę przez ramię i wchodzi do budynku dworca. Kilku stojących na schodach młodych mężczyzn też się jej przygląda. Zbyt długo. Rechoczą. W pierwszym odruchu Roy ma ochotę rozwalić im łby. Połamać ręce, żeby nie mogli jej dotknąć. Zgruchotać nogi, żeby nie mogli za nią pójść. Zgnieść krtanie, żeby nie mogli się śmiać.

Ale nie czuje ucisku ani bólu w czaszce. Nie wzbiera w nim żółć. Wszystko samo się rozwiązuje. Angela wchodzi w tłum, jej koński ogon podskakuje. Znika. Roy już zapomniiał, co go tak wściekło. Ze wszystkich stron mijają go ludzie, każdy podąża w swoją stronę. Obrotowe drzwi nie przestają się kręcić. Angela już się nie pojawia. On wsiada do samochodu i odjeżdża. Ma sprawy do załatwienia.

Siedem

Kiedy Roy wjeżdża do doków, auto Frankiego już tam stoi. Światła są zgaszone i chociaż raz nie gra głośna muzyka. Roya to cieszy. Lubi ładne piosenki tak samo jak każdy, ale nie tak głośno. I nie bez przerwy. Wjeżdża na pomost, koła dudnią po spaczonych deskach. Niewiele tutaj widać. Wyłącza silnik i czeka przy samochodzie. Wieje ciepła bryza i słychać chlupot wody, odgłos oceanu. Zalatuje martwymi rybami. Podobno przyływ wpycha je pod pomosty, nie mogą wypłynąć, a potem woda odchodzi, a one umierają i gniją. Kiedy słońce przypiecze, czasami eksplodują. Rybie wnętrzności pod pomostami, to właśnie zapach portu i oceanu. Roy rzadko tutaj bywa. Zostaje przy samochodzie, bo jest zbyt ciemno i nic nie widać. Nawet nie wie, dokąd mają iść. To Frankie ustawił całą akcję. Jeżeli pójdzie jak trzeba, jeśli ten Turek okaże się taki, jak Frankie mówi, to gra jest warta świeczki. Ale możliwe, że facet się wycofa, gdy tylko usłyszy propozycję. To już teraz nie wygląda za dobrze. Roy nie lubi dodatkowych współników. Pracuje tylko z tymi, których zna od

dawna. Frankie jest z nim już od siedmiu czy ośmiu lat. Co najmniej od pięciu robią razem przekrety. Dobrze im się pracuje. Przed Frankiem był Hank, a przed Hankiem Roy nie robił przekretów. To linia przekazu, sukcesja. Hank, Roy, Frankie. Czysto, bez zadr. Nie ma sensu teraz tego psuć. Wpaść przez jakieś głupie ryzyko.

— Roy, Roy — dobiega zza jego pleców natarczywy szept.

— Frankie, to ty? — Widać nie dalej niż na trzy metry. Światła są nieliczne i daleko. Księżyc skrył się za chmurami. — Gdzie jesteś?

— Między budynkami. Patrz w dół i idź po żółtej linii. Krawędzie pomostu obwiedzione są wąskim paskiem farby. Roy wpatruje się w tę kreskę i idzie, jakby szedł po linii. Wkrótce dostrzega szczupłą sylwetkę Frankiego między dwoma magazynami. Obok stoi na ziemi wypchana torba.

— Co tam jest? — pyta Roy.

— Folia.

— Do czego?

— Na dzieła sztuki. Jeżeli chcemy je rozprowadzać.

— Sztuka...

Frankie rusza przodem, Roy za nim.

— Tak, sztuka, sztuka z... Słuchaj, pogadamy z facetem i sam zobaczysz, dobra? Co, Roy?

— Dobrze, w porządku, przecież się zgodziłem. Pogadamy. Prowadź.

Gość chce rozmawiać o sztuce. Roy niczego nie wie na ten temat.

— Sprawdziłeś wszystko porządnie? — upewnia się.

— To cudo, spodoba ci się. Mówię ci, zupełny odjazd.
— Ale sprawdziłeś, tak? — docieka Roy. — Wszystko, dokładnie?

— Mówiłem ci. Znam Saifa już dwa lata.

— Skąd go znasz?

— Znam i tyle, nie martw się.

— Jasne. Więc skąd?

Frankie przyspiesza kroku, Roy stara się nadążyć.

— Skąd go znam? To kumpel chłopaka mojej siostry.

— Bardzo bliska znajomość.

— Odwal się — prycha Frankie.

— Mówię tylko, że jak sprawa nie będzie czysta...

— Jest czysta.

— Po prostu nie mam ochoty zobaczyć lufy przed oczami.

— To czysta sprawa. — Frankie jest poirytowany. — Jezu, Roy, ciężko się z tobą pracuje jak jasna cholera, wiesz o tym?

Roy uśmiecha się w ciemności. Są już przy wejściu do magazynu, niewielkich drzwiach przy rampie wyładowniczej. Frankie puka dwukrotnie. Drzwi się otwierają.

Magazyn jest wysoki, z osiem, dziesięć metrów. Krokwie znikają za obniżonym sufitem, z którego wiszą słabe żarówki. Podłoga zastawiona jest skrzyniami i pudłami. Ściany wyłożone pianką, tłumiącą dźwięk i światło. Na tym brezent. Impregnowane wewnątrz. Royowi podoba się taka ochrona, podoba mu się ten, kto to wymyślił. Sprytne.

— Frank! — woła ktoś z wnętrza magazynu, zbliżając się do nich. Cieszy się, że ich widzi. — Dobrze, że jesteś. Świetnie wyglądasz, przyjacielu. — Akcent jest cięższy,

niż się Roy spodziewał. Niepodobny do akcentu, jaki mieli inni Arabowie, z którymi robił interesy. Ale nie było ich zbyt wielu. Frankie bierze za ramię wysokiego, otyłego mężczyznę, który do nich podszedł. Jest ciemny — ciemna skóra, czarne włosy. Cienki wąsik nad górną wargą. Ostry nos. Nie wygląda jak Arab. Może tak wyglądają Turcy. Facet całuje Frankiego w policzek, obejmuje go. Frankie odwzajemnia uścisk. Roy wkłada ręce do kieszeni. To pewnie ten Saif.

Turek odsuwa się od Frankiego na wyciągnięcie ręki i pokazuje na jego górną wargę.

— Puszek już rośnie, co? Zapuszczasz te wąsy, o których mówiliśmy?

— My nie nosimy włosów na twarzy — wtrąca Roy. Saif przykłada dłoń do ucha.

— Nie nosicie...

— Włosów na twarzy. To znak szczególny. Z takim wąsem wskażą cię pierwszego na okazaniu policyjnym.

Śmiech Saifa dudni wśród ścian magazynu, wsiąka w piankową okładzinę.

— On już mi się podoba — mówi do Frankiego. Zamierza objąć Roya, lecz zamiast tego dostaje dłoń do uściśnięcia. Witają się. Roy patrzy na zegarek. Nigdzie mu się nie spieszy, ale nie zamierza spędzić reszty nocy w porcie. Czuć tu rybami, nawet w pomieszczeniu.

— Przejdźmy do sprawy, co? — przerywa Frankiemu konwersację. — Kolega powiedział mi, że masz jakiś towar do pogonienia. Od razu ci mówię: paserstwo nie wchodzi w grę.

— Dobrze o tym wiem — odpowiada Saif. — Frankie mnie uświadomił. Ale tu nie chodzi o jakiś tam... towar. Poszukuję raczej partnera do interesu, kogoś...

Frankie kurczy się, przewidując reakcję Roya.

— Partnera? — dziwi się Roy. — Chyba odniosłeś błędne wrażenie. My nie bierzemy współników.

— No ale przecież musisz współpracować z innymi?

— Na zasadzie: weź i daj. I to ja biorę.

— A Frank?

— Z Frankiem jestem od lat. Jakby chciał mnie przewalić, zrobiłby to już dawno. Co do ciebie nie mam takiej pewności. Roy odwraca się i chce odejść, lecz Frankie zastępuje mu drogę, próbuje ciągnąć z powrotem. Mówi szybko, urywanym głosem:

— Słuchaj, Roy, może zaczęliśmy nie tą nogą. Saif jest w porządku, mówiłem ci.

— Możesz pokazać mój towar, gdzie chcesz — oburza się Saif. Twarz mu pociemniała, głos się podnosi. — Nie ma lepszego towaru. Możesz zapytać o Saifa kogokolwiek w moim mieście, każdy ci powie, że jestem w porządku. Zapytaj, kogo chcesz.

— Roy jest bardzo ostrożny — mówi do niego Frankie. — Nie miał na myśli nic złego. — Odwraca się do Roya, który już znowu stoi do nich plecami. — Roy, posłuchaj mnie, sprawa jest czysta. Powiedziałeś, że pogadamy, że posłuchamy, o co chodzi. Roy wzdycha. Jest ostrożny, i bardzo słusznie, że jest. Tylko tak należy to rozgrywać. Ale ostrożność nie powinna psuć interesu, dopóki wszystkie kawałki pasują do siebie. Pieniądz to pieniądz.

— Dobra, pokaż nam, co tam masz — mówi do Saifa. Turek kiwa głową.

— Rozumiem twoje zastrzeżenia.

— Rozumiesz, tak? To dobrze. W takim razie tę część rozmowy mamy już za sobą. Obejrzyjmy towar.

Saif prowadzi ich przez magazyn. Roy patrzy na te wszystkie pudła i skrzynie, które przechodzą przez to miejsce.

— To ładunek ze statków? — pyta.

— Ze statków prosto do mojego magazynu — odpowiada Saif.

— Zajmuję się spedycją. Dostawy do domu. Część dociera do miejsca przeznaczenia, część... po drodze na przykład ulega zniszczeniu.

Frankie się śmieje; Saif także. Ale Roy nie.

— Skoro już masz zorganizowaną paserkę, to po co ci jeszcze my? — dziwi się.

— Mówiłem już, przyjacielu, że sprawa nie całkiem dotyczy... paserstwa. Proszę bardzo. Spójrz tylko.

Saif staje przy otwartej skrzyni, wysokiej na metr osiemdziesiąt. Boczna ścianka jest oderwana. Sięga do ciemnego wnętrza i wyjmuje obraz. Rozpięty na blejtramic, ale bez ramy. Stłumione barwy, plamy kolorów. Płótno pochłapane farbami. Malarstwo abstrakcyjne.

— Jakaś pieprzona chlapanina — prycha Roy. Saif kręci głową.

— To Pollock.

— Aha, Pollock.

— No, nie całkiem.

Roy patrzy na Frankiego. Czy przyszli tutaj bawić się w takie gierki?

— No to jak, Pollock czy nie Pollock?

— I to, i to — oznajmia z dumą Saif. — Ani to, ani to. Roy łapie, o co chodzi. Widział już takie numery.

— Czyli podróbka — mówi.

— No właśnie niezupełnie. — Saif śmieje się już otwarcie. Sytuacja go bawi. Ale Roya wcale.

— Za jakieś dwie sekundy stąd spadam — grozi.

— Proszę, nie. — Turek unosi dłoń. — Wszystko wytłumaczę. — Przyciąga malowidło bliżej, pod lampę. — Spójrz w prawy dolny róg, o tutaj — pokazuje palcem.

Widnieje tam wydrapana w niebieskiej farbie sygnatura. To tylko kilka zakrętasów, ale z pewnością nie jest to nazwisko Pollock.

— No i co to ma być? — pyta Roy.

— W Amsterdamie mieszka niejaki Philippe Marat, który jest najświetniejszym fałszerzem obrazów Jacksona Pollocka na świecie. Oryginalny Pollock jest już właściwie nie do kupienia, nawet dla niesamowicie bogatych ludzi, bo prawie nie ma jego obrazów na rynku. I tu właśnie zaczyna się rola Marata.

— Czyli tak jak mówiłem — stwierdza Roy. — To podróbka. Saif kiwa głową.

— Podróbka, ale nie Pollocka. To jest fałszywy Marat. Roy spostrzega uśmiech Frankiego i zaczyna rozumieć, dlaczego wspólnik go tutaj przyprowadził.

— Podróbka podróbki — zauważa.

— Prace Marata stały się tak poszukiwane — wyjaśnia Saif — że już nie może nadażyć z zamówieniami, dość mocno się wzbogacił i mógł sobie pozwolić na ograniczenie produkcji.

Popyt na Maraty potroił się w ciągu ostat-

niego roku, ale jest ich na rynku niewiele. I tutaj wkraczają moi ludzie.

Roy nie wie, co ma o tym sądzić. Obraz zupełnie do niego nie przemawia, przypomina mu dywan w mieszkaniu. Ale niektórzy na pewno lubią takie rzeczy. Roy widział ludzi, którzy byli gotowi zapłacić za zdjęcia z kostnicy, z sekcji zwłok. Już nic go nie zdziwi.

— I ludzie za to płacą? — pyta.

— Płacą, i to spore pieniądze. Kiedy pracowałem przez moich pośredników w Europie, te rzeczy sprzedawały się szybciej niż jakikolwiek inny towar. Mam więcej takich artystów i takich obrazów. Dla każdego Pollocka istnieje odpowiedni Marat, a dla Marata bezimienny facet w Afryce. Każdy Rothko ma swojego Gardinera i jego odpowiednika w Szwecji, i tak dalej. A ceny w Stanach są dużo wyższe niż za oceanem. Moi paserzy z Turcji mogą bez problemu...

— Nie zajmujemy się paserstwem — przerywa mu Roy. — Nawet bym nie wiedział, dokąd z tym...

— Ale znamy paru gości — wtrąca Frankie. — Mamy znajomków w mieście, Roy. Tutaj chodzi tylko o pośrednictwo, mamy być posłańcami. Porażka nie wchodzi w grę.

— Porażka zawsze wchodzi w grę. Saif wydyma wargi, kiwa głową.

— Rozumiem twoje obawy. Jeśli nie interesuje cię sztuka, jest całe mnóstwo moich krajanów, którzy pracują w interesie narkotykowym. Może...

— Żadnych narkotyków — przerywa Roy. — To jest podstawa.

— Podchodzi do obrazu, przesuwa dłonią po płótnie. Farba jest twarda, grubo nałożona. Zaskakuje go, że ma konkretną fakturę, pewną solidność. — Masz tego więcej?

— Setki — odpowiada Saif. — I co tydzień dochodzą nowe. Roy cofa się o krok i ponownie przygląda obrazowi. Wciąż nie potrafi obudzić w sobie zainteresowania, lecz wie, w jaki sposób robi się pieniądze.

— Ja się nie znam na sztuce — zaczyna, obchodząc Saifa. — Nawet nie będę udawał, że wiem, od czego zacząć. Nie mam pojęcia, kim jest ten Pollock albo Marat, nie potrafię odróżnić dobrej podróbki od kiepskiej...

— Zapewniam, że ta jest najlepsza na świecie.

— ...ale mogę w tej sprawie zaufać twojemu słowu. Dlaczego? Ponieważ Frankie za ciebie ręczy. I dlatego że nie znam się na malarstwie. Ani na fałszywym malarstwie.

— Wobec tego wypada mi tylko podziękować.

— Znam się za to na czymś innym, a mianowicie na przekrętach. Na szachrajstwie. Na kantowaniu. Nie wiem, jak to się nazywa w twoim kraju, ale my tutaj robimy to dłużej, niż twoi ziomkowie wypasają kozy. Znam każde podejście i potrafię je rozpoznać, zanim jeszcze kto inny w ogóle o tym pomyśli.

— Nie wątpię w to, przyjacielu.

Roy przygląda się Turkowi. Jego ubraniu, włosom. Pozie, w jakiej stoi na tle pomieszczenia, jak gdyby nikt nie miał odwagi do niego się zbliżyć.

— Powiedz no, wiesz, co to jest parasol, prawda? Saif się uśmiecha, rozkłada ramiona.

— Mam na myśli duży, czarny parasol. Najprostszy rekwizyt jaki może istnieć, ale powiem ci, jak to z nim było. W starych czasach naciągacz siedział na trybunach toru wyścigowego w deszczowy dzień i zbierał lewe zakłady.

— Lewe zakłady?

— Tak, nielegalne zakłady. W kasie dawali na przykład na jakiegoś konia w piątej gonitwie jeden do dziesięciu, a on ci dawał na tego samego konia jeden do dwudziestu. Ludzie chcieli zarobić, więc szli do koleśia na trybunach. No i siedzi taki na deszczu, wszyscy obstawiają, on przyjmuje pieniądze. Kasuje oczywiście zawsze z góry. Kiedy wyścig się rozpoczyna, ma w kieszeni dziesięć, dwadzieścia kawałków i trzy razy tyle z zaległych wypłat, ale w ogóle go nie obchodzi, który koń wygra, bo podczas finisu już go w tym miejscu nie będzie. W momencie kiedy odzywa się dzwonek i konie wypadają z boksów, wszyscy patrzą w tamtą stronę. Wtedy naciągacz rozkłada swój czarny parasol nad głową i znika w tłumie, wśród innych czarnych parasoli, razem z pieniędzmi. I nikt go już nigdy na tym torze nie zobaczy. Jeżeli zdecyduję się wejść w ten biznes — mówi dalej Roy, podchodząc blisko do Saifa i patrząc mu prosto w oczy — i zorientuję się, że choćby tylko spoglądasz w stronę swojego parasola, to cię zabiję. Żeby to było jasne. Po prostu cię zabiję. Saif kiwa głową i mówi cichym głosem:

— Całkowicie cię rozumiem.

— To dobrze. — Roy się śmieje, zadowolony. — Pokaż mi resztę tego badziewia.

Przez następny tydzień Roy i Frankie puszczają w obieg osiem obrazów, z perspektywami na następne. Ich kontakt w mieście, gość, którego Roy zna od czasów Hanka, zna faceta, który zna pewnego faceta, który zna pewnego faceta. Roy nie zamierza wchodzić w to głębiej. Za każdy

obraz mają z Frankiem osiem kawałków do podziału i to go całkowicie zadowala.

Trzeciego dnia tego handlu sztuką jeden z obrazów przyciąga uwagę Roya. Jest bardziej kolorowy od innych, ma ciekawe elementy. To też abstrakcja jak pozostałe, lecz Roy myśli, że gdyby dłużej się w niego wpatrzył, mógłby dopatrzeć się jakiegoś znaczenia.

— To jest Miró — wyjaśnia mu Saif. — Kobieta z Brukseli kopiuje faceta z Salwadoru, który podrabia hiszpańskiego malarza. Bardzo sławnego.

I w podziękowaniu za jego pracę, w geście dobrej woli, Turek daje obraz Royowi całkiem za darmo. Roy mimo wszystko płaci mu tysiąc dolarów, nie ufa bowiem niczemu, co jest darmowe.

Tego wieczoru po powrocie do domu wieszka obraz, nieoprawiony, nad ceramicznym koniem w swojej norze.

Malunek ostro kontrastuje z mdłymi akwarelami. Wnosi do pomieszczenia trochę światła. Roy postanawia spać w tym pokoju, po raz pierwszy od kiedy kupił dom. Rozkłada wersalkę i zasypia, patrząc na obraz. Na podróbkę Miró z Brukseli.

Nazajutrz budzi się późno. Przez okno wlewa się blask słońca i błękitnego nieba. Royowi starcza czasu tylko na prysznic i golenie; na śniadanie już nie. Ma umówione spotkanie z doktorem Kleinem.

— Spóźniłem się? — pyta sekretarkę, wchodząc do poczekalni.

— Spóźniłem się, prawda?

Wanda już przywykła do Roya. Uśmiecha się i pozdrawia go gestem dłoni.

— On też się czasem spóźnia — mówi. — Niech pan idzie, proszę się nie przejmować.

Klein siedzi jak zwykle za biurkiem i robi jakieś notatki. Jak zwykle. Roy zauważa stos fachowych książek na rogu biurka i rzuconą na dywan torbę podrózną.

— Cześć, doktorku. Jak tam sprawy z mózgiem? — Opada na krzesło i rozsiada się wygodnie.

Psychiatra podnosi głowę znad notatek.

— Roy. Widzę, że się podniosłeś.

— W ostatniej chwili. Prawie zasnęłam.

— Mam na myśli sprawy emocjonalne. Podniosłeś się z tej depresji. Dobrze to widzieć.

— To te czarodziejskie pigułki, doktorze. Coś w nich jest.

Klein parska śmiechem.

— To SNRI, mówiąc fachowo, ale niech będzie... czarodziejskie pigułki. Po tym czasie powinny właśnie dawać taki efekt. —

Psychiatra zagląda do notatnika, bawi się korytkiem na długopisy. — Słyszałam, że miło spędziliście czas z Angelą. Podobno nieźle poszło?

— Tak, nieźle. Wie pan, ja się znam na czternastolatkach tak samo jak na ogrodnictwie. Ale dość fajnie nam się rozmawiało, tak mi się wydaje. No, całkiem dobrze to poszło. — Roy urywa, ciekaw jest, skąd doktor wie, że się polubili. — Rozmawiał pan z nią?

— Rozmawiałem, no i właśnie chciałbym z tobą omówić pewną sprawę.

— W związku z Angelą?

Roy słyszy, że za jego plecami otwierają się drzwi poczekalni. Rozlegają się kroki w wyłożonym boazerią korytarzyku. Lekkie, beztrudne. Wie, że to ona, nawet nie odwracając się, nawet jej nie widząc, ubrana w kracias-

tą spódniczkę i niebieską bluzkę, rozrywająca zębami opakowanie batonika.

— W automacie nie było snickersów — informuje Angela — i musiałam wziąć twiksa. Nienawidzę tych maszyn. — Widzi Roya i na jej twarzy wykwita uśmiech. — Cześć, Roy. Ładny krawat.

Wbiega do pokoju i cmoka go w policzek. Roy nie jest pewien, czy ma oddać pocałunek, ale Angela już tymczasem siada na przeznaczonym dla niej wyściełanym krześle, z podwiniętymi nogami. Podryguje tak jak kiedyś Heather.

— Dzisiaj jest... środa — mówi Roy zdziwiony. — Myślałem, że odezwiesz się dopiero w weekend.

— No, wiem, zaraz ci wszystko wytłumaczę. Zacznę od tego, że powiedziałam mamie cześć od ciebie. Pamiętasz, jak na stacji mnie poprosiłeś, żebym to zrobiła, a ja powiedziałam, że to się na wiele nie zda, a ty...

— Pamiętam.

— No więc powiedziałam, że ty powiedziałeś cześć, a ona powiedziała, że nic jej to nie obchodzi. Ja na to, że moim zdaniem to nic złego, że powiedziałeś jej cześć, a skoro chciałeś to powiedzieć, to powinna przynajmniej posłuchać. To tylko jedno słowo, no nie? Cześć i tyle. Ale ona odpowiedziała, że nie chce tego słuchać i nie chce, żebym ja mówiła w twoim imieniu. Ja odpowiedziałam, że ona nie będzie decydować, w czyim imieniu ja mogę mówić, a ona na to, że jeżeli jeszcze raz powtórzę, że powiedziałeś jej cześć, to dostanę karę. Więc ja oczywiście powiedziałam, że powiedziałeś jej cześć, specjalnie, żeby zobaczyć, co ona zrobi, no i dała mi karę. Wtedy zaczęłam to powtarzać w kółko, a ona się wściekła. Ja też się trochę

wściekłam, no i... — Angela uśmiecha się, podnosi z podłogi torbę podróżną i kładzie ją sobie na kolanach. — Masz chyba jakiś wolny pokój u siebie, co?

— Czy to się często zdarza? — pyta Roy wieczorem Angelę, rozkładając jej pościel na wersalce. W norze jest ciemno, Miró chowa się w cieniu. — Często uciekasz z domu?

— Ale nie jesteś wściekły ani nic? — upewnia się Angela. — Czasami mi się zdarza.

— Wściekły? Nie, tylko nie spodziewałem się...

— Najczęściej zostaję u koleżanek ze szkoły. Parę dni trzeba przeczekać, a potem mama wraca do normy i wpuszcza mnie z powrotem do domu.

Roy wzbija puch w poduszce, najlepiej jak umie.

— Wciąż ma charakterek, co?

— Można to tak nazwać. Czasami jest super, kupuje mi lody i łązimy sobie, po prostu włóczymy się po mieście, rozumiesz? Chodzimy i gadamy i w ogóle, i jest fajną mamusią. Kumple siedzą u mnie do późna i jej to nie przeszkadza. Kiedy indziej znów wścieka się na mnie bez powodu, zupełnie jej odbija.

Szarpie się za włosy, wrzeszczy, biega po domu jak oszalała.

Nawet pies się wtedy chowa pod stół, jakby się bał, że coś jej strzeli do głowy.—Angela siada na rozłożonej wersalce, która

trzeszczy pod jej nikłym ciężarem. — Czy jak byliście razem, ona też taka była?

Roy przysiada na skraju wersalki, która się pod nim zapada.

— Trochę tak — odpowiada. — Często na siebie krzyczeliśmy, nie wiem, skąd się to brało. Raz, pamiętam,

poszliśmy coś przekąsić późnym wieczorem już po zamknięciu klubów. Znaleźliśmy taki bardzo fajny lokal, który był otwarty do trzeciej.

— Jak ten twój bar?

— Nie jak bar. Zazwyczaj jadaliśmy w barach, ale to było raczej takie miejsce, gdzie się chodzi po teatrze. Wiesz, po przedstawieniu ludzie czasami chcą pójść coś zjeść. Tyle że my nie byliśmy z takiego towarzystwa. Ale nic, usiedliśmy, zamówiliśmy jedzenie, przyglądamy się ludziom naokoło, w garniturach, w sukniach, śmiejemy się do siebie i nagle ktoś... chyba to był pomocnik kelnera... rozlał trochę wody na podłogę, koło jej nóg. Koło butów twojej mamy. I nie wiem, czy to były jakieś wyjątkowe buty, czy nie, ale twoja mama zupełnie odleciała. Odleciała na miotle, można by rzec, a potem wetknęła ją w tyłek temu biednemu pomocnikowi kelnera. Zanim nas wyrzucili, zdążyła im rozbić trzy serwisy i obrazić wszystkich gości. — Roy uzmysłowił sobie, że się uśmiecha, opowiadając tę historię. Dobrze jest o tym porozmawiać.

— To do niej pasuje.

— No właśnie. — Roy wzrusza ramionami.

— Myślisz, że wciąż by taka była, gdybyście się nie rozeszli? Patrzy na córkę, a ona robi niewinne oczy.

— Co masz na myśli?

— To, co powiedziałam. Może mama ma w sobie tyle złości, bo musiała mnie wychowywać sama.

— Zaraz, zaraz — mówi Roy wzburzony. — Przecież ja nie porzuciłem twojej mamy. Nawet nie wiedziałem... że ty jesteś na świecie.

Angela kładzie dłoń na jego rękę. Kojącym gestem.

— Nie to miałam na myśli. Nie winię ciebie ani nikogo. Może trochę mamę. Pomyślałam tylko, że gdybyście byli razem, byłoby jej lżej. Nie żyłaby w takim stresie.

— Być może. Chociaż wątpię. Ja... ach, zostawmy to. Jest późno, ty jesteś zmęczona. Jeżeli jesteś głodna, to mam konserwy w lodówce.

— Nie jestem. Ale dziękuję.

— Mam zamrożony chleb, wystarczy tylko podgrzać w mikrofalówce. Mam musztardę. Jest też jakaś zupa, chyba jednak już trochę stara, więc... lepiej jej nie jeść, ale mam zupę w puszkach w spiżarni.

— Roy, naprawdę nie jestem głodna.

— Dobra. Jeżeli chcesz się napić... czy ty pijesz?

— Mam czternaście lat.

— No jasne. — Nie jest pewien, jak ma to rozumieć. — Więc jakbyś coś chciała, to barek jest w salonie, obok wieży.

Angela wsuwa się pod kołdrę, naciągając ją pod samą brodę. Porusza się jak Heather, myśli Roy. Jakby płynęła przez powietrze.

— Muszę jeszcze wyjść — oznajmia córce. — Jesteś tu bezpieczna.

— Będę spała. Dokąd idziesz?

— Mam spotkanie z klientem.

— Znowu? Tak późno w nocy?

Roy kiwa głową i narzuca patchwork na kołdrę Angeli.

— Antyki nie lubią czekania — mówi. Dziewczynka chichocze i przewraca się na bok, z poduszką w objęciach.

— Dobranoc, Roy.

— Śpij dobrze, Angela.

Roy i Frankie siedzą w barze i ten drugi nie przestaje rozprawiać o handlowaniu sztuką. Ma plany, wielkie plany, oznajmił właśnie swemu wspólnikowi. Pomysły i sposoby, nowe metody dystrybucji towaru na cały kraj. Sieci — lokalne, regionalne, globalne. Frankie widzi w tym główny biznes, jakim powinni się zająć w przyszłości, główne źródło ich dochodu. Roy przez cały ten czas zastanawia się, czy Angela ma się dobrze w jego mieszkaniu. Czy zasnęła bez przeszkód? Czy się przypadkiem nie obudziła i nie spojrzała na ceramicznego konia? Czy czasem nie zdjęła z niego głowy? Czy nie zajrzała do środka? Jeżeli to zrobiła, będzie musiał jej powiedzieć, w jaki sposób zarabia na życie. Jeżeli tak się stało, będzie się musiał ujawnić.

— Poza tym uważam — mówi Frankie — że powinniśmy brać zyski ze sprzedaży, powiedzmy w Anglii, i przerzucać je do naszych pośredników w Azji. W ten sposób stworzymy dwa osobne fundusze, dwie niezależne operacje.

— Mhm — mruczy Roy. Jego indyk jest dzisiaj jakiś suchy, musztarda nic nie pomogła.

— Do tego dochodzi wymiana walut. Jeżeli trafimy z tym na właściwy moment, możemy zarobić dodatkowo kilka stów na każdej sztuce tylko dzięki różnicy kursów. Widziałem wczoraj na CNN, jak to się robi.

— Aha. Masz rację.

Frankie odkłada hamburgera na talerz. Patrzy na swego nieobecnego wspólnika.

— Pomyślałem, że może wrócę dzisiaj wcześniej do domu i przelecę chomika — mówi spokojnie.

— Dobry pomysł — odmrucuje Roy.

Frankie podrywa się z krzesła i rzuca widelcem o ziemię. Roy się wzdryga, wytrącony z transu.

— Myślałem, że te cholerne pigułki działają — rzuca Frankie ostrym tonem.

— Co? Oczywiście, że działają.

— To znaczy, że ich nie bierzesz. Niech cię diabli.

— Biorę, przecież biorę, o czym ty mówisz, do cholery? Usiądź spokojnie. — Roy rozgląda się po sali. Urządzili scenę; inni goście patrzą w ich stronę, szepczą między sobą. — No już, siadaj.

— Co się z tobą dzieje, do kurwy nędzy? — Frankie wciąż na wpół stoi. — Co ty masz znowu za problemy?

— Najpierw się uspokój, potem pogadamy.

— Już gadaliśmy. W każdym razie ja gadałem. Ty przez pół godziny powtarzałeś tylko „mhm” i „aha”. Niech to szlag, ja mówię o interesach, o zarabianiu pieniędzy, a ty sobie gdzieś bujasz w obłokach.

— To nie jest tak. Tylko...

— Ja wiem — przerywa mu Frankie — dla ciebie ten biznes ze sztuką jest niepoważny. Dziesięć kawałków to dla ciebie nie pieniądze...

— Nic podobnego — mówi Roy. — Dziesięć kawałków to dziesięć kawałków.

— ...bo masz już tyle pieprzonej kasy, że ci uszami wyłazi. Ty i te twoje inwestycje, te twoje... co tam jeszcze z tym robisz.

Roy zastanawia się, ile Frankie wie. Albo wydaje mu się, że wie. Jest pewien, że Frankie nie wie o koniu. I jest

też pewien, że Frankie nie wie o Kajmanach, o kontaktach bankowych. Roy nie zamierza ryzykować. Frankie jest jego wspólnikiem, Frankie jest w porządku. Ale oszczędności są Roya i nikt poza nim nie powinien się nimi interesować.

— Uspokój się — powtarza. — Usiądź spokojnie. Nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że ja mam tyle pieniędzy.

— Przestań. Dzielimy się po połowie, wiem, ile zarabiasz.

— No to zarabiasz tyle samo.

— Ale ja wydaję. Kupuję sobie fajne rzeczy. A ty masz swój gówniany mały samochodek, gówniany mały domek i garnitury sprzed dziesięciu lat. I zawsze mówisz o oszczędzaniu, o czarnej godzinie, o tym, że w życiu naciągacza wszystko się może zdarzyć i podobne bzdury.

Roy się prostuje, oddycha głęboko. Bez większych trudności.

— O co ci właściwie chodzi? — pyta.

Frankie opada z powrotem na stołek. Inni goście przestają patrzeć, przedstawienie skończone.

— Chodzi mi o to — mówi — że ja wciąż jeszcze muszę biegać za pieniędzmi, rozumiesz? Muszę robić to, co robimy, tylko po to, żeby się utrzymać na powierzchni. I nie jest dobre dla mojego morale, gdy mój wspólnik wypina tyłek na wszystko, co powiem.

— Nie wypinałem tyłka — odpowiada Roy, ale wie, że tak było. Nie zawsze słuchał Frankiego dość uważnie. Dzisiaj z pewnością go nie słuchał. — Ja tylko... — szuka odpowiednich słów.

Frankie czuje się urażony, to widać. Chce mieć pewność, że wszystko wróci do normy. Roy to naprawi. Wyjaśni. Diabła tam, przecież i tak by się wyda-

ło. — Mam dziecko — mówi po prostu. — Mam córkę. Nosi imię Angela. Ma czternaście lat i dzisiaj nocuje u mnie w domu.

Frankie odgryza kęs hamburgera i śmieje się z pełnymi ustami.

— Kiepski dowcip, Roy.

— Jeśli to dowcip, to na razie nie znam jego zakończenia — mówi Roy i opowiada współnikowi całą historię.

W drodze do portu Frankie oznajmia Royowi wprost, jak widzi całą tę sytuację.

— Nie podoba mi się. W ogóle mi się nie podoba.

— To tymczasowa sprawa — tłumaczy mu Roy. — Angela poprzytykała się z matką, zostanie u mnie tylko dzień czy dwa, dopóki to nie przyschnie.

— Chodzi mi o to, że ty nie masz pojęcia, co to znaczy mieć dziecko — mówi Frankie.

— A ty masz?

— Nie. Ale nie przyjąłbym go, ot tak sobie, tylko dlatego, że psychiatra mi to doradził.

— Ale to moja... ja ją zrobiłem, po prostu. I częściowo... słuchaj, czuję się za to odpowiedzialny, i już. Jakoś tam po swojemu odpowiedzialny. I jeśli to wymaga takich akcji z mojej strony, będę to robił.

— To niebezpieczne.

— Wcale nie. — Wjeżdżają na nabrzeże i Roy parkuje w tym samym miejscu, naprzeciw magazynu Saifa. — Ona nie wie, czym ja się zajmuję, nie ma z tym nic wspólnego.

— Ale wygląda na to, że miałyby ochotę.

— Nie pozwolę. Nie próbuj jej poznać, nie przychodź do mnie, żeby ją zobaczyć. Koniec kropka.

Frankie trzaska drzwiczkami przy wysiadaniu. Roy puszcza to mimo uszu. Idą do magazynu, Frankie przodem. Roy niesie torby na zakupy, wypchane pieniędzmi. Nie lubi nosić pieniędzy, robi się wtedy nerwowy. Próbuje przyglądać się ceniom po drodze, ale musi uważać, gdzie stawia nogi. Woń gnijących ryb wciąż wisi w powietrzu. Dobrze by było, gdyby powiał wiatr.

Saif wita ich jak zwykle, z ramionami rozłożonymi szeroko do uścisku. Roy się poddaje. Ostatnim razem pozwolił mu na to i stworzył precedens. To cena za robienie interesów z Syryjczykami, Turkami czy kim on tam jest.

— Czterdzieści kawałków — informuje Frankie Saifa, wykładając pieniądze z toreb na wieko skrzyni. — Za Kandinsky'ego i tego drugiego... jak się nazywa ten z czarnym kwadratem na środku i pomarańczowym z boku?

— Wilder — wyjaśnia Saif.

— No właśnie. Piętnaście za Wildera i dwadzieścia pięć za Kandinsky'ego.

Turek pstryka palcami. Zjawia się chudy mężczyzna w niebieskim kombinezonie i zabiera gotówkę.

— A wasza działka? — pyta.

— Już odliczona — mówi Roy. — Tak jest szybciej. Jeśli to wszystko, będziemy znów jutro po następną partię. — Rusza do wyjścia.

— Przyjaciele! — woła Saif. — Może macie chwilkę? Roy nie ma; chce już wrócić do domu. Położyć się do łóżka. Sprawdzić, czy Angela dobrze śpi. Czy jest

bezpieczna. Patrzy na Frankiego, którego oczy, jak oczy zebrzącego psa, mówią wszystko. Zostańmy. Posłuchajmy go.

— Tak, słucham? — Roy odwraca się z westchnieniem.

— Ponieważ tak dobrze nam się współpracowało przez ostatnie tygodnie — mówi Turek — może to odpowiedni moment, żebyśmy jeszcze wzmocnili nasz związek.

Roy kręci głową.

— Nie całuję się przed piątą randką — mówi. Saif się uśmiecha.

— Męczy mnie już ten handel sztuką — ciągnie. — Wciąż te same rzeczy, już od tylu lat. Oczywiście zarobek jest spory, ale już mnie to zaczęło... nudzić.

— Znajdź sobie jakieś hobby — proponuje mu Roy. —

Szydełkowanie, golf. Co ja mam z tym wspólnego?

— Hobby, które mnie najbardziej interesuje, to wasz styl życia — mówi Turek.

— Nasz styl życia?

— Przekręty. Kanciarstwo. Interesuje mnie wejście do waszego układu.

— Zdawało mi się, że wyraziłem się jasno — odpowiada Roy. — Nie bierzemy wspólników.

— Może jako czeladnik...

— Nie zajmujemy się takimi rzeczami.

Saif spogląda na Frankiego. Roy widzi, że już wcześniej o tym rozmawiali. Frankie zachęca Saifa skinieniem głowy i Turek mówi dalej:

— Rozumiem, że do większych akcji, takich... długoterminowych, potrzebujecie kapitału.

— Nie robimy takich.

Robią, ale nie za często. Turek nie musi o tym wiedzieć.

— Rozumiem, że te długoterminowe przynoszą największe zyski. A ja mam niezbędny do tego kapitał.

— Pieniądzy nam nie brakuje. Dziękuję, ale nie. Saif nie przestaje mówić, jego słowa płyną ponad słowami Roya.

— Mam także wielu przyjaciół z podobnymi funduszami, z podobnym kapitałem. Niejeden z nich poszukuje dobrej inwestycji.

Roy porusza się precyzyjnie. Stawia wymierzone, mocne kroki. Chce wbić to w tęą głowę Saifa.

— Nie wiem, ile jeszcze razy będę musiał ci powtórzyć — mówi beznamytnym tonem. — Może powinienem ci to wydrapać na czole. Może powinienem to wyryć na twoim nagrobku. Ponieważ jednak robimy razem ten biznes z malarstwem, postaram się być miły jeszcze ten jeden raz i powiem ci wyraźnie: Nie. Bierzemy. Wspólników.

Saif odpuszcza. Patrzy w ziemię.

— Rozumiem. Może innym razem, przyjaciele. Innym razem.

Roy czuje, jak w głowie narasta mu ucisk. Słyszy szum pędzącej wody. Ściany magazynu zaczynają się zamazywać i Roy wie, że musi się rozluźnić. Pomyśleć o kapsułkach, które ma w domu. O tym, jak dobrze na niego działają. Pomyśleć o Angeli śpiącej w jego norze. Nie może teraz wybuchnąć, nie tutaj.

Zgrzytając zębami, z zaciśniętą szczęką, Roy chwyta Frankiego za ramię i w milczeniu wyprowadza z budynku, w noc, w rybią woń.

Frankie jest podenerwowany.

— To właśnie o takich sytuacjach mówiłem — skarży

się. — Ty tak właśnie postępujesz, facet chce robić z nami interesy...

Roy odwraca się twarzą do niego. Frankie po raz pierwszy od lat widzi w jego oczach autentyczny gniew, teraz już nie musi się powstrzymywać, dobierać słów ani mówić spokojnym tonem.

— Nigdy więcej nie próbuj działać za moimi plecami, rozumiesz to, Frankie? Mamy układ, nie pracujemy w ten sposób. Skoro jesteś ze mną, to jesteś ze mną, i tamten kutas w to nie wchodzi, choćby miał nie wiem ile kasy, rozumiemy się?

— Jezu, Roy, nie chciałem nic złego... myślałem, że ci się może spodobać ten pomysł.

— To, co zrobiłeś, co chciałeś zrobić, to nie jest nos do interesów, tylko proszenie się o śmierć. Ile znanych ci układów trzyosobowych albo czteroosobowych przetrwało na tyle długo, żeby nie wylądować w końcu po drugiej stronie więziennej bramy? Bierzesz dodatkowego faceta, to masz dodatkowy kłopot na głowie. Nie znasz tego Turka dobrze, znasz go dwa lata, sam powiedziałeś. Skąd wiesz, czy mu się nie odmieni i nie wbije ci noża w plecy? Zresztą pieprzyć cię, może *mi* wbić nóż w plecy! Jak uzna, że mu tak pasuje. Weźmie nasze pieniądze i zniknie.

— Chyba trochę przesadzasz — mówi cicho Frankie, który wyraźnie spotulniał.

— Chyba nie dość przesadzam. Powinienem cię rzucić rekinom na pożarcie, i tyle. Hank zawsze mi powtarzał: jeśli twój wspólnik świerzbią stopy, nie podawaj mu maści, niech sobie idzie. Chcesz odejść, tak, Frankie? Chcesz od dzisiaj pracować z Saifem?

— Nie, rany boskie, Roy, nie...

— Nie chcesz, tak? — Powietrze już uszło z Roya; ucisk zelżał. Puściło. Widzi już normalnie, dostrzega w ciemnościach samochód. — Bo stanowimy dobry zespół, prawda? — ciągnie spokojniejszym tonem. — Jesteśmy dobrą parą, ty i ja. I nie spieprzmy tego. Zgadza się?

— Dobrze już, dobrze.

— W porządku. Rozmowa skończona.

Roy nie chce obudzić Angeli, ale nie chce też schować ośmiu kawałków, które ma w kieszeni, byle gdzie. Musi je ukryć w ceramicznym koniu. Wie, że to głupie. Że koń nie jest wcale bezpieczniejszy od szuflady czy kredensu. Ale taką ma zasadę i niezależnie od wszystkich leków chce schować pieniądze w koniu, i już.

Wchodzi do nory na palcach, wstrzymując oddech. Trudno tak iść, bolą go łydki. Angela śpi na wersalce, rozkopała kołdrę, lecz ramionami wciąż obejmuje poduszkę. Nocna koszula podeszła jej powyżej kolan i Roy stara się nie patrzeć na nogi Angeli. Jak nogi Heather. Długie. Lepiej patrzeć gdzie indziej, na przykład na konia.

Głowa jest ciężka, jak zawsze. Im ciszej Roy stara się zachowywać, tym więcej chyba robi hałasu. Ceramiczna szyja trze o korpus, gdy ją podnosi. Roy zamiera w bezruchu. Po karku spływają mu kropelki potu. Angela oddycha głębiej, z lekkim chrapnięciem, i przewraca się na bok. Odwraca się do ściany; doskonale.

Roy znowu unosi głowę i tym razem mu się udaje.

Opiera ją na biodrze i podtrzymuje jedną ręką, a drugą wyjmuje z kieszeni pieniądze. Wpycha banknoty do otworu, ugniatając te w środku. Jest pełno, zbyt pełno. Trzeba się udać na Kajmany, i to niedługo. Za dużo gotówki w domu. Nie powinno się tyle trzymać.

Nałożenie głowy z powrotem idzie łatwiej. Nic już się nie ociera i nie zgrzyta. Roy stoi przez chwilę, wpatrując się w Miró na ścianie. Ten obraz jest jak Angela, myśli. Ma w sobie życie. Wśród wszystkich, które wiszą na jego ścianach, tylko ten żyje. Może jutro poprosi Saifa o jeszcze jeden.

— Roy? — To Angela za jego plecami. Lekki skurcz serca.

— Spij spokojnie — mówi, odwracając się. Dziewczynka patrzy na niego poprzez ciemność, wsparta na łokciu. Nie widziała go przy koniu. Prawdopodobnie go nie widziała. — Teraz się obudziłaś? — pyta.

— Mhm. Możesz mi dać wody?

— Oczywiście. Poczekaj. — Roy idzie do kuchni, znajduje czystą szklanekę i nalewa trochę wody z kranu. Wrzuca kostkę lodu, żeby ją ochłodzić, i wpuszcza odrobinę cytryny do smaku. Kranówka nie jest zbyt dobra w jego dzielnicy.

Wraca do pokoju, przysiada na rogu kanapy i podaje córce szklanekę.

— Dzięki. — Angela upija łyk. — Sucho tutaj.

— Zawsze tak jest. To przez te wiatry.

— Jak poszło spotkanie? — Pije znowu.

— Dobrze. Będę miał kupców.

— Na co?

— Na to, co sprzedaję. Serwis stołowy, bardzo stary.

Angela uśmiecha się i zsuwa sobie włosy na twarz, pasemka zasłaniają jej oczy. Roy widzi teraz tylko usta ułożone w uśmiechu.

— Mogę ci jeszcze zadać pytanie?

— Jutro. Śpij już.

— Dlaczego mama od ciebie odeszła? Ten dzieciak i jego wątpliwości.

— Musiałabyś ją o to zapytać.

Angela oddaje mu szklankę i kładzie się. Roy przykrywa ją kołdrą.

— To też była część tej naszej awantury — mówi dziewczynka.

— Pytałam ją, ale nie chciała powiedzieć. Klęła na ciebie.

— O, to na pewno. No cóż... — Roy nie zamierza opowiadać Angeli o tym jedynym razie, kiedy jego pięści były szybsze niż rozum. Heather i tak w końcu by go opuściła. Może dostrzegła zbliżający się koniec dużo wcześniej od niego. — Ja naprawdę nie wiem, dlaczego właściwie twoja mama odeszła. Może uznała, że jestem złym człowiekiem?

— A jesteś? — dziwi się Angela, już niewyraźnie, biorąc znów w objęcia poduszkę. Wtulając się w nią. Zapadając w sen. — Jesteś złym człowiekiem?

— Tak.

— Nie wyglądasz na takiego.

— Na tym to częściowo polega. Dlatego jestem w tym taki dobry. Angela zamyka oczy, jej głowa zagłębia się jeszcze bardziej w poduszce.

— Ja nie uważam, że jesteś złym człowiekiem. Moim zdaniem w ogóle nie jesteś zły.

— Młoda jesteś — mówi Roy, poprawia jej kołdrę i idzie do drzwi. — Śpij już. — Wychodzi na korytarz, zamyka drzwi i patrzy na znikającą smugę światła z nory. On też już chciałby się położyć. Kieruje się do swojej sypialni. Dwa metry dalej słyszy jeszcze pomruk Angeli: „Wcale nie jesteś zły”.

Sześć

Roy jeszcze nigdy nie był w takim sklepie. To butik. Boczne oświetlenie, dziwna muzyka. Jedno z tych miejsc, które się pokazuje w telewizji. On zawsze kupował sobie garnitury w domach towarowych. A jeden kupił nawet w hurtowni, po niższej cenie. Do dzisiaj dobrze mu służy. Ale ten sklep mieści się w centrum handlowym i ma znaną nazwę. Roy tego oczywiście nie wiedział, lecz Angela od razu się zorientowała. Pisnęła radośnie, złapała go za rękę, zaprowadziła tam i przedstawiła go facetowi w satynowej kamizelce. Ani się obejrzał, jak zaczął przymierzać marynarki, spodnie i krawaty.

— Ja nie potrzebuję czegoś takiego — mówi do córki. Ma na sobie niebieski garnitur w lekkie prążki, z czerwonym krawatem.

— Potrzebujesz, potrzebujesz. Już ja się na tym znam.

— Nie rozumiem, co jest złego w moich starych garniturach.

— Są stare.

— Jeszcze się nadają — upiera się Roy.

— Widziałam je. A jestem znana z tego, że dbam o siebie. I ty też powinieneś.

Roy przygląda się sobie w lustrze. Marynarka układa się przyjemnie na piersi, skrywając wypukłość brzucha. Rękawy nie podjeżdżają do góry. Spodnie opierają się na biodrach, nie uciskają go w pasie. Wcale nie jest tak strasznie mieć na sobie coś, co dobrze leży. Co porządnie wygląda.

Znajdują jeszcze dwa podobne garnitury, dwa sportowe płaszcze, kilka koszul i krawatów. Angela kursuje pomiędzy przymierzalnią i stojakami, wrzucając mu wciąż nowe rzeczy do mierzenia. Te, które mu się podobają, gromadzi przy kasie, resztę odnosi na wieszaki.

Gdy jest po wszystkim, prowadzi Roya do sprzedawcy.

— To urządzenie to kasa fiskalna — mówi z lekką kpina w głosie. — Mieli takie, kiedy ostatnio kupowałeś garnitur?

Roy uśmiecha się do sprzedawcy.

— To moja córka — wyjaśnia. — Przynajmniej do czasu, kiedy ją zabiorą z powrotem do domu dziecka.

Dziewczynka daje mu kuksańca w brzuch, a on się śmieje.

Kasjera to nie obchodzi. Sumuje pozycje i wymienia kwotę:

— Sześć tysięcy czterysta osiemnaście i sześćdziesiąt pięć centów. Czeka czy karta?

— Gotówka — odpowiada Roy.

Sprzedawca nie wie, czy nie powinien się roześmiać, ale nie powinien. Przed wyjściem z domu Roy pogrzebał w koniu i wybrał banknoty o dużych nominałach, lecz stosik studolarówek i tak robi wrażenie, leżąc na wąskiej

ladzie. Roy przelicza je i czeka na resztę. Angela przypatruje się, jak kasjer upycha pieniądze w szufladkach kasy. Nie chcą się zmieścić.

— Tata handluje antykami—wyjaśnia sprzedawcy. — Interes mu dobrze idzie.

Po odwiedzeniu trzech kolejnych sklepów Angela przekonuje Roya, żeby poszedł się ostrzyc. Fryzjerka ma na imię Daphne i przez całą sesję strzyżenia paplają z Angielą o filmach i aktorach. Roya to cieszy, sam nie musi nic mówić.

Atrakcje barowych ogródków w centrum handlowym to dla Roya też nowość. Zawsze widział, jak ludzie tam jedzą, ale sam nigdy nie próbował. Oboje zamawiają chińszczyznę, oboje makaron z warzywami. Okazuje się, że to jej ulubiona potrawa. Jego też. Kolejna rzecz, którą Angela ma po nim. Oczy, indyk na żytnim chlebie i teraz ta chińszczyzna. Dobry początek.

— Wykończyłaś mnie — mówi Roy. — Nie wiedziałem, że zakupy to taka gimnastyka.

— Bo nigdy nie chodziłeś ze mną po sklepach. Jak chcesz, to po lunchu możemy jeszcze obejrzeć buty w sklepie Prądy.

— Mów mi wuju. Może najpierw przetrawię, potem pogadamy. Angela dłubie w swoim makaronie, nawija go na pałeczki.

— Jak... płaciłeś w tamtym sklepie, to była prawdziwa gotówka, tak?

— Tak jest.

— To dużo pieniędzy, żeby tak trzymać... wiesz, przy sobie. Czeki są bardzo dobre. Bardzo dużo ludzi ich używa.

— Nie mam zaufania do banków.

— W ogóle?

— W ogóle. Nie ufam im i tyle.

— Nie rozumiem — mówi dziewczynka. — Myślisz, że mogą ci ukraść pieniądze? Bank cię zrobi w konia?

Roy nabiera kęs jedzenia, wciąga nitki makaronu do ust.

— Biorą twoje pieniądze — tłumaczy jej — i wpuszczają je w różne biznesy: leasingi samochodów, kredyty hipoteczne i tak dalej. Zarabiają dziesięć procent, a tobie dają z tego dwa. Kradną osiem procent z twoich pieniędzy.

— Ja tam się na tym nie znam — przyznaje Angela. — Z matmy miałam na semestr tróję. Wiem tylko, że takiej gotówki nie powinno się trzymać w domu.

Roy wzrusza ramionami. Krótkie włoski na jego karku ocierają się o kołnierzyk koszuli.

— Za krótko mnie obcięła — stwierdza.

— Dobrze obcięła. Fajnie wyglądasz.

Roy przeciąga dłonią po czaszce. Nie ma tam już czego przyglądać.

— Wyglądam jak rekrut.

— Nieprawda. Wyglądasz ładnie, zaufaj mi.

Jedzą chińszczyznę. Popijają napoje gazowane. Patrzą na przechodzących obok ludzi. Na tłum kupujących. Szczęśliwych konsumentów.

— Jesteś handlarzem narkotyków — oznajmia Angela. — Mnie możesz powiedzieć.

Makaron staje Royowi w gardle. Kaszle raz i drugi. Wypluwa część do serwetki, resztę przełyka.

— Co takiego?

— Mnie to nie przeszkadza. Każdy jakoś zarabia na życie.

— Skąd ci to... Ja nie handluję żadnymi narkotykami!
— Handlarze antykami raczej nie biegają po mieście z kieszeniami wypchanymi gotówką.
— W tym interesie płaci się gotówką.
— Tylko nie sprzedawaj dzieciom. To nie jest w porządku. Nie sprzedajesz dzieciom, prawda?
— Rany boskie. — Roy stara się nie podnosić głosu. — Powiedziałem ci już, że nie handluję narkotykami.
— No to co robisz? — Pytanie jest proste i precyzyjne. Angela nachyla się do Roya z poważną miną.
— Jestem... słuchaj, co to za różnica?
— Żadna, ale chcę wiedzieć. Powiedz mi, co robisz. Roy rozgląda się po ogródku. Gospodynie domowe zajadają pizzę calzone. Biznesmeni wsuwają szybki gyros z frytkami. Nikt chyba nie patrzy w ich stronę. Nie zajmuje się nimi.
— Powiem ci — wymięka Roy — ale na tym koniec i zjemy spokojnie lunch?
— Układ stoi.
— Pamiętaj, koniec to koniec. Zero gadania.
— Jasne. Stoi.
— Jestem naciągaczem.
Angela robi wielkie oczy i odchyła się na oparcie plastikowego krzesła.
— Super — mówi przeciągle.
— Wcale nie super.
— Jesteś oszustem.
— Tak.
— Kanciarzem.
— Tak.

— Szwindlujesz. Robisz przekrety. Wykręcasz numery.
Wyłudzasz kasę.

— Widzę, że znasz bajer — mówi Roy.

— Chodzę do kina. O rany, ale fajnie.

— Moja robota to nie jest film. Nie jest wcale zabawna, to gra.
Robię... złe rzeczy. Dobra, powiedziałem ci, co robię, a teraz ty
dotrzyмай umowy i zjedz do końca.

— Naucz mnie czegoś.

— Koniec, Angela.

— Oj, przestań. Nauczysz mnie czegoś?

— Chyba ci całkiem... niczego cię nie będę uczył. — Royowi nie
smakuje już chińszczyzna. Chciałby poczuć w gardle żółć,
rozniewać się na córkę. Nie powinna zadawać tych pytań. Ani
prosić go, żeby ją uczył oszukiwania. Ale żółć się nie pojawia.
Nie ma ucisku w głowie.

— Jedną sztuczkę — błaga dziewczynka. — Tylko jedną, żebym
mogła pokazać w szkole.

— Rany boskie. Nie!

— Dobra, nie pokażę w szkole. W ogóle nie będę jej próbować,
przysięgam, chcę tylko wiedzieć. Chcę zobaczyć, jak ty to robisz,
to jest takie ciekawe...

— Posłuchaj no. — Roy chwyta ją za ramię i prawie wyciąga z
krzesła. Jego dłoń zaciska się na miękkim ciele. Czuje pod
palcami, jak napręża się jej mały biceps. — To, co robię, nie jest
fajne. Ani zabawne. Wyciągam pieniądze od ludzi, którzy są na
tyle głupi, że pozwalają je sobie wyciągnąć. A ty jesteś dobrą
dziewczynką, dobrą osobą i nie zamierzam uczyć cię takich
rzeczy.

Roy puszcza jej ramię. Angela wstaje. Wydyma usta. Nie
usiądzie z powrotem, nie dokończy jedzenia. Będzie wydymała
usta.

— Usiądź i jedz — mówi Roy. Lecz ona nie słucha. Ręce opuszczone, głowa zwieszona. Patrzy spode łba na niego, przez niego.

— Proszę bardzo. — Roy wraca do swojej chińszczyzny. — Stój sobie. Rób tę minę. Ja jestem głodny.

Dopiero w samochodzie, cztery przecznice za centrum handlowym, uświadamia sobie, że ona się do niego nie odzywa. To już lata całe, piętnaście co najmniej, jak miał ostatnio ciche dni. Już zapomniał, jak to jest. Angela siedzi na miejscu pasażera, ręce zaplecione na piersi, wpatrzona w drogę. Już nie wydyma ust, tylko patrzy przed siebie.

— Gdzie byś chciała teraz pojechać? — Nie ma odpowiedzi. To mu wystarcza za odpowiedź. — Chcesz posłuchać radia? Nawet nie drgnęła. Roy jest pod wrażeniem. Nachyla się i włącza radio, szuka po skali, znajduje stację z muzyką klasyczną. Nie lubi takiej muzyki, ale jest pewien, że Angela jeszcze bardziej. Pogłównia i powietrze wypełniają tony skrzypiec.

— Jak będziesz chciała, żebym ściszył — przekrzykuje muzykę — to mi powiedz!

Zero reakcji. Roy próbuje ponownie.

— Otworzyć okna? Chcesz, żebym otworzył okna? — Brak odpowiedzi, więc Roy naciska guzik i wewnątrz auta wypełnia wiatr. Targa włosy Angeli, rozwiewa na twarz, na oczy. Ona ani drgnie. Dobra jest, myśli Roy. Jej matka w tym momencie już by wymiękła. Zaczęłyby wrzeszczeć albo śmiać się; jedno i drugie dałoby mu satysfakcję. Ale Angela się trzyma. Jest z niej na swój sposób dumny.

Zabiera ją do kina. Na komedię. Cała sala się śmieje.

Ludzie pękają ze śmiechu, krztuszą się. A jego córka siedzi z kamienną twarzą. Roy rzuca w nią popcornem, kawałek zostaje jej we włosach. Angela strąca go ręką i znów zaplata dłonie na piersi. Wydyma usta.

Przez całą kolację to samo. Kupił mrożoną pizzę we włoskich delikatesach niedaleko domu. W połowie posiłku wyłącza telewizor, żeby przekonać się, czy ona nie przemówi. Nie, nie odzywa się. On włącza telewizor z powrotem. Żeby nie było ciszy, żeby coś się działo. Cokolwiek. Później, kiedy ściele jej łóżko, Angela nie zadaje mu pytań. Nie nagabuje go. Nie całuje w czoło. Nie robi niczego, co dotychczas robiła. Nawet nie mówi mu dobranoc.

Roy kładzie się spać, przekonując sam siebie, że ona pęknie rano. Jest uparta, jest dobra w byciu uparciuchem, ale to przecież jeszcze dziecko. Musi w końcu chcieć pogadać. Musi się złamać. Śniadanie przebiega w ciszy. Jakby jedli w próżni. Roy się stara, i to bardzo. Bez efektu.

— No dobra — mówi w końcu, odsuwając talerz. Angela siedzi naprzeciwko, jeszcze w nocnej koszuli. — Dobra, w tę grę można grać we dwoje.

I od tej chwili też przestaje się odzywać. On nic nie mówi. Ona nic nie mówi. Siedzą, wgapiając się w siebie nad talerzami niedojedzonych płatków. Prosto w oczy. Walka mocy.

Chłopaka z kasy w sklepie spożywczym właśnie rzuciła jedyna dziewczyna, która pozwoliła mu kiedykolwiek dotrzeć do drugiej bazy. Jessica. Jego Jessica. Nosila

okulary i trochę się śliniła przy całowaniu, ale była jego. On ma szesnaście lat, jest chudy, pryszczaty i nienawidzi tej roboty. Ale innej nie było, poza pakowaniem w sklepie osiedlowym. Nie chciał spotykać w pracy kolegów ze szkoły, więc zatrudnił się tutaj, daleko od domu. Nienawidzi tej pracy, lecz lubi pieniądze, które mu to daje. Może się teraz umawiać na randki. Jeżeli będzie miał z kim.

Koło południa wchodzi do sklepu dziewczyna. Prawie wskakuje do środka, gdy tylko otwierają się drzwi. Pierwszo-, może drugoklasistka. Ładna. Rudobrazowe włosy do pasa, tak jak u Jessiki. Ale zgrabniejsza od niej. Szczupła, długie nogi. Piękne usta.

Angela przechadza się tanecznie między półkami, żeby na pewno ją zauważono. Podchodzi do kasy i przebiega palcem po półeczce z gumami do żucia.

— Masz jakąś ulubioną? — pyta chłopaka.

— Ulubioną gumę?

— Mhm. Chcę sobie kupić, ale nie wiem jaką. Możesz coś doradzić?

Chłopak za kasą odchrząkuje. Rzadko kto pyta go o zdanie. Ładne dziewczyny nigdy go nie pytają.

— Lubię dentyne — mówi.

— Dentyne! Aha, ja ją uwielbiam. — Dziewczyna się śmieje.

Chyba nie kłamie. — Jesteśmy gumowymi bliźniakami. —

Kasjer kiwa głową. Uśmiecha się. Nie jest pewien, o co jej chodzi, ale podoba mu się to. — Ile kosztuje? Czterdzieści pięć centów?

On wie, że guma kosztuje pięćdziesiąt, ale chce się pokazać.

Zrobić na niej wrażenie. Przykłada więc gumę do skanera i cena wyskakuje na ekranie.

— Pięćdziesiąt centów — mówi lekko łamiącym się głosem. — Pięćdziesiąt.

Angela grzebie po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych, wyginając się przy tym na boki. Chłopak usiłuje nie patrzeć na jej tors, na miękkie piersi tuż przed swoimi oczami. Umyka wzrokiem ku półkom sklepowym, potem ku jej twarzy. Skupia się na twarzy.

— Nie mam drobnych — oznajmia w końcu dziewczyna. — Tylko to. — Podaje mu banknot dwudziesto-dolarowy, uśmiecha się zmieszana. — Głupio mi, że ci daję dwudziestkę za coś, co kosztuje pół dolca.

— Coś ty — chłopak macha ręką — wszyscy tak robią. Facet potrafi dać stówę, a kupuje tylko wodę. — Otwiera kasę, wybiera drobne. Podaje dziewczynie dziewiętnaście pięćdziesiąt, próbując przy tym dotknąć skóry jej dłoni. Jest gładka, tak jak się spodziewał.

— Dzięki — mówi ona, chowając resztę do kieszeni. Otwiera gumę i wsuwa sobie listek do ust. Opiera się o kontuar, jej twarz pół metra od jego. — Chodzisz do szkoły gdzieś tutaj? — pyta. Młody człowiek przetyka ślinę i modli się w duchu, żeby jego głos utrzymał równy ton.

— Tak jakby. Chodzę do Hamiltona.

— Naprawdę? Super. Miałam tam koleżanki, parę razy byłam z nimi na meczu. Czeka... już wiem, skąd znam twoją twarz. Jesteś w drużynie futbolowej, prawda?

On nie chce się zaczerwienić. Naprawdę nie chce. Usiłuje uspokoić oddech.

— Nie — odpowiada. Chciałby coś zmyślić, skłamać, ale nie może. — Nie.

— Na pewno?

— Co? No tak... to znaczy, mógłbym się zapisać, ale wiesz, mam dużo innych zajęć.

Angela kiwa ze zrozumieniem głową.

— Szkoda — mówi, wyciągając rękę i dotykając jego ramienia. Muska palcami jego biceps. — Z takimi ramionami... No ale cóż, ich strata, nie?

— Jasne. No właśnie. Trochę mu duszno.

Ładna dziewczyna, która zawitała do jego sklepu, posyła mu ostatni uśmiech i rusza do wyjścia, do rozsuwanych drzwi. Chce ją zawołać, poprosić o imię, numer telefonu, lecz struny głosowe odmawiają mu posłuszeństwa. Wtem ona się zatrzymuje, okręca na pięcie i wraca do lady. Może sama zaproponuje mu spotkanie. Może sama wykona pierwszy ruch.

— Znalazłam drobne — stwierdza, kładąc na ladzie dwie ćwierćdolarówki.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Co mają drobne wspólnego z randką? Ale już łapie: guma. Jej guma.

— O, świetnie — mówi i wrzuca jej monety do szufladki w kasie.

— Mogę prosić moją dwudziestkę z powrotem? — pyta ona, mrugając tymi swoimi dużymi błękitnymi oczami.

On kiwa głową i wyciąga banknot. Podaje jej, a ona chowa go do kieszeni. Chłopak wbija wzrok w podłogę; łatwiej mu będzie mówić, nie patrząc na nią.

— Słuchaj — zaczyna, słowa więzną mu w gardle — może kiedyś... moglibyśmy gdzieś pójść razem?

Nie ma odpowiedzi. Boi się podnieść wzrok. A jeśli ona się z niego śmieje? Ale nie śmieje się i już mu nie odpowie. Gdy kasjer

wreszcie zdobywa się na odwagę i podnosi głowę, rozlega się dzwonek przy wyjściu i dziewczyna jest za drzwiami.

Na zewnątrz Angela zwalnia kroku, a z przejścia za sklepem wychodzi jej naprzeciw Roy.

— Masz dwudziestkę? — pyta.

— Mhm.

— I dziewiętnaście pięćdziesiąt reszty?

— A jak. — Śmieje się.

— To jest właśnie numer z dwudziestką — wyjaśnia Roy. — Najstarsza sztuczka w podręczniku. No, może nie najstarsza, ale...

— Rany, ależ to było łatwe. Nie myślałam, że aż tak.

— To najprostszy numer. Podstawy. Musi być łatwy. Inne takie nie są.

— Wiem, wiem. Ale... to fajne uczucie. Jakbym dla odmiany zrobiła coś tak jak trzeba.

Roy wzrusza ramionami. Cieszy się, że dobrze jej poszło.

— Nie ma się czym chwalić. Tak się to robi i już.

— Nieważne — mówi Angela. — Powtórzmy to. Na końcu ulicy jest sklep Seven-Eleven.

— Nie ma mowy. Miał być jeden numer.

— Daj spokój, jeden marny sklepik nikomu nie zaszkodzi. Jak mam nabrać wprawy, jeśli nie będę ćwiczyć?

— Wcale nie masz nabierać wprawy. Skończyłaś z tym. Tego się właśnie obawiał, tej pokusy łatwych pieniędzy.

On też zaczynał od dwudziestek, a potem poszło już po spirali.

Hank nauczył go później całego systemu, ale to ten pierwszy numer z dwudziestką przesądził o sprawie, wciągnął go do gry.

— Chcesz iść na lunch? — pyta córkę, mając nadzieję, że znów się nie obrazi.

— Jasne. — Jest rozczarowana, lecz odzywa się do niego.

Rozsądna dziewczyna. Zna granice.

Coś brzęczy w jego tylnej kieszeni. Jakby go łaskotało w tyłek. I znowu. Sięga tam i natrafia na twardy kawałek plastiku. Pager.

Chyba ustawiony na wibrowanie. Roy nienawidzi tego urządzenia.

Wyciąga pager z kieszeni i spogląda na numer. Nie zna go, ale na końcu są cztery dodatkowe cyfry: 2420. To kod Frankiego.

— Aj, cholera.

— Co?

— Muszę zadzwonić.

Angela przechyliła głowę, uśmiecha się.

— Pilna sprzedaż antyków?

— Przestań. Muszę znaleźć automat. Dziewczynka podaje mu swoją komórkę, ale Roy zbywa ją gestem ręki.

— Możesz dzwonić — mówi Angela. — Mam ze dwadzieścia milionów darmowych minut.

— Automat — upiera się Roy. — Inaczej nie dzwonię. —

Przyspieszają kroku, Roy rozgląda się za budką telefoniczną. Jest po drugiej stronie, przy sklepie. — Zaczekaj. Zaraz wracam.

Kiedy się wcisnął do niewielkiej budki, spostrzegł, że córka przeszła przez ulicę razem z nim. Macha do niego przez szybę.

Roy wybiera numer z pagera, czeka, aż Frankie się odezwie.

— Halo? — Jakiś niepewny głos. Nieznajomy.

— Frankie?

— Nie, tutaj Bob.

— Bob?

— Tak.

Roy nie wie, co o tym sądzić.

— Czy ty do mnie dzwoniłeś, Bob?

— Nie, to ty zadzwoniłeś. Na ten numer.

— Zgadza się — mówi Roy. — Bo dostałem sygnał na pager.

Zadzwoniłem pod numer z pagera...

Mówiąc to, Roy słyszy w tle inne głosy. Chyba głos Frankiego, podenerwowany.

— ...się od tego telefonu, ty pieprzony bęcwale. Oddawaj słuchawkę, no już... — Jakaś przepychanka, stłumione stęknienia. Wreszcie odzywa się Frankie, głośno i wyraźnie. — Roy?

— Tak, to ja. Co się tam dzieje?

— Jestem na lotnisku. Dałem ci sygnał na pager, poszedłem się odlać, a tu jakiś dupek odebrał telefon. Kto, do kurwy nędzy, odbiera telefony w budkach?

— Bob odbiera. Co masz za problem?

— Wykluwa mi się tutaj pewna sprawa. Jesteś mi potrzebny. Jamajska podmianka, już rozkręcona, pracowałem nad tym od kilku tygodni. Gość jest gotowy do obrobienia, mam go na widelcu.

Angela przyciska twarz do szklanej ściany budki, jej policzek nabiera monstrualnych proporcji. Roy się odwraca.

— Załatwiam tu pewną sprawę — mówi. — To nie może poczekać do jutra?

— Nie ma mowy. Gość jest mimozowaty, może się wycofać.

— I ma pieniądze?

— Przy sobie, dlatego dzwonię.

Angela znów jest przed nim za szybą, ze szminką w ręce. Rysuje coś na szkle; po chwili Roy widzi, że to cyfry: 7-11, 7-11, 7-11. Odwraca się i teraz jest już zaplątany w przewód telefonu.

— Jaki utarg? — pyta.

— Równe trzydzieści kawałków — mówi Frankie. — Jestem z nim umówiony w barze, w terminalu Deltę o trzeciej.

Roy patrzy na zegarek; zbliża się druga. Wliczając korki i przystanki po drodze, może zdążyć na styk.

— Chyba dam radę.

— Weźmiesz papiery i szmal na przynętę?

— Jasne — mówi Roy. — Jaka waluta?

— Funty.

— Mam odstawić Anglika czy coś takiego? Nie wychodzi mi ten cholerny akcent; ostatnim razem jak wykombinowałeś to francuskie gówno...

— Amerykański bankier — odpowiada ze śmiechem Frankie. — Środkowy Zachód w każdym calu.

— Dobra. O trzeciej w terminalu Deltę w barze. — Angela zdążyła już popisać wszystkie szyby budki czerwoną szminką. Cyfry 7 i 11 patrzą na niego z każdej strony. A ona podskakuje i tańczy na zewnątrz, śmiejąc się i machając do niego. Roy wie, że będzie musiał postanowić, co z nią zrobić. Wie, że nie zdąży już jej nigdzie zostawić. I wie, że ona i tak by się na to nie zgodziła.

— I przywiozę przeszkadzajkę — dodaje.

Frankie nie rozumie.

— Przywieziesz co?! — krzyczy. Roy się rozłącza i wychodzi z budki.

— Kto to był? — chce wiedzieć Angela.

— W interesach.

— Ojej — piszczy dziewczynka. — Mogę ci pomóc? Roy przyspiesza, prawie biegnie. Angela dotrzymuje mu kroku.

— Możesz.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Nie cieszy mnie to zbyt, ale nie mam wyboru. Zrobisz to, co ci powiem, i wszyscy na tym skorzystamy. Chciałaś ćwiczyć, to sobie poćwiczysz.

— Powiedz, co będę robić. Jakie mam zadanie.

— Musisz odstawić ostrą awanturę. Poradzisz sobie z czymś takim?

Angela śmieje się przez całą drogę do samochodu.

Frankie siedzi już z frajerem przy stoliku w barze. Roy widzi ich przez matowe okno. Przed każdym stoi drink, facet rzuca nerwowe spojrzenia. Oczy naokoło głowy. Roy sprawdza godzinę, jest spóźniony pięć minut. Musieli zajrzeć do domu i zadzwonić do kolegi w kasie walutowej w banku. Pięć minut to nie tak źle. W prawej ręce trzyma neseser, zwyczajny czarny neseser ze złotymi zapięciami. Niczym się nie wyróżnia, jest typowy. W robocie Roy najbardziej lubi właśnie takie. Jest ich w tym mieście, jak i w każdym innym, tysiące. Hank używał do jamajskiego przekrętu szpanerskich podróbek Gucciego, ale Roy uważał to zawsze za zbyt ostentację. To bez sensu marnować takie porządne podróbki.

Poprawia marynarkę, sprawdza fryzurę w lustrze. Ma na sobie jeden z tych nowych, kupionych wczoraj garniturów. Bankierzy noszą właśnie takie. Roy postanowił,

że w razie czego jest z Rhode Island. Nie chce grać kogoś ze Środkowego Zachodu.

— Dobrze cię widzieć — mówi po wejściu do baru, wsuwając się za stół. Podaje rękę Frankiemu, nie wymieniając jego imienia. Nie wie, jak się przedstawił facetowi, lepiej nie używać imion. Frankie dokonuje prezentacji.

— Chuck — zwraca się do frajera — to jest Arden Davis, bankier, o którym ci wspominałem.

Wymieniają uścisk dłoni.

— Miło poznać. Chuck, tak? — upewnia się Roy.

— Charles — odpowiada tamten. — Ale może być Chuck.

Słuchaj, nie bardzo pewnie się czuję w tej sytuacji.

Roy siada, poprawia marynarkę. Neser stawia na podłodze przy swoich nogach.

— Nie czujesz się pewnie?

— W tym całym... Z tym... wszystkim. To się dzieje za szybko jak dla mnie.

— Ale dlaczego? — pyta Frankie. — Może to przez lotnisko?

— Lotnisko i...

— Możemy się przenieść gdzieś indziej. — Frankie odwraca się do Roya. — Ty masz niedługo lot, tak? Dokąd lecisz?

— Do Dallas. Jeden z naszych klientów chce założyć konto kapitałowe, na którym franki będą zamieniane na liry, więc muszę się z nim spotkać, wyjaśnić, jak to wszystko działa. — Roy się śmieje i zaczepia przechodzącą obok kelnerkę. — Słodkiutka, martini proszę, dobrze? Dzięki. — Wraca do rozmowy. — Tym właśnie się zajmuję całymi dniami, wyjaśniam ludziom, jak obracać pieniędzmi.

Cała ta przemowa raczej nie uśmierzyła niepokoju frajera. Wciąż umyka spojrzeniem w bok, czego Roy nie znosi.

— Masz jakieś obawy — chce wiedzieć Frankie. — Rozumiem to. Pogadajmy o tym.

Chuck kręci głową. Odpycha się od stolika.

— Nie o to chodzi. Tylko... to są duże pieniądze i ja...

— Słuchaj, próbuję ci właśnie pomóc — wchodzi mu w słowo Frankie. — Kurczę, pewnie, że ja też skorzystam, nie ma co ściemniać. Ale wszyscy będziemy wygrani, jakkolwiek na to patrzeć. Popraw mnie, jeżeli się mylę.

— Nie, nie—jąka się Chuck. — Ja się zgadzam, tylko... Frankie kiwa głową Royowi, który sięga po stojący na podłodze neseser. Kładzie go na stole z głuchym plaśnięciem. Rozgląda się, czy nikt na nich nie patrzy, i pstryka zamkami. Ustawia neseser przodem do Chucka i powoli unosi wieko. Funty. Najprawdziwsze angielskie funty, ułożone w sztywnych cegiełkach banknotów. Wypełniają neseser po brzegi. Chuck mocno przetyka ślinę.

— To jest... cała suma? — pyta.

— Trzydzieści tysięcy — odpowiada Roy, zamykając neseser i przekręcając kluczyk w zamkach. Zniża głos do szeptu. — To jedna z dodatkowych korzyści, gdy się człowiek zajmuje wymianą walut w banku.

— Arden jest wiceprezesem — wyjaśnia Frankie. To wysoki szczebel. A ty masz swoją działkę, Chuck?

Tamten kładzie na stół swoją teczkę, poklepuje ją. Frankie przysuwają do siebie i otwiera. Dolary amerykańskie, ułożone w taki sam sposób jak funty.

— Trzydzieści tysięcy — szepcze Chuck. — Tak jak uzgodniliśmy. Ale nie wiem, czy... no, sam już nie wiem...

— Rany boskie, człowieku — mówi Frankie, prostując się. — Robimy ci przysługę. Dostajesz trzydzieści tysięcy funtów... ile to będzie, Arden?

— Po dzisiejszym kursie... — Roy udaje, że się zastanawia, jakby dokonywał w myśli obliczeń. Ale właściwą sumę zapamiętał już pół godziny temu. — Czterdzieści dziewięć tysięcy osiemset z kawałkiem.

— Czterdzieści dziewięć osiemset — powtarza Frankie. — Jeśli zrobimy wymianę, zarobisz prawie dwadzieścia tysięcy dolarów za siedzenie na tyłku i pomoc mojemu przyjacielowi. Wiesz, ilu ludzi rzuciłoby się na taką możliwość z pocałowaniem ręki? Frankie ciągnie, łagodnie punktując Chucka. W tym momencie wchodzi do baru Angela. Roy unosi brwi. Dziewczynka rusza w ich stronę; w prawej ręce niesie neseser, zwyczajny czarny neseser ze złotymi zamkami. Roy opuszcza rękę, ona przystaje kilka stolików od nich.

— Wiem, że to trochę paranoja — jęczy Chuck. — Wiem, ale skąd to pochodzi? Czyje są te pieniądze?

Frankie nie wierzy własnym uszom.

— Czyje... no nie, ty chyba żartujesz.

Roy ignoruje Frankiego, na tym etapie podprowadzacz powinien wycofać się w cień. Podprowadził frajera i teraz sprawę przejmuje zamykacz. Jednak Frankie nie bardzo potrafi wycofywać się w cień; Roy często ma wrażenie, że musi walczyć ze swoim współnikiem o prowadzenie. Może następnym razem zamienią się rolami. Choć to wątpliwe.

— To jest dodatkowa forsa — wyjaśnia Roy Chuckowi. — Niezaksięgowana. Pływa po wierzchu ksiąg rachunkowych jak śmietanka po kawie.

— I ty ją po prostu... zgarnąłeś? — Frajer powoli chwyta haczyk, ogarnia go podniecenie.

— Dokładnie tak.

Kelnerka podchodzi do stolika, balansując tacą z martini. Roy podnosi prawą rękę i drapie się po nosie. Angela, z idealną precyzją, przechodzi w tym momencie obok ich stolika. Kiedy kelnerka się pochyła, stawiając szklaneczkę przed Royem, Angela, osłonięta jej ciałem, opuszcza nesoser przy jego nogach. Po odejściu kelnerki ton głosu Chucka narasta. Już go całkiem wessało.

— Czyli na dobrą sprawę jest to sprzeniewierzenie, nie owijając w bawełnę?

Roy uwielbia, kiedy wypowiadają to słowo. Ludzie oburzają się, słysząc o zwyczajnej napaści rabunkowej, ale kiedy chodzi o złodziejstwo w białych rękawiczkach, to ważna jest tylko wysokość zysku.

— Skoro chcesz to tak nazywać, Chuck — mówi Roy. — Cholera, wziąłbym te pieniądze dla siebie, ale nic nie mogę zrobić, bo w banku jestem pod ścisłą obserwacją. Audytorzy i ochrona siedzą mi na karku, zorientowaliby się, gdybym wymienił choć centa.

Chuck załapał istotę sprawy.

— Więc jeśli wymienisz u mnie...

— Wtedy nikt się nie dowie. Weźmiesz te funty i wymienisz je sobie spokojnie, gdzie będziesz chciał. Nawet tu na lotnisku widziałem kantor.

— Tego bym nie polecał — wtrąca Frankie.

— Pewnie, że nie — dodaje Roy. — Chodzi mi o to, że dla niego to jest bezpieczne. Nikt go nie prześwietli.

Chuck jeszcze się zastanawia, ale Roy wie, że jest gotowy.

— No dobra, jak to zrobimy? — pyta frajer.

— Całkiem zwyczajnie — odpowiada Roy, pukając palcem w stół. — Leżą tu dwie teczki. Jak wstaniemy od stolika, ty weźmiesz moją, a ja twoją. Ty wychodzisz, my odczekujemy chwilę i też wychodzimy. Załatwione.

— Wydaje się... proste — mówi Chuck.

— Bo jest.

Na drugim końcu baru podnosi się jakiś rwetes. Głośna rozmowa, krzyki. Piskliwy głos młodej dziewczyny.

— Po jaką cholereę wam mój dowód? — awanturuje się. — To jakiś pieprzony bar na lotnisku, a wy żądacie ode mnie dowodu? Barman próbuje do niej przemówić, załagodzić sprawę, ale to na nic. Dziewczyna łapie za kufel z bufetu i wrzeszczy:

— Rozwalę wam w diabły całe to szkło! Nie myślcie, że tego nie zrobię!

Kiedy szklane naczynia zaczynają fruwać i roztrzaskiwać się o podłogę, wszyscy w barze odwracają się w tamtą stronę.

Włącznie z Chuckiem. I z Frankiem. Roy natomiast wykorzystuje tę okazję, żeby zamienić swój nesoser z funtami na ten przyniesiony przez Angelę. Swoją wsuwa pod krzesło. Cała zamiana nie trwa nawet dwóch sekund.

Scenka przy bufecie kończy się równie szybko, jak się zaczęła.

Roy obserwuje Angelę w finale. Po policzkach płyną jej łzy, wybiega z baru, klnąc na czym świat stoi i rzucając za siebie ostatnią szklanekę, dla większego efektu. Barmanowi udaje się złapać szkło w powietrzu. Wszyscy biją brawo.

Sytuacja wraca do normy. Po chwilowej ciszy znowu podnosi się gwar rozmów. Roy patrzy na zegarek.

— Lepiej zakończmy już sprawę i chodźmy stąd — nagli. — Chuck, dobrze się z tobą robi interesy. — Podają sobie dłonie i Roy wskazuje spojrzeniem leżący przed nim neseser. — Śmiało, bierz go i baw się dobrze. Jedź na wakacje. Podobno w Londynie jest pięknie o tej porze roku.

Chuck uśmiecha się nerwowo i chwyta czarny neseser za rączkę.

— To ja... wychodzę pierwszy, tak?

— My trochę zaczekamy — wyjaśnia Frankie. — Lepiej, żebyśmy nie wychodzili razem.

— Jasne — mówi Chuck. Jest już teraz we własnych oczach mistrzem prania pieniędzy. — Jasne, masz rację.

Podnosi neseser i bierze go pod pachę. Ciężar jest odpowiedni. Palce i cała ręka trochę mu drżą. Wlepia spojrzenie w drzwi i rusza do wyjścia z baru na nieco miękkich nogach.

Dobrą minutę po jego zniknięciu Frankie odwraca się do Roya.

— Jak myślisz, kiedy zajrzy do teczki i zobaczy gazety?

— Na parkingu — odpowiada Roy. — Jak wsiądzie do samochodu.

— To lepiej się zmywajmy.

— Widzimy się w barze?

— Tak, w barze. Aha, Roy... ta przeszkadzajka; to była ta twoja...?

Roy kiwa głową. Wiedział, że Frankiemu to się nie spodoba.

— Tak, współniku, to była ta moja.

Frankie kiwa głową. Odwraca wzrok. Woli nie patrzeć mu w oczy.

— No to do zobaczenia w barze.

Pięć

Angela wciąż jeszcze żyje wydarzeniami tego popołudnia. Zajada kanapkę z indykiem, ledwie mogąc usiedzieć na krześle. — Jak rzuciłam tę pierwszą szklanę, to nie wiedziałam, czy ona się w ogóle rozbije — mówi. — Słyszałeś to? Jakby granat wybuchł.

— Naprawdę świetnie się spisałaś — stwierdza Roy. Trudno mu pohamować uśmiech. Jest podekscytowana, że wykonała dobrą robotę. Za to Frankie w ogóle nie jest tym uszczęśliwiony. Wszedł do baru, akurat kiedy siadali, ledwie zauważając obecność Angeli. Roy próbował dokonać prezentacji, zapoznać współnika ze swoją córką, ale niewiele z tego wyszło. Uścisk dłoni i jakieś mruknięcie. Angela też się starała, lecz Frankie po zamówieniu hamburgera całkiem zamilkł.

— O mały włos jeden kawałek mnie nie zranił — ciągnie dziewczynka. — Ale udało mi się uskoczyć. A widziałeś tę starą facetkę za barem? Tę umalowaną? O mało nie umarła, jak rozbiłam to szkło.

— Dobrze się spisałaś — powtarza Roy. Patrzy na swego współnika, próbuje wciągnąć go do rozmowy. — A jak ty uważasz, Frankie?

— Mhm. — Cała odpowiedź.

— Trafiła dokładnie w moment.

— A dobrze, że tak głośno się darłam? Roy kiwa głową.

— Oczywiście. Trzeba narobić hałasu. Powiedziałem, że masz dostać szału i dostałaś szału jak cholera.

— A ty, Frankie? — pyta Angela.

— Hm?

— Podobało ci się?

— Tak, pewnie. Głośno i w ogóle.

Roy nie może tego znieść. Frankie nie rozmawia z An-gelą. Zazwyczaj gęba mu się nie zamyka, a dzisiaj milczy jak ryba. Nie powinien tak się zachowywać właśnie dzisiaj, kiedy ona jest z nimi.

— Rozluźnij się, co? — Roy nachyla się do niego.

— Jestem rozluźniony — mówi Frankie. — O co ci chodzi?

— Wyraźnie masz jakiś problem.

— Nie mam. — Frankie odwraca wzrok.

— Chyba trzydzieści patoli to nie powód do zmartwień? Frankie otwiera usta, ale nic nie mówi. Zamyka je z powrotem. Patrzy na dziewczynę, patrzy na Roya. Grzebie w kieszeniach, znajduje garść ćwierćdolarówek.

— Kilka domów dalej jest salon gier — zwraca się do Angeli, kładąc monety na stole. — Może pójdziesz sobie pograć?

— Jeżeli zamierzacie rozmawiać o mnie...

— Nie zamierzamy.

— ...to zostanę.

— Nie będziemy rozmawiać o tobie. Mam sprawy do omówienia z Royem.

Angela kręci głową, opiera się łokciami o stół.

— Będę spokojnie siedzieć i jeść. Nie będę wam przeszkadzać.

— Nie mówię, że mi przeszkadzasz, tylko że... Roy? Roy nie chce tej sytuacji. Nie chce teraz podejmować decyzji.

— Niech dzieciak sobie zostanie — mówi. — Będzie grzecznie siedzieć i jeść indyka. No jedz, Angela.

Dziewczynka uśmiecha się i kuli się w sobie, demonstracyjnie odwracając się od obydwu mężczyzn. Frankie kręci głową.

— No właśnie o tym mówiłem.

— Masz problem, bo wciągnąłem ją do tej roboty, rozumiem cię. To było głupie.

— Ale sam powiedziałaś, że dobrze się spisałam — wtrąca Angela.

— Cii, jedz. — Roy zwraca się do Frankiego: — To było głupie, ale nie dało się inaczej. Zadzwoiłeś z nienacka, ona była akurat ze mną, co miałem zrobić?

— Właśnie o to chodzi, przecież to ty się ciągle żołądkujesz, nie chcesz żadnych wspólników.

— To co innego — stwierdza Roy.

— Dokładnie to samo. Ta sama sytuacja. Tak samo możemy polegać na niej jak na innych ludziach. Na Saifie, na tym Howardzie z wodociągów czy kim tam jeszcze. — Frankie nie zwraca już uwagi na Angelę przysłuchującą się ich sprzeczce. Już mu to nie przeszkadza. — Tak samo się odsłaniamy przy niej jak przy każdym innym.

— Nie masz racji — upiera się Roy.

— A jeśli Chuck pójdzie na policję?

— Nie pójdzie.

— A gdyby jednak?

— Nigdy tego nie robią. Ile już razy wykonaliśmy ten numer... sześć, siedem? Tak samo będzie teraz z Chuc-kiem. Wyszedł z lotniska, wsiadł do samochodu, otworzył teczkę i zamiast pieniędzy znalazł pięć kilo starych gazet. Po dziesięciu sekundach zrozumiał, że został oszukany, ale nie może pójść do glin, bo transakcja była nielegalna od samego początku. Dlatego właśnie ten numer jest taki dobry.

— Ale wcale nie musi tak być — oponuje Frankie. On nie zrobił niczego nielegalnego, żadne pieniądze nie zmieniły tak naprawdę właściciela. Został zwyczajnie okradziony i możliwe, że sobie to uświadomi. Możliwe, że jednak się wybierze do najbliższego komisariatu.

— No i?

— No i może nas opisać. Roya to wcale nie wzrusza.

— Będą robili portrety pamięciowe dwóch naciągaczy? Z powodu jednego przekrętu? Daj spokój, Frankie.

— Racja. Poza tym nigdy nie byliśmy aresztowani, nie mają naszych facjat w kartotece. Nic nam nie grozi.

Roy odgryza kęs kanapki. Dzisiaj jest smaczna.

— Skoro nic nam nie grozi, to w czym problem?

— Powiem ci w czym. Może facet przypomni sobie awanturę w barze. Może zrozumie, że to wtedy podmieniliśmy teczki. Może sobie przypomni tę dziewczynkę. Może doda dwa do dwóch i wyjdzie mu cztery.

Teraz Frankie bierze na muszkę Angelę. Patrzy wprost

na nią. Ona wytrzymuje jego spojrzenie. Żadne z nich nie ustępuje.

— Może opisze ją glinom — ciągnie Frankie. — A oni mogą mieć gdzieś w kartotece zdjęcie tej miłej dziewczynki. Może już weszła w kolizję z prawem. Dotrą do jej matki, a ta im powie, gdzie przebywa córka. I zapukają do twoich drzwi, Roy. Co gorsza, zapukają też do moich. — Zwraca się do Roya, lecz wciąż patrzy na Angelę. — I to jest właśnie mój problem. Wspólniku. — To miło, że się nim ze mną podzieliłeś — mówi Roy. Czuje się teraz, jakby sam był doktorem Kleinem. Rozumie, co to znaczy wysłuchiwać czyjeś przemowy. — Nie musisz się tym martwić — dodaje. — Jeśli tylko o to chodzi, to sprawa jest jasna. Angela nigdy nie miała do czynienia z prawem. — Odwraca się do siedzącej tuż obok córki. — No, powiedz mu. Powiedz mu i skończmy już z tym.

Angela uśmiecha się do niego. Do swojego ojca. Ale jakoś inaczej niż zwykle. Czoło napięte. Uniesione. Heather robiła taką minę, lecz Roy nie pamięta, co to oznaczało.

— No, dalej — ponagla ją. — Zakończmy tę sprawę i zostańcie przyjaciółmi. Powiedz mu, że jesteś czysta. No, mówże. Angela? Dziewczynka odgryza kolejny kęs kanapki. Roya ogarnia nagle wielkie znużenie.

— Powiedziałabym ci — chlipie Angela w drodze do domu, poprzez zasłonę łez — ale po prostu temat nie wypłynął.

— Temat nie wypłynął? Ty masz czternaście lat, dziewczyno, kiedy zdążyłaś trafić do aresztu?

— Zapomniałam zapłacić za paczkę kart, tylko tyle. Założę się, że ty w moim wieku nieraz się w coś wpakowałaś.

— Ale ty jesteś dziewczynką, na miłość boską. Kiedy to było?

— Nie wiem, że dwa lata temu.

— I wezwali gliny, tak? — Roy ma stopy jak z ołowiu. Ledwie jest w stanie utrzymać ręce na kierownicy. — Wezwali gliny z powodu jednej głupiej paczki kart?

Angela wzrusza ramionami.

— No, może zrobiłam małą zadymę, jak mnie dopadł ochroniarz.

— Co takiego?

— Jezu, Roy, on mnie obmacywał. Łapał mnie za cycki, to co miałam zrobić, pozwolić gnojowi na wszystko? — Drży cała, wzbiera w niej gniew.

— Nie, przecież nie mówię... Po prostu należało mi o tym powiedzieć, tylko tyle. Powinienem wiedzieć o takich rzeczach. Ona kuli się na siedzeniu, podciąga kolana pod brodę, pociąga nosem.

— To nie jest coś, o czym się chętnie rozmawia, wiesz?

Zostawmy już to.

— Dobra, co się stało, to się nie odstanie. Ale martwię się Frankiem.

— Dlaczego?

— On cię nie lubi.

— I dobrze — wydyma usta. — Ja go też nie lubię.

Roy potrząsa głową, dla otrzeźwienia. Droga przed samochodem zasnuwa się mgłą.

— Tak nie może być. To nie do przyjęcia. Frankie jest moim współnikiem.

— Ja mogę być twoim współnikiem.

— On już nim jest, ty tylko... dołączyłaś. Nie zgadzam się, żeby mój współnik i moja... i ty, żebyście patrzyli na siebie wilkiem. Nawet gdybyście mieli już nigdy w życiu się nie zobaczyć, nie mogę się na to zgodzić. Mam dość spraw na głowie bez takiego konfliktu. Po prostu... Nie drażnij go, dobrze?

Angela już nie siedzi w pozycji embrionalnej, lecz kładzie nogi na desce rozdzielczej. Royowi to nie przeszkadza. Dobrze zna takie zachowania, ale tym razem nie reaguje.

— Jeżeli on mnie nie będzie drażnił, to ja jego też nie —
odpowiada dziewczynka.

— Dziękuję. Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze o jakichś aresztowaniach?

— W kraju? — pyta Angela, mrugając szybko oczami z niewinną miną.

— Przestań.

— Za przestępstwo czy wykroczenie?

— Zabawny z ciebie dzieciak, wiesz o tym? Powinnaś występować w telewizji.

— Aresztowana czy zatrzymana? Skazana czy uniewinniona?

Musi pan zadawać dokładniejsze pytania, panie władzo. —

Angela rzuca się na niego ze śmiechem, obejmuje ramionami jego szerokie bary. On ściska kierownicę, stara się jechać w linii prostej. Ona składa mocnego całusa na jego skroni i opada z powrotem na

fotel. — Zdarzały mi się różne wyskoki, ale jestem dobrym człowiekiem, Roy. Tak mówi mama. Więc póki ty mnie czegoś nie nauczysz, będę dobra.

W jej towarzystwie dni mijają mu szybciej. Angela przyjeżdża i wyjeżdża, najczęściej w weekendy, ale czasami też w tygodniu. Roy już się z tym pogodził. Chce się interesować jej szkołą, pilnować, żeby do niej chodziła. Żeby się uczyła. Ale nie może jej zmuszać. Skoro jej matka się nie sprzeciwia, on też nie będzie. Wie o ich sprzeczkach od Angeli. Heather nie zmieniła się ani na jotę. Nawet kiedy dziewczynka sama nie wybywa z domu, matka ją wygania, gdy jest wściekła. Jemu w to graj.

Angela zaczęła trochę upiększać jego mieszkanie. Przyniosła jakieś rośliny, powiedziała mu, jak je podlewać, żeby nie padły. Wspólnie nadają im imiona. Angela i Roy. Ta pierwsza to paproć. Ta druga — kaktus.

Pomimo swych początkowych wysiłków, żeby jej nie dopuścić do gry, Roy niespodzianie dla samego siebie uczy Angelę niektórych zasad swego fachu. Numerek tu, numerek tam. W czasie gdy sam ma przerwy w pracy. Pozwolił jej robić dwudziestki w sklepach Seven-Eleven, będących jej ulubionym celem. Dziewczyna uwielbia podpuszczać kasjerów, nieważne czy młodych, czy starszych. Angela w akcji to Angela w akcji. Roy nie może na to patrzeć, nie może też nie patrzeć. Jest urodzoną naciągaczką.

Z Frankiem nie widują się już tak często jak przedtem. Wciąż robią wspólnie przekręty i ciągną biznes z malarstwem. Ale wspólnik nie wpada już na kolację czy na drinka. Po pracy idą na lunch do baru, omawiają przebieg

dnia i rozchodzą się. Roy nie opowiada Frankiemu o Angeli, a Frankie o nią nie pyta. Jeszcze dwukrotnie wykonali jamajską podmianę i za każdym razem Roy zostawiał córkę w domu.

Oczywiście stroiła fochy i marudziła, ale bez skutku.

Roy pozwala jej zatrzymać pieniądze, które zarobiła na naciąganiu. Zabierać je byłoby nie fair. Lecz wymógł na niej obietnicę, że nic nie powie matce. Wolałby nie mieć znowu Heather na karku. Pewnie by chciała dostawać dolę. Lepiej niech wszystko dzieje się osobno. Czysto.

Któregoś wieczoru, w weekend, kiedy Angela znów wyrwała się z domu matki do przytulnej nory w jego mieszkaniu, Roy pomaga dziewczynce posprzątać pokój przed wyjściem na spotkanie z Frankiem. Większość akwarel została już zdjęta ze ścian.

Zastąpiły je fałszywe fałszerstwa dzieł Miró, Kandinsky'ego, Wildera. Angela nigdy nie ma ich dość; uwielbia kolorystykę i kompozycję tych obrazów.

— Malarstwo jest super — oznajmia, kiedy ścielą razem wersalkę.

— Podoba ci się? — pyta Roy. — Może byś sobie wybrała taki przedmiot w szkole, coś o sztuce.

Angela kiwa głową w zamyśleniu.

— Mogłoby być fajnie. Mogłabym się nauczyć malować.

— Namalowałabyś mój portret?

— Pod warunkiem że potem byś go kupił — pada odpowiedź.

Roy wybucha śmiechem. Angela staje na wersalce, przesuwa dłoń po ramie fałszywego Rothko. — Teraz masz tutaj o wiele ładniej, Roy.

— To miło, że Waszej Wysokości się u mnie podoba.

Łatwo im się rozmawia, poznają się coraz lepiej. Ona lubi się przekomarzać, dobrze się z tym czuje. On też się dobrze z tym czuje.

— A jak się jeszcze pozbędziesz tego brzydactwa — mówi dziewczynka, zeskakując z wersalki przy ceramicznym koniu — to już będziemy urzędzeni.

Roy sztywnieje.

— Nie czepiaj się tego konia. On zostaje.

— Jest okropny, przyznaj to.

— To prezent.

— Ale okropny.

Dłonie Angeli błędzą po całej figurze. Roy zachowuje spokój.

Musi koniecznie pojechać na te Kajmany. Jak wróci, to już nigdy nie będzie chował pieniędzy w koniu. Ale na razie wara od niego.

— A może on też uważa, że ty jesteś brzydka — drażni ją. — I też chciałby się ciebie pozbyć.

— To tylko rzeźba, barania głowo — odgryza się Angela.

— Rzeźba, która uważa, że jesteś brzydka. Kładź się już, ja muszę wyjść do miasta.

Angela wskakuje na wersalkę i podciąga kołdrę.

— Interesy z Frankiem?

— Tak. Wziąłbym cię, ale...

— Ale on wciąż mnie nie lubi. Nie ma sprawy. Pozdrów go ode mnie.

— Dobrze.

Ona włącza czarno-biały telewizor, dźwięk wypełnia pokój.

— W telewizji na pewno puszczają coś, co mnie zdemoralizuje.

— Nie wątpię. — Roy wygładza krawat, próbuje podciągnąć węzeł, ale nie wychodzi mu to. Angela prycha teatralnie z udawaną irytacją, klęka i chwyta krawat jedną ręką, a drugą poprawia wiązanie, po czym wskakuje z powrotem pod kołdrę.

— Kupić ci lody jak będę wracał?

— Mm... czekoladowe?

— Czekoladowe. Wracam góra za trzy godziny.

— No to idź już — mówi dziewczynka, pogłaśniając telewizor.

— Idź na tę swoją randkę.

Roy, wychodząc, zamyka drzwi. Trzeba jej dać trochę prywatności. Wie, gdzie co jest w kuchni, zna już dobrze całe mieszkanie. On nie musi się o nią martwić, kiedy wychodzi wieczorami. Jest dużą dziewczynką, potrafi o siebie zadbać. Galeria mieści się w połowie deptaka, w ruchliwej dzielnicy handlowej. To modny sklep, uczęszczany, dobrze oświetlony. Roy nie jest tym zachwycony. Takie sprawy powinno się załatwiać w ciemnych uliczkach. W porcie. W magazynie. I nie rozumie też, dlaczego muszą osobiście dopilnować dostawy.

— Mówiłem ci — powtarza Frankie, gdy wyciągają skrzynię z wynajętej furgonetki. — Ten facet, kolega Jimmiego, zachorował i nie może dziś tego załatwić.

— Można było poczekać — zrzędzi Roy. Ale nie ma sensu się spierać, bo i tak już to robią. — Następnym razem niech poczeka.

— Ja się z tobą zgadzam, ale Saif powiedział, że ze Wschodu idzie do niego masa towaru i jeśli nie wrzucimy

tego na rynek teraz, możemy sporo stracić. Facet chce kupować, wierz mi.

— Gadałeś z nim?

— Rozmawiałem z kimś, kto z nim gadał.

Zawsze ci pośrednicy. Tak jest bezpieczniej, ale to nie jest dobra metoda, to zabawa w głuchy telefon. Człowiek nigdy nie wie, czy słyszy to, co naprawdę miał usłyszeć. Roy już nieraz się na tym zdrowo przejechał.

Tym razem jednak Frankie ma rację. Kupiec jest zainteresowany i dostarczają mu cztery fałszywe obrazy po dziewięć tysięcy za sztukę, a za Corbetta nawet dziesięć. Właściciel galerii, który wie doskonale, że to podróbki, chce ich zaprosić na kolację, podjąc dobrym jedzeniem, ale Roy się wymawia. Nie chce żadnych towarzyskich układów z kontrahentem.

Po załatwieniu sprawy przechadzają się z Frankiem po deptaku. Ulicą płynie chłodny powiew. Roy jest z tego zadowolony, chłód przypomina mu o nadchodzącej zimie. W porcie przestanie śmierdzieć rybimi flakami.

Pod sklepami wystają uliczni artyści. Grajkowie, sztukmistrze. Gitarzysta z córką śpiewającą *Hotel California*. Za każdym razem gdy Roy tędy przechodzi, grają to samo. Dziewczynka zaczęła to śpiewać chyba w wieku pięciu lat. Roy kręci głową. Coś takiego zrobić własnemu dziecku. Wrzuca kilka monet do futerału gitary.

— Jak tam sprawy? — pyta Frankie.

— Dobrze. A u ciebie?

— Dobrze.

Kiedyś ich rozmowy wyglądały inaczej. Były żywe, pełne humoru. A już co najmniej przyprawione łaciną. Fajne to było, nikt nie potrafił przeklinać lepiej od Frankiego.

Dochodzą do przyjemniejszej części deptaka, zostawiając za sobą ekskluzywne sklepy i restauracje. Tu funkcjonują rodzinne interesy, część lokali jest pusta, z napisami „Do wynajęcia” na wystawach. Są boczne uliczki i ciemne zakamarki. To świat Roya. To tu powinni handlować malarstwem. Ale czasy się zmieniają.

Skrecają za róg i zaskakuje ich widok małego zbiegowiska. Trzy czwarte okręgu, osoby z tyłu stają na palcach. Roy zna tę formację. To gra w trzy karty. Uliczny przekręt.

— Przyjrzymy się? — pyta Frankiego. Nie musi nawet czekać na odpowiedź.

Czarnoskóry młody człowiek, który naciąga publikę, dobrze sobie poczyną. Pozwala ludziom wygrywać, kiedy stawki są niskie, a zgarnia pieniądze, gdy zaczynają obstawiać wyżej.

— Szukamy królowej — mówi mężczyzna, przerzucając karty.

— Proszę państwa, ta piękna dama przyniesie wam szczęście.

Roy przygląda się, jak kilku frajerów traci po osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt dolarów. Przegrani zmywają się z podkulonym ogonem, ale krąg gapiów się nie zmniejsza. Większość nie zamierza grać, chcą tylko zobaczyć, jak innych obdziera się ze skóry. Roya zaczyna ponosić, jest przecież mistrzem przekrętu.

— Ja bym chciał postawić. Podchodzi do stolika.

— Proszę, proszę, mamy zawodnika. Jak godność, szanowny panie?

— Jestem Roy. Z Des Moines. — Roy wie, że odgrywa ćwoka z prowincji niezbyt przekonująco. Lecz czarny chłopak jest zbyt młody, żeby się zorientować.

— Pan Roy z Des Moines! — woła. — Dzisiaj jest pana szczęśliwy dzień! — Odwraca trzy leżące na stoliku karty. Dwa asy i w środku dama. — Pańskie zadanie — mówi — to wskazać królową. Jeśli pan trafi tę piękną laseczkę, wypłacam podwójnie. — Proste. Ile mam postawić?

— Powiedzmy dwudziestkę — mówi chłopak. Unosi kolejno każdą kartę, pokazując obrazek grającemu, i odkładają z powrotem. Podnosi i kładzie, podnosi i kładzie. As, dama, as, dama, as... Nagle kilka szybkich ruchów rąk, karty fruują w lewo i w prawo. — Proszę bardzo, gdzie jest królowa? Tym razem to łatwizna, Roy od razu ją znajduje. Chłopak wypłaca wygraną, a on znów kładzie dwudziestkę na stoliku. Cały cykl się powtarza. Roy wygrywa kilka rundek, tak jak się spodziewał. Obserwuje karty i machinacje szulera. Powinien potrenować, myśli. Palce ma zbyt sztywne, dłonie za bardzo mu latają. Ma dobry, naturalny styl, ale przydałoby mu się szkolenie. Kiedy Roy jest do przodu już sześćdziesiąt dolarów, chłopak proponuje podwyższenie stawki.

— To może stówkę? — pyta Roy, grając odważnego. W tłumie podnoszą się ochy i achy.

— Stówka w grze — oznajmia chłopak. Roy obserwuje go teraz bardzo uważnie. Wie, że tym razem już nie trafi na damę. Nie będzie jej na stole. Chłopak schowa ją do rękawa albo zgniecie w dłoni, podmieniając na trzeciego asa. Na tym polega cały trik z grą w trzy karty. Nie da się w to wygrać.

Chyba że jest się Royem. Chłopak rozkłada karty, a on wskazuje na środkową. Ledwie jej dotykając.

— Na pewno? — cęce wiedzieć szuler.

— Oczywiście. Nawet postawię jeszcze stówę — odpowiada Roy. Kładzie na stole drugi banknot, a Murzyn dokłada swój, ucieszony, że obrobi gościa z pipidówki.

— Graba na szczęście? — Nim tamten zdążył zaprotestować, Roy chwyta go za rękę, potrząsając nią żwawo.

Chłopak udaje, że nic się nie stało, uśmiecha się do publiki.

— Mówi pan, że damulka na środku?

— Mhm. Mogę sam ją odwrócić? — pyta Roy niewinnym głosem.

— Może pan nawet ją pocałować.

Roy z uśmiechem odwraca kartę. To dama. Żałuje, że nie może uwiecznić na zdjęciu miny chłopaka. Publika głośno wiwatuje. Frankie zgarnia ze stołu banknoty, wtyka je do kieszeni marynarki Roya i natychmiast odchodzą. Nie ma co tam sterczeć. Uliczni naciągacze nie lubią przegrywać. Nie lubią, kiedy ktoś przekręca ich własne przekręty.

— Ładna podmianka — mówi Frankie. — Nawet ja nie zauważyłem, chociaż wiedziałem z góry.

— Chłopak kiepsko się ruszał. Tak wsadził tę damę do rękawa, że brzeg wystawał. Nic nie wyczał, jak ją wyciągałem przy podawaniu ręki.

— Gierki na deptaku — śmieje się Frankie. — To były czasy, co?

— Kiepskie stawki, marny zarobek i oglądanie się cały czas za siebie. Człowiek się zwijał, jak tylko mu mignęło coś niebieskiego. Zabawa na sto dwa. Dni mlekiem i miodem płynące.

— No nie wiem, ja to lubiłem. Łatwiej było, wiesz?

Roy tego nie przyzna, ale też lubił wiele rzeczy w dawnych czasach. Frankie ma rację, wtedy było łatwiej. Nie było tyle podejrzliwości. Gazety nie ostrzegały ludzi przed najnowszymi pomysłami naciągaczy. A dzisiaj wszyscy mają oczy dookoła głowy. Dzisiaj czasami jest nie do wytrzymania.

Skrecają znów za róg, w kierunku samochodu. Wiatr się wzmaga. Mija ich para zdyszanych biegaczy w koszulkach z krótkimi rękawami.

— Jak oni wytrzymują bez marynarek? — dziwi się Frankie. — Przecież tu jest lodownia.

— O, dobrze, że mi przypomniałeś. Muszę kupić lody.

— Ja mówię, że jest zimno, a ten chce kupować lody.

— Angela prosiła o czekoladowe. Chyba widziałem lodziarnię niedaleko samochodu.

Idą dalej, kuląc się przed wiatrem. Frankie otula się ciasno marynarką. Minuty mijają w milczeniu. Frankie wciąż popatruje na Roya, jakby wyczekiwał na odpowiedni moment, żeby mu wskoczyć na plecy albo podstawić dla żartu nogę. W końcu zaczyna mówić:

— Miałem ostatnio trochę wolnego czasu. Wymyśliłem nowy numer.

— Nie ma już nowych numerów — oświadcza Roy. — Już wszystkie są wymyślone.

— No to nową odmianę.

— Aha. — Roy nie jest jakoś szczególnie zainteresowany.

Dobrych numerów mają dość, a nowy materiał niesie ze sobą ryzyko. Nie chce jednak drażnić współnika, bo Frankie i tak ostatnio jest dość nerwowy. — No to mów.

— To długoterminowy i wiem, że ty nie przepadasz za...

— Po prostu powiedz, na czym polega.

Frankie wyciąga ręce z kieszeni, Kiedy jest podekscytowany, zawsze pomaga sobie w mówieniu, gestykulując.

— Po pierwsze, to jest czysta robota, bez nagłych telefonów i tak dalej. Pięćdziesiąt kawałków jak nic.

— Na głowę?

— Na głowę.

W kieszeni Roya dzwoni pager. Roy wyciąga go, patrzy na numer. Nieznany.

— Kto to? — pyta Frankie.

— Nie wiem, nie znam go. Mów dalej.

— Dobra. Łatwy teren. Słyszałeś o firmach, które skupują polisy ubezpieczeniowe od ludzi chorych na AIDS?

— Chyba tak. Mówili coś w wiadomościach. Płacą grosze, tak?

— Tak, właśnie. Facet umiera na AIDS, a ma polisę, powiedzmy, na milion dolarów. Oni ją od niego kupują, płacą mu marne dwieście kawałków, a kiedy gość wykorkuje, zgarniają milion.

Pager znów się odzywa, wibruje w dłoni Roya. Ten sam numer co poprzednio, w dalszym ciągu nic mu nie mówi. Z pewnością nie jest to Frankie, a Angela zadzwoniłaby z domowego telefonu.

— Pieprzone wygłupy — mruczy. — I ty masz zamiar wykonać numer z chorymi na AIDS? — zwraca się do Frankiego.

— No nie, nie musi być AIDS, w tym cała uroda tego przekreću. Można to robić z każdym, kto ma podobną

sytuację. Są chorzy na SM1, czarni mają tę swoją anemię sierpowatą...

Roy pierwszy raz od wielu tygodni czuje podchodzące do gardła wymioty. Gromadzą się nisko i pełzną do góry jak stalowy robak. Kwaśne pieczenie w ustach, nagły napływ śliny. Odpluwa, kaszle, znów odpluwa. Frankie wciąż mówi, opowiada, jak podzielią między siebie zadania, kiedy już numer z ubezpieczeniem zostanie opracowany.

Znowu odzywa się pager. Obraz pulsuje, rozmazuje się, ale to ten sam numer co przedtem. Roy musi koniecznie znaleźć automat, żeby wreszcie nie słyszeć Frankiego. Znaleźć telefon, zadzwonić pod ten numer i ktoś po drugiej stronie mu pomoże. Sprawić, że żółć odpłynie.

— Muszę zadzwonić. — Krztusząc się, chwiejnym krokiem przechodzi przez ulicę do rzędu automatów. Frankie podąża za nim zdziwiony, wciąż trzymając się swego planu.

Roy wrzuca monetę do szpary i wykręca numer. Dwa sygnały, świergotliwe. Ktoś odbiera.

— Roy? — Głos jest mu znany. Kojący głos. Skąd wiedział, że Roy ma problemy? Że właśnie potrzebował rozmowy?

— Doktor Klein? Czy to...

— Wybacz, że dzwonię na pager — mówi psychiatra. — Nie wiedziałem... Nie było innej możliwości.

Roy nie rozumie, ale cieszy się, że ma doktora na linii. Kwas już słabnie, opada, ślina wysycha.

— To dobrze — mówi. — Bardzo dobrze. Co u pana?

— U mnie w porządku, Roy, ale nie w tej sprawie dzwonię. —
Słowa są urywane, jakby był zagniewany. — Chodzi o Angelę.

— O Angelę? Jest u mnie w domu.

Po tamtej stronie cisza. Roy słyszy w tle stłumiony szloch, głos jest cienki.

— Nie jest — mówi Klein. — Już jej tam nie ma.

— Co się stało? Coś złego?

— Nic, nic, już jest dobrze — uspokaja go Klein. — Jest tylko trochę zdenerwowana, ale.. Czy możesz tu w miarę szybko przyjechać i ją zabrać?

— A gdzie wy jesteście? — Roy boi się usłyszeć odpowiedź.

Właściwie już ją zna.

— Jesteśmy na komisariacie, Roy. Ona ma za sobą długą noc i chyba bardzo chce już wrócić do domu.

Cztery

Kiedy Roy z Frankiem podjeżdżają pod budynek policji, Klein i Angela siedzą już na schodkach przed wejściem. Doktor obejmuje ją ramieniem, a ona stara się powstrzymać płacz. Oczy ma podpuchnięte, na policzkach smugi po słonych łzach.

Roy wyskakuje z wynajętej furgonetki, trzaska drzwiczkami i pędzi do niej. Nie czeka, aż Frankie wygramoli się z miejsca pasażera. Kiedy wbiega na schodki, Angela podnosi głowę i spostrzega go. Odpycha ramię doktora Kleina, zbiega do Roya i rzuca się w jego ramiona. Znów płacze, a towarzyszą temu głębokie, ciężkie westchnienia.

— Ciii — mówi Roy, głaszcząc ją po głowie. — Już dobrze, tak? Odezwij się, powiedz, że tak.

Czuje na piersi poruszenie jej głowy, gdy mała potakuje. Nie jest to wiele, ale na tak. Roy przytula ją mocniej. Porusza się w rytm jej szlochania. Chce zetrzeć łzy, sprawić, by było dobrze, wymazać zły czas.

Podchodzi do nich Klein.

— Szybko dotarłeś.

— Co się stało?

— Zgarnęli ją. — Klein wzdycha ciężko. — Policja. Angela, wciąż w objęciach Roya, podnosi wzrok ku niemu. Oczy ma nabiegłe krwią, po twarzy spływa jej mętłym strumykiem tusz do rzęs. Próbuje mówić między chlipnięciami. — Ja nie wiedziałam... — zaczyna i znów chwyta ją atak płaczu. Zbliża się do nich Frankie, kręcąc głową.

— Spisali ją? — pyta.

— Idź posiedź w samochodzie, dobrze? — mówi do niego Roy.

— O co ci chodzi, tylko pytam, czy ją spisali.

— Nie spisali — odpowiada Klein. — Nie zrobili zdjęcia. Tylko ją przytrzymali, nic więcej.

Frankie kiwa głową.

— To dobrze. Miała więcej szczęścia niż rozumu, ale to dobrze. Roy ciaśniej obejmuje Angelę; gdyby nie trzymał jej tak mocno, mógłby się nagle odwinąć i nie zapanować nad sobą. Złapać Frankiego za szyję i zacząć dusić, żeby zsiniał. Uciszyć go w ten sposób, jeśli będzie trzeba.

— Frankie — Roy stara się panować nad każdą sylabą — idź do samochodu albo się zamknij.

Frankie odpuszcza. Przysiada na skraju betonowego kwietnika i obserwuje całą scenę. Angela powoli się uspokaja, próbuje coś powiedzieć.

— Wsadzili mnie... do celi, z tymi wszystkimi ludźmi. To były kobiety, ale... ciągle mnie dotykały. Próbowwały... — jej słowa ponownie przerywa głęboki szloch —

obmacywały mnie. — I znów wybucha niepohamowanym płaczem, wtulając się w koszulę Roya.

— Swoje przeżyła — stwierdza doktor Klein. — Trzymali ją ponad godzinę w jednej celi z kilkoma prostytutkami. Nie wiem, co tam się dokładnie wydarzyło, ale kiedy przyszedłem, krzyczała wniebogłosy, prawie mnie nie poznała. Naprawdę miała ciężką noc.

— Mogłaś zadzwonić do mnie na pager — mówi Roy, głaszcząc dziewczynkę po włosach, po plecach, żeby tylko ją jakoś uspokoić. — Trzeba było od razu dzwonić, kochanie.

— Ona nie знаła numeru, Roy — wyjaśnia Klein. — Dopiero jak wpadła na to, żeby poszukać mnie w książce telefonicznej...

Dobrze, że akurat pracowałem do późna.

— Nie wiem, jak panu dziękować, doktorze. Naprawdę... Roy nie bardzo wie, jak się zachować. Nie wie, co się robi, kiedy gliny przymkną facetowi córkę, a jego psychiatra pomoże ją wyciągnąć. — Jeżeli mogę coś dla pana zrobić...

Klein kręci głową.

— Daj spokój. Dobrze, że mogłem pomóc, i tyle. Frankie zeskakuje z kwietnika.

— Wzięli jej odciski? — pyta Kleina.

— To nas nie interesuje — syczy Roy.

— Mnie interesuje.

— Nie wzięli — odpowiada doktor. — Tak jak mówiłem, tylko ją zatrzymali. Nie zakładali kartoteki ani nic.

Angela wysuwa się z objęć Roya, ociera twarz rękawem.

— Chciałam zrobić numer z losem — chlipie. — Tylko spróbować, tak jak mi tłumaczyłeś.

Frankie wyrzuca w górę ręce, kręci głową.

— Co jest, do kurwy nędzy? Roy, ty ją uczysz numerów, czy ja dobrze słyszę?

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Roy nie chce, żeby Klein przy tym był. Nie chce, żeby Angela przy tym była. Chce, żeby to wszystko odeszło.

— Zamknij swój pieprzony dziób, Frankie — mówi. Angela usiłuje się tłumaczyć.

— A ta kobieta... ja nie wiedziałam, ona chyba była z policji...

— Cii — Roy przytula ją znów do siebie. — Już dobrze, już po wszystkim.

— Tego już, kurwa, za wiele — mruczy Frankie.

— Słucham?

— Tego już, kurwa, za wiele. Klein próbuje wejść między nich.

— Panowie, jest już późno. Jest środek nocy, stoimy przed komisariatem, może byłoby lepiej...

Roy odpycha doktora na bok.

— Frankie, jeżeli nie chcesz sobie zaszkodzić, to po prostu się zamknij.

— Pieprz się, Roy. Tyle ci powiem, pieprz się.

— Nie dosłyszałem, powtórz.

— Dobrze słyszałeś, ty tłusty skurwielu. Pieprz. Się. Angela znów wybucha płaczem, zupełnie nową porcją łez. Odsuwa się od Roya i Frankiego, którzy podchodzą do siebie. Royowi rozmazuje się obraz, w skroniach czuje rozkoszny ucisk. Pulsowanie.

— To nie ma sensu, panowie, uspokójmy się — próbuje wciąż załagodzić Klein. — Wszystkim nam należy się odpoczynek.

Ale oni stoją już twarzą w twarz.

— Może ją pocałujesz, Roy, co? — mówi Frankie.

— Zamknij gębę.

- No już, bierz ją, na pewno chciałbyś ją pocałować.
- Zamknij gębę.
- Weź ją w domu do swojego łóżka...
- Masz dwie sekundy na zamknięcie ryja...
- ...połóż się na niej, całuj wszędzie...
- ...albo ja ci go zamknę.
- Co z tobą, Roy? — Frankie mruży oczy. — Nie masz dość ikry, żeby przelecieć własną córeczkę?

Jest tak samo jak podczas tych bijatyk w barach, kiedy wywalili go z wojska. Wokół głowy Frankiego pojawia się świetlista aureola, jakby na niebie zapaliła się wielka żarówka. Potężna, oślepiająca. W głowie Roya coś eksploduje, jak gdyby mózg chciał mu wyskoczyć z czaszki. I żadnych myśli. Żadnych myśli. Pięść przecina powietrze i wali Frankiego w głowę, silny cios trafia go w policzek. Kolejny grzmoci go w brzuch i zgina w pół, gdy chce się rzucić na Roya. Obaj mężczyźni padają na ziemię, turlają się po splekanym chodniku. Staczają się ze schodów, wczepieni w siebie, głowa Roya uderza o beton. Ale on niczego nie czuje. Ucisk to dobra rzecz, jest mu teraz bardzo potrzebny. Nos Frankiego krwawi obficie, Roy ma na rękach krew. Światło przygasa. To dobrze. Tak ma być.

Dociera do niego czyjś krzyk. Roy zna ten głos, powinien go posłuchać. Lecz jego ciało nie przestaje bić i kopać, twarda kość przeciwko miękkiej tkance. Znow ten krzyk, gdzieś bliżej. Dłonie na jego ramionach, odciągają go do tyłu. Ucisk zaczyna słabnąć. Światło gaśnie i powraca noc.

— Przestań! — krzyczy Angela. — Przestań w tej chwili!

Klein odciąga Roya od Frankiego, usiłuje go zepchnąć z przeciwnika. Uratować tamtemu życie. Aureola robi się przejrzysta, obraz z powrotem nabiera ostrości. Roy stacza się ze swego współnika na ziemię.

— Znikaj stąd — mówi Klein, pomagając mu dźwignąć się na kolana, zanim zajmie się Frankiem. — Bierz dziewczynkę i jedź. Trzydzieści metrów od nich, przed drzwiami komisariatu, stoi policjant w mundurze i przygląda się walczącej parze.

— Co tam macie za problem? — woła.

— Nic się nie dzieje! — odkrzykuje Klein. — Już sobie stąd idziemy, panie władzo.

Doktor pomaga Frankiemu wstać. Policjant nie rusza się z miejsca. Frankiemu krew leci z nosa, ma rozciętą wargę. Pod oczami wykwitają mu siniaki. Głos ma niski, głuchy, wcześniejsza zadziorność gdzieś wyparowała.

— Zadzwoń do mnie, jak ci się wyprostują priorytety — rzuca do Roya, ruszając w stronę furgonetki. Odwraca się do Angeli z palcem wycelowanym w jej twarz. — A ty... ty wracaj do swoich zasranych lalek.

Patrzą, jak kuśtyka do samochodu i odpala silnik. Piszczą opony, auto wyskakuje na jezdnię, tylne światła umykają w mrok.

Angela podchodzi do Roya, z wzrokiem wbitym w ziemię.

— Jesteś na mnie wściekły? — pyta.

Roy prawie nie jest w stanie mówić ze zmęczenia. Ledwie dobywa z siebie słowa.

— Nie, kochanie.

Dziewczynka przytula go mocno, opasując rękami w talii.

— Zanim mnie złapali, skasowałam kilka dwudziestek — mówi.
— To dobrze, kochanie. To dobrze.

Doktor Klein odwozi ich do domu. Roy nawet nie wie, jak to się stało, ale kiedy powraca mu w pełni świadome myślenie, ma już umytą twarz, jest przebrany w piżamę i leży w łóżku dokładnie otulony kołdrą. Ma nadzieję, że Angela już śpi. Nie jest w stanie myśleć o tym, co musi zrobić. Wie, co to jest, ale nie może o tym w tej chwili myśleć. Rano wszystko nabierze sensu. Rano wszystko się ułoży. Zawsze tak jest. Zawsze tak było.

Na peronie D kłębi się tłum podróżnych, zmierzających w głąb kraju. Najróżniejsze typy ludzkie oczekują na swój pociąg i Roy musi opanować pokusę, żeby nie wykręcić któremuś jednego ze swoich numerów. Trzyma za rękę Angelę i nie chce, żeby pod jego wpływem znów myślała o przekrętach. Już nigdy więcej.

— Dzięki, że mnie odprowadziłeś — mówi córka.

— Nie ma sprawy, i tak nigdzie mi się nie spieszy.

— Pierwszy raz jesteś na dworcu? Roy kiwa głową.

— Kiedyś jeździłem autobusami. Pociągiem jeszcze nigdy.

Angela się uśmiecha.

— Możesz pojechać ze mną. Zobaczyłbyś się z mamą i przy okazji zdobył nowe doświadczenie.

Roy zaprzecza ruchem głowy.

— To chyba nie jest dobry pomysł. Jakkolwiek na to patrzeć.

— Spróbować nie zawadzi.

— Może kiedyś. — Spogląda na jej bilet. Pociąg odjeżdża za kilka minut.

Angela zarzuca torbę na ramię.

— To kiedy mam wrócić? — pyta. Przez cały ranek tak było, wciąż zadawała pytania. On zaś uchylał się od odpowiedzi, jak tylko mógł. — W przyszłym tygodniu?

— Zdzwonimy się — mówi Roy. Mama na pewno też chciałyby cię czasami zobaczyć. Strasznie długo tu byłaś tym razem.

— Wiem. No i szkoła.

— Właśnie. Musisz chodzić do szkoły.

Idą w milczeniu w stronę pociągu; Angela uczepona ręki Roya. Przystaje, spogląda na niego i w oczach wzbierają jej łzy. Gotowe popłynąć.

— Jeżeli to jest z powodu wczorajszej nocy...

— Nie, to nie dlatego.

— Ja wszystko naprawię. Teraz już będzie dobrze, przysięgam. Roy kręci głową, niepewny, czy bardziej do niej, czy do siebie.

— To nie jest... to nie ma nic wspólnego z wczorajszą nocą. — Przykuca, żeby znaleźć się na poziomie jej oczu. Mięśnie drżą mu z wysiłku. — Ja po prostu nie za bardzo sobie radzę z nowymi rzeczami. Nigdy nie potrafiłem się... przystosować. Najbardziej potrzebuję spokoju.

— Ja będę spokojna.

— Chodzi mi o to, że już się przyzwyczailem, że jesteś przy mnie. Jesteś... no wiesz, jesteś już częścią tego wszystkiego, i to jest świetne.

— No to w czym problem?

— Nie ma żadnego problemu, kochanie. Ale nie chce jej okłamywać. Nie teraz. — Tylko... muszę się jakoś pozbierać. Zobaczyć, w którym jestem miejscu. I dokąd chcę iść. Tak w każdym razie mówi doktor Klein. Rozumiesz to?

— Nie za bardzo.

— Ja też. — Śmieje się i dźwiga się w górę, bo nogi już protestują. — Chodź, nie możesz się spóźnić na pociąg. Roy chwyta Angelę i wstawia ją do wagonu razem z torbą. Dziewczynka już nie płacze i to go bardzo cieszy.

— Jak wrócę — mówi — to pooglądamy razem nocny film?

— Do samego końca — obiecuje Roy.

Angela wychyla się z pociągu i trzymając się jedną ręką poręczy, składa całusa na jego policzku.

— Pa, tato — szepcze.

Kiedy Roy znów podnosi głowę, jego córka już zniknęła. Chwilę później pociąg też znika.

Główne lotnisko na Wielkim Kajmanie leży pięćdziesiąt kilometrów od Georgetown. Szosa do miasta jest raczej równa, ale w taksówce wysiadła klima, więc jadą z otwartymi oknami. Royowi to nie przeszkadza, powiew przyjemnie chłodzi mu czoło. Nienawidzi samolotów i tego siedzenia w fotelu przez tak długi czas. Nawet w dużym lotniczym fotelu. Zawsze bierze pierwszą klasę i nie uważa tego za luksus. To konieczność. W turystycznej chyba by umarł. To nie przesada, myśli. Naprawdę mógłby umrzeć.

Tył taksówki podskakuje na każdej dziurze, obciążony bagażem Roya. Razem trzy sztuki, duże walizki z dodat-

kowymi zamkami. Każda zawiera około dwustu tysięcy dolarów w walucie amerykańskiej. Pieniądze, które trzymał w ceramicznym koniu. Wkrótce będą bezpieczne na jego koncie w Grand National Bank w Georgetown. Ale na razie bardzo się o nie martwi. Co będzie, jeśli samochód podskoczy na większym wyboju? Jeżeli bagażnik się otworzy? Jeżeli walizki wypadną? Jeżeli uderzą o kamień i się otworzą? I tak dalej.

Nie byłoby tego, gdyby pamiętał o kapsułkach. Zostawił je na kuchennym blacie. Prawie je widzi, stoją w buteleczce obok ekspresu do kawy. Myśli o nich od chwili startu, od kiedy jest już za późno. Zupełnie jakby jego mózg celowo spletał mu figla i przypominał o lekarstwach, gdy już byli w powietrzu. Roy zastanawiał się nawet, czy nie narobić rabanu, nie kazać im zawrócić, lecz uznał, że nie staje skórki na wyprawkę.

Zaraz po wylądowaniu na Kajmanach zadzwonił do Kleina i doktor zapewnił go, że kilka dni przerwy w zażywaniu leku nie powinno mu zaszkodzić. Niech Roy spokojnie wypoczywa, powiedział psychiatra, bo przecież Kajmany to rajskie wyspy. Roy oczywiście nie wyjawiał mu, że jedzie tam w interesach. Klein nie musi o tym wiedzieć, tym bardziej że i tak już za dużo wie.

Taksówka dociera w końcu do śródmieścia i Roy każe kierowcy poczekać przed wejściem do banku. Złapanie taksówki w Georgetown graniczy z cudem, a on nie chce wystawać godzinami na chodniku. Chciałby zameldować się w hotelu, coś przekąsić. I iść spać.

Roy nie chce rzucać się w oczy, wnosząc swój bagaż do banku, ale trudno jest nieść trzy walizki naraz. Wlecze je więc do środka, staje tuż za drzwiami i czeka, przybrawszy

zdecydowaną minę. Robi tak nie po raz pierwszy, i dobrze wie, jak to funkcjonuje.

Zjawia się pracownica banku, której twarzy nie zna, lecz ma pewność, że jego główny opiekun jest gdzieś w pobliżu.

— Czy mogę panu w czymś pomóc? — pyta kasjerka.

— Chciałbym się widzieć z panem Chively. Czy jest na miejscu? Kobieta kiwa głową i prosi go, żeby chwilę zaczekał. Roy przygląda się sali i innym klientom. Nie on jeden ma duży bagaż i walizki zbyt ciężkie, by zawierały tylko ubrania. Nie on jeden czujnie obserwuje otoczenie.

Słyszy, że ktoś wypowiada jego nazwisko; to pan Chi-vely, jego stały kontakt w tym banku.

— Nie uprzedził pan telefonicznie, że przyjeżdża — mówi urzędnik z brytyjskim akcentem, którego należy się spodziewać po rodowitym Kajmańczyku. — Zarezerwowałbym panu nocleg.

— Nie chciałem sprawiać kłopotu — mówi Roy. Nigdy nie dzwoni przed przyjazdem, ponieważ wówczas Chively próbowałby zaprosić go na kolację, umówić ze swoją przyjaciółką i takie tam. Tak właśnie było w jego poprzednim banku. Na Kajmanach w taki sposób zachęca się klientelę. Ale Roy nie potrzebuje zachęty. Interesuje go tylko to, żeby mieć anonimowe konto w zamorskim banku.

Po kilku jeszcze uprzejmościach Chively prowadzi go w głąb budynku, pomagając mu wlec walizki. Wspólnie przeliczają pieniądze, a urzędnik sumuje kolejne kwoty na dużym, przedpotopowym kalkulatorze.

— Czy dokładamy wszystko do starego konta, czy zakładamy nowe?

— Dokładamy — odpowiada Roy. Nigdy nie widział potrzeby rozpraszania pieniędzy. Ukryta kasa to ukryta kasa. W jednym zawiniątku czy w dziesięciu, na to samo wychodzi. Po co zapamiętywać więcej liczb i więcej haseł. Upierdliwe.

Po przeliczeniu gotówki i obopólnej zgodzie co do wysokości ostatecznej kwoty Roy i pan Chively przechodzą do procedury uzyskania dostępu do konta. Choć pan Chively wie, że Roy jest w istocie właścicielem konta w Grand National Bank, obowiązek nakazuje mu poprosić klienta o podanie numeru i hasła. Tylko tyle trzeba, żeby mieć dostęp do rachunku. Roy o tym wie, dlatego przechowuje te informacje wyłącznie we własnej pamięci. Nigdzie ich nie zapisał. Kiedyś, dawniej, miał je w domu, zakodowane na kartkach w notatniku. Ale potem je podarł. Za duże ryzyko. Teraz są tylko w jego mózgu i nigdzie indziej.

— Czyli mam razem... ile? — pyta.

Pan Chively podaje mu liczbę przekraczającą nieznacznie cztery miliony. Roy jest zadowolony. Tego się spodziewał.

— Czy mogę jeszcze czymś panu służyć? Dobrym jedzeniem, alkoholem... może kobietą?

Roy kręci głową, potrząsa ręką bankiera.

— Niczego mi nie trzeba — mówi. — Jutro lecę z powrotem. Taksówkarz czeka na ulicy.

— Hotel Hyatt Villas — rzuca Roy i sadowi się na tylnym siedzeniu, podwijając nogi pod siebie. — Proszę mnie obudzić, jak dojedziemy. — Jest zadowolony, że pozbył się wreszcie gotówki, że nie ma jej już w domu,

w ceramicznym koniu. Jest bezpieczna. Taksówka podskakuje na wybojach, włosy targa mu wiatr, lecz Roy usiłuje zapaść w drzemkę. Ruch na drodze robi się większy, gdy dojeżdżają do kurortu Seven Miles Beach. Turyści w taksówkach, w wynajętych samochodach, tłum przewalający się po głównych ulicach miejscowości. Roy przypomina sobie, jak zaczął tu przyjeżdżać przed niemal dziesięciu laty. Kiedy nie było jeszcze takich tłumów, a jego walizki były dużo lżejsze.

Pokój nie jest gotowy. Minęła trzecia, zaczęła się nowa doba hotelowa, ale pokoju jeszcze nie ma. Mógłby zrobić aferę, burczeć i narzekać, lecz to nie ma sensu. Tak naprawdę wcale go to nie zdenerwowało. Pan Highsmith, szef hotelu, i tak głupio się czuje, każąc mu czekać. Roy chciałby się już położyć, ale drink też może być.

Hotelowa sala wypoczynkowa jest dziś niemal pusta, tylko kilka par siedzi w miękkich fotelach, patrząc na morze. Są tu wielkie panoramiczne okna ze wspaniałym widokiem na ocean. Roy już go widział. Jest błękitny. Jest mokry. Ale on nie umie nurkować. Nie chce nurkować, nawet tylko z fajką. Siedzi przy barze, plecami do okna.

— Co panu podać?

— Gin z tonikiem — mówi Roy. — Highsmith płaci. Barman uchyla niewidzialnego kapelusza i miesza drinka.

— Podoba się panu u nas? — pyta.

— Dopiero przyjechałem, przyjacielu. — Roy pogryza migdały z miseczki.

Barman wciska do jego drinka ćwiartkę limonki i podsuwa mu szklanę.

— A czy chciałby pan, żeby się panu podobało?

— Tak sędzę — odpowiada Roy.

— Z rodziną?

— Nie — mówi odruchowo Roy i zaraz dodaje: — Ale mam córkę. W Stanach. Ma czternaście lat.

Barman się uśmiecha i sam też bierze migdała. Wyluzowany koleś.

— Powinien pan ją przywieźć następnym razem — ciągnie. — Mamy tu mnóstwo atrakcji dla takich dziewcząt. Czy lubi nurkowanie?

— Nie wiem — mówi Roy.

— Pływanie? Nurkowanie z fajką? Siatkówkę plażową?

— Nie jestem pewien. Barman przekrzywia głowę.

— To co ona lubi wobec tego? Na pewno to mamy.

— Graliśmy w różne gry. Lubiliśmy gry. — Pociąga łyk napoju. Smakuje goryczką.

Barman rozpościera szeroko ramiona.

— Mamy tu najróżniejsze gry, proszę pana. Specjalny pokój z grami. Czy pańska córka lubi szachy? Mamy piękną salę z szachownicami, z widokiem na morze...

Roy pozostawia barmana z jego przemową, wstaje i przechodzi na drugą stronę sali. Przed sobą ma panoramiczne okno, szklaną ścianę hotelu. Patrząc na ocean, prawie widzi własne odbicie.

Jakby unosił się na wodzie, jakby był pod wodą. Jakby woda go otaczała, kołysała, uspokajała. Ziemia pod jego stopami jest niebieska i mokra, dywan jest mokry. Dywan. Mokry.

Roy patrzy pod nogi. Rozlał drinka. Oblał dywan dżinem z tonikiem. Ciemna plama rozchodzi się po grubej

białej wykładzinie. Poplamiona, myśli Roy. Wciąż te plamy. Teraz ocean się przybliża. Napiera na niego ze wszystkich stron. Roy czuje, że nogi mu drżą, uginają się pod ciężarem ciała. Siada na najbliższym krześle, ręce zwisają mu wzdłuż boków. Głowa odchylona, żeby widzieć zachód słońca. Oczywiście oglądał go już nieraz. Jest różowy. Jest żółty. Jest niebieski. Jest w różnych kolorach, ale to lepsze niż patrzeć na dywan. Na tę plamę, która wciąż się rozlewa, rozprzestrzenia po całej podłodze. Przeklina sam siebie w myśli. Dywan zmienił kolor. Jest zniszczony. Do wyrzucenia.

Czuje napływającą żółć. Przeklina sam siebie w myśli. To idiotyczne, nie w porządku. Klein powiedział, że nic się nie stanie. Mówił, że te kapsułki tak nie działają, że lek dość długo utrzymuje się w jego organizmie. A jednak żółć się podnosi i Roy ją widzi, taką zielonkawą, oślizłą, jak wpełza mu do gardła. Powoli, niczym potwór z horroru. Drażni jęczyczek. Wypełnia usta. Dywan, już zaplamiony, może zabrudzić się jeszcze bardziej. Już na to czeka.

Roy wypada z sali, biegnie chwiejnym krokiem przez hol. Potrąca turystów. Okrzyki przerażenia. Szeroko otwarte oczy. Biegnie do toalet, w kabinie pada na kolana, rozdziera sobie spodnie. Podnosi deskę, żołądek też się podnosi, chce wyskoczyć. Usta rozdziawione, gotowe na atak wymiotów. I nic. Znow suche nudności. Pokasływania, chrząknięcia. Gdakanie. Ramiona drżą mu od konwulsji. Do muszli kapią łzy. Spływają mu po twarzy. Głęboki oddech, chłód powietrza w krtani. Pieczenie ustaje. Żółć odpłynęła. Dywan zniknął.

Roy dźwiga się na nogi, wychodzi z kabiny. Myje twarz. Poprawia krawat. Przeciera obtarte kolana. Lepiej niech jego pokój będzie już gotowy. I lepiej niech ma gołą podłogę. W drodze do domu Roy nie zwraca uwagi na znaki stopu. Ani nawet na światła. Liczy się szybkość. Liczą się skróty. Roy jest po nieprzespanej nocy i dniu. Manewruje samochodem jakby we mgle, starając się nie spuszczać jezdni z oczu. Rano ledwie zdążył na samolot. Sprawdził, czy czegoś nie zostawił w pokoju, a potem sprawdził powtórnie. I jeszcze raz. Sześć rundek, zanim udało mu się upewnić i zamknąć drzwi. Myślał, że to już koniec. Ale godzinę później wrócił z baru i przeszukał pokój jeszcze pięciokrotnie.

Roy wie, że nie jest dobrze, że musi zdobyć lekarstwo. Jeszcze z lotniska zadzwonił do Kleina, ale go nie zastał. Odezwała się automatyczna sekretarka. Trzeba będzie zadzwonić ponownie z domu, jak już weźmie kapsułki. Czeka ją na niego w kuchni. Powrotny lot okazał się ćwiczeniem samokontroli. Nabierania oddechu. Nieotwierania oczu. Jedna z tych ładnych stewardes o mało nie skończyła ze złamanym nosem. Wciąż próbowała go budzić. Zaproponować napoje. Poinformować o filmach. Zasugerować, żeby zapiął pas. Po tym ostatnim razie Roy nawet nie otworzył oczu, tylko wypuścił cios na ślepo, o centymetr mijając się z jej twarzą. Po tym zdarzeniu przestała go niepokoić. Wjeżdża w swoją przecznicę i na swój podjazd. Czuje ulgę, że wreszcie jest u siebie. Wykończony, ale pod-

niesiony na duchu. Tam w środku, w kuchni, są kapsułki. Gmera w zamku i nagle uderza się dłonią w policzek, dla otrzeźwienia. Budzi się.

Wchodzi do domu, zamyka drzwi. Na klucz. Chce ruszyć dalej, lecz nagle przychodzi mu do głowy, że może nie zamknął porządnie. Otwiera więc i przekręca zamek ponownie. Patrzy, jak zasuwka wskakuje w otwór we framudze. Powinno być dobrze. Powinno wystarczyć. Roy bierze głęboki oddech i odwraca się plecami do drzwi. Robi krok.

Pięć kroków, sześć. Jeden za drugim, w stronę kuchni. Skręca za róg korytarza, gotowy skończyć z tymi bzdurami, powrócić do normalności. Znaleźć ratunek tuż obok ekspresu do kawy. Nie ma ich. Nie ma buteleczki. I Roy wie, co się zaraz pojawi: żółć, pieczenie. Wymioty.

Przeszło. Dostrzega buteleczkę, jest koło lodówki. Są jego kapsułki. Zdawało mu się, że je zostawił gdzie indziej, ale nieważne. Chwyta lekarstwo jedną ręką, drugą nalewa już wody do szklanki. Weźmie podwójną dawkę. Albo potrójną. Otwiera wieczko.

Została jedna kapsułka. Roy mruga. Wsadza do środka palec, maca. Jest tylko jedna. Stuka buteleczką o blat, jakby coś mogło się przylepić do plastiku i dało się wytrząsnąć. Jedna kapsułka, czyżby tak szybko je zużył? Niedobrze, bo jak weźmie tę jedną, to nie zostanie mu nic. Nie będzie miał na noc. I na jutro. Tak nie może być.

Chwilę później już dzwoni do doktora Kleina. Sygnał, potem drugi. Jest, odebrał.

— Doktorze, tu Roy — rzuca do słuchawki. — Musi mi pan znowu dać porcję effexoru.

— Dodzwoniłeś się na numer prywatnej przychodni medycznej — informuje uprzejmy kobiecy głos po drugiej stronie. — Żaden z lekarzy nie jest w tej chwili obecny.

Roy patrzy na zegarek, jest po siódmej.

— Musi mnie pani połączyć z moim lekarzem — mówi. — Z doktorem Kleinem. Harrisem Kleinem. Jestem jego pacjentem.

— Tu serwis informacyjny doktora Kleina — ciągnie kobieta. — Mogę przekazać doktorowi wiadomość, jeśli pan sobie życzy.

— Wiadomość? Nie, to na nic. Proszę posłuchać, ja muszę z nim porozmawiać, i to zaraz.

— Nie mam bezpośredniego połączenia do pana doktora, proszę pana. Mogę tylko przekazać wiadomość.

Roy ujmuje mocniej słuchawkę, przyciska ją do ucha.

— Ale ja muszę... Pomyślmy spokojnie. Ja już myślę. A pani?

— Proszę...

— Doskonale. A więc potrzebuję lekarstwa, nic więcej. Biorę je od miesięcy i doktor Klein zawsze mi...

— Jeżeli ma pan receptę — przerywa mu kobieta — to każda apteka...

— Właśnie kłopot w tym, że nie mam. Chodzi o to... zawsze dostawałem je od doktora, rozumie pani? Właśnie mi się skończyły i muszę... — Roy milknie, myśli przez chwilę. — Czy pani jest w recepcji?

— Nie, proszę pana. Na centrali.

— Aha. Ale może pani wchodzić do gabinetów, prawda? W razie konieczności.

— Niech pan...

— W razie konieczności.

Głośne westchnienie.

— W nagłych wypadkach tak, ale...

— To jest nagły wypadek! — Roy zaczyna krzyczeć. Zawsze się szczycił tym, że nie podnosi głosu, lecz teraz ma to gdzieś. — Muszę mieć to lekarstwo!

— Rozumiem pana, ale...

— Nie mogę bez niego funkcjonować. Funkcjonować, rozumie pani? Postawię pani kolację, dobrze? Cholera, kupię pani samochód, tylko niech mi pan załatwi to lekarstwo.

W słuchawce zalega cisza. Kobieta chyba się zastanawia. Roy wstrzymuje oddech.

— Proszę pana, tak jak mówiłam, mogę przekazać doktorowi wiadomość...

Roy uderza słuchawką o telefon, wali jak pałką. Plastik pęka, sypią się odłamki. Nie zwraca na to uwagi, nie widzi tego. Chce tylko uciszyć to cholerne babsko, zmusić ten głos do milczenia. Zmusić do milczenia cały ten przeklęty świat.

Lampy w sklepie świecą bardzo jasno. Roy wyciąga z kieszeni płaszcz ciemne okulary i nakłada je. Zasłania oczy. Tak jest lepiej. Wciąż za jasno, ale już lepiej. To najbliższy czynny sklep, jaki znalazł. Jaki mu przyszedł do głowy. Nie było łatwo wyjść z domu. Nie było łatwo zamknąć porządnie tych cholernych frontowych drzwi.

Buteleczkę ma w kieszeni, z jedną kapsułką w środku. Nie chce jej zażywać, dopóki nie będzie pewien, że zdobędzie więcej. Nie może zostać bez niczego. To niepoważne. To ryzykowne.

Sklep jest duży, tani supermarket. Nie tylko z chemią, ale ze wszystkim. Rzędy półek; środki czystości, żywność, napoje, odzież, książki. Akcesoria. Nawet lody.

— Gdzie jest apteka? — pyta pierwszego napotkanego pracownika.

— He? — Chłopak nie dosłyszał jego mruknięcia.

— Apteka, do kurwy nędzy! Gdzie to?

Apteka jest w głębi, na samym końcu. Roy idzie wzdłuż rzędów półek, przepycha się przez innych klientów. Odsuwa ich z przejścia. Zbyt wolno schodzą mu z drogi. Są nieruchawi. To barany, co do jednego. Stado baranów.

Jest kolejka. I lina przeciągnięta dla porządku w kolejce. Za ladą jeden facet. Biały fartuch. Białe włosy. To na pewno aptekarz. To z nim trzeba porozmawiać. On ma lekarstwo.

W kolejce stoi pięć osób. Przed nim jest kobieta z dzieckiem na ręku. Dziecko gaworzy. Chce mówić. Patrzy na swoje odbicie w okularach Roya. Przed kobietą stoi dwóch mężczyzn. Wyglądają zdrowo, po cholere im lekarstwa, myśli Roy.

Przy okienku starsza pani rozmawia z aptekarzem. Nie słysząc, co mówią, ale chyba nic ważnego. Gorzej, chyba w ogóle nie rozmawiają o lekarstwach. Ona już chyba kupiła, co chciała, i teraz gawędzą sobie o tym, jak minął dzień.

— Proszę pani, proszę odejść! — woła Roy. Pozostali patrzą na niego, a on odpowiada im hardym spojrzeniem. Przezornie odwracają wzrok.

Im dłużej czeka, tym usilniej myśli o swoich kapsułkach. Gdzieś tutaj są na tych półkach, bardzo blisko, trzy metry od niego.

Wystarczy, żeby facet sięgnął ręką, wziął bute-

leczkę z półki i mu ją podał. Gdyby tylko nie było tej kolejki. Tych ludzi, których nie powinno tu być.

Starsza pani wreszcie odchodzi, lecz Roy już nie może wytrzymać. Wysuwa się z kolejki i podchodzi do lady, odpychając na bok mężczyznę w średnim wieku, który jest teraz pierwszy.

— Hej, kolego — mówi facet. — Jest kolejka.

— Pilna sprawa — mruczy Roy.

— Jasne, my wszyscy mamy pilne sprawy, kolego — odpowiada tamten. Stawia się, gra twardego. Jest trochę wyższy od Roya i patrzy na niego z góry.

Roy szczerzy zęby w uśmiechu, stara się rozegrać to jak należy.

— Trochę mnie przypiliło... kolego. Mógłby mi pan pomóc.

— A pan mógłby się cofnąć na koniec kolejki. — Mężczyzna kładzie dłoń na ramieniu Roya, wywiera nacisk, chce go odesłać na koniec.

Roy przykrywa jego dłoń swoją, a drugą rękę wpycha w zgięcie łokcia. Pochyla się, skręca i po chwili mężczyzna klęczy na podłodze z ramieniem uwięzionym w jego uścisku i twarzą wykrzywioną w maskę bólu. Jęczy. Popiskuje.

Aptekarz całkiem osłupiał.

— Co pan... proszę go puścić! — krzyczy.

— Zniknę wam z oczu w ciągu dziesięciu sekund, tylko...

— Proszę pana, obowiązuje kolejka.

— Wiem o tym. Widzę kolejkę. Nie mam problemów ze wzrokiem. — Roy puszcza rękę mężczyzny, a ten wycofuje się poza jego zasięg. — Słuchaj pan... ja dzisiaj

nie jestem... całkiem sobą. Potrzebuję pomocy. — Sięga do kieszeni, wyjmując buteleczkę i stawia ją na ladzie. Potrzebna mi nowa porcja.

Aptekarz chce skończyć z tym jak najszybciej. Spogląda na pozostałych klientów. Oni też tego pragną. Dobrze. Świetnie. Bierze opakowanie do ręki, patrzy na etykietkę.

— To nie z naszej apteki.

— Wiem o tym — mówi Roy. — Wiem o tym.

— Czy ma pan receptę?

— Mój lekarz, doktor Klein... dostawałem leki od niego. Zawsze po... sesji daje mi nową porcję, rozumie pan? Myślałem, że jeszcze mam, ale...

— Przykro mi — mówi aptekarz — nie mogę panu pomóc bez recepty. Takie są przepisy.

Roy wyrywa mu buteleczkę z ręki i stuka palcem w etykietkę.

— Niech pan patrzy — mówi. — Effexor, tutaj jest tak napisane. Effexor, a obok moje nazwisko. Roy to właśnie ja.

Aptekarz kręci głową.

— Rozumiem, ale... nic nie mogę zrobić, proszę pana. Roy bierze głęboki oddech. Nie chce, żeby sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Jak dotąd trzymał się nieźle; Klein byłby z niego dumny. Zmaga się z pokrywką, otwiera buteleczkę. W środku leży znajoma zielona kapsułka. Wytrząsa ją sobie na dłoń, pokazuje aptekarzowi.

— Widzi pan? Effexor. Mam jeszcze jedną, a to znaczy, że mogę je zażywać, prawda?

Aptekarz spogląda w głąb sklepu, w stronę jednej ze swych pracownic. Ta kiwa głową i podnosi słuchawkę telefonu.

— Bez recepty — powtarza aptekarz — nic nie mogę zrobić.
— Ale ja proszę — jęczy Roy. Narasta w nim gniew. — Nigdy o nic nie błagałem, ale pana błagam. Dziewięć, dziesięć kapsułek. Tylko na weekend, póki nie wróci mój psychiatra. Od frontu sklepu przemieszcza się w stronę apteki dwóch ochroniarzy. Idą zobaczyć, co to za zamieszanie.
— Bez recepty...
— Niech to cholera! — krzyczy Roy. — Niech was szlag trafi! Przecież ja już mam effexor i nie proszę o nic więcej, tylko o trochę tego samego lekarstwa!
Aptekarz gotów jest powtórzyć znów swoją formułkę, lecz jego wzrok przyciąga nagle kapsułka Roya. Zielona. Jest zielona, lecz ten krzyczący mężczyzna uważa, że to effexor.
— Proszę mi to pokazać — mówi i ujmuje kapsułkę między palec wskazujący i kciuk. Podnosi ją do światła.
— Dziękuję. — Roy jest bliski rozklejenia się, tym razem z ulgi i z wdzięczności. — Dziękuję panu.
Aptekarz jednak kręci głową.
— To nie jest effexor — oznajmia.
— Co takiego? — Roy nie rozumie, chyba źle usłyszał.
— To nie effexor. To w ogóle nie jest żaden anty-depresant. Roy kręci głową, wciąż nie rozumie. Przecież dostawał to lekarstwo od Kleina. Właśnie antydepresant na te swoje natręctwa. Na te... problemy. Co ten facet wygaduje, do cholery?
— A co to jest? — pyta.
— Nie wiem — pada odpowiedź — ale na pewno nie

effexor. Effexor jest w tabletkach i w kapsułkach, ale niebieskich, a nie zielonych.

Zbliżają się ochroniarze, idą w stronę Roya, w stronę dużego faceta, który wymachuje rękami. Który ma zwidy. Napady. Roy chwytą kapsułkę, wpatruje się w nią, jakby chciał zajrzeć do środka. Ściąga górną połowę kapsułki i na ladę apteki wysypuje się biały proszek.

— Więc co to jest? — powtarza pytanie. — Skoro to nie effexor, to co?

Aptekarz przygląda się uważnie granulkom, zauważa znajomy połysk bieli. Przytyka palec do proszku i oblizuje go końcem języka.

— To cukier — oznajmia. — Pański lekarz dawał panu kapsułki z cukrem.

Roy nie czeka, aż ochroniarze wezmą go pod rękę. Nie czeka, aż go wyprowadzą ze sklepu. Tym razem nie ma ostrzegawczego pieczenia w gardle. Ani nagłego uczucia ucisku. Roy wymiotuje prosto na ladę apteki. Na aptekarza. Na klientów w kolejce.

Wymiotuje i wymiotuje, a potem pada bezwładnie jak tłumok na podłogę taniego supermarketu.

Trzy

Roy wpada rozjuszony wprost do gabinetu Kleina. Sekretarka nie zdążyła go zatrzymać, nie zdążyła nawet wyjść z za swego biurka. Drzwi gabinetu są zamknięte. Roy ma to gdzieś. Niech sobie będą zamknięte. Jeżeli będzie trzeba, wyłamie je, wyrwie z zawiasów. Nawet się dzisiaj nie umył. Nie golił się od dnia wyjazdu na Kajmany. Ostatniej nocy nie spał w ogóle. Wyczołgał się prawie ze sklepu i wsiadł do samochodu. Przez większość nocy kursował od baru do baru, próbując zamawiać drinki. Widział cały syf na podłogach. Na ścianach. Na szklankach, w których chcieli mu podawać. Rzucił nimi o ziemię, odrzucił od siebie. Czekał, aż nadejdzie dziewiąta rano. Żeby móc stanąć oko w oko z Kleinem. O wpół do siódmej zasnął w kabinie toalety jakiegoś nocnego klubu i obudził się o dziesiątej. Umył twarz w umywalce. Umył ręce. A potem jeszcze raz.

Otwiera drzwi z takim rozmachem, że gałka robi dziurę w tynku. Staje w progu, wypełniając sobą całą framugę.

Sekretarka dogoniła go i wykrzykuje przeprosiny w stronę Kleina.

Psychiatra siedzi za biurkiem, pogrążony w rozmowie z mężczyzną, który zajmuje miejsce dla pacjentów. Podnosi wzrok, zaskoczony na widok Roya. Odchyła się do tyłu.

— W porządku, Wando — zwraca się do sekretarki. — Poradzę sobie.

Kobieta z ociąganiem wraca do recepcji. Roy przemierza gabinet dwoma potężnymi krokami; jego zwalistą postać popycha gniew.

— Kapsułki z cukrem?! — krzyczy, rzucając buteleczką w doktora i trafiając go w pierś. — Dawał mi pan kapsułki z zasranym cukrem?

Stoi tuż przy Kleinie, rękami niemalże dotyka twarzy lekarza.

Ten próbuje się odsunąć, lecz jego fotel zahacza o dywan.

Przechyla się.

— To nie jest odpowiedni moment, Roy.

— Mam za mało czegoś w mózgu, wie pan o tym?

— Roy, proszę cię...

— Brakuje mi pewnych substancji w *głowie!* Muszę zażywać lekarstwa odpowiedniego rodzaju, dobre lekarstwa, a nie jakieś zasrane kapsułki z cukrem! — Pochyliła się nad doktorem. Klein się odsuwa, Roy się przysuwa. Nie panuje nad swoimi ruchami. Nie myśli o nich. — Co ja jestem, twój królik doświadczalny do jakiejś pieprzonej pracy naukowej?

Klein pokazuje na pacjenta, siedzącego spokojnie na krześle.

Oczy ma współprzymknięte, na jego ustach igra lekki uśmiezek.

— Mam pacjenta — mówi.

— A ja to co jestem? Hm? Płacę panu czy nie?

— Możemy porozmawiać za godzinę?

— Możemy porozmawiać teraz. — Roy spogląda na pacjenta i macha ręką. — Spadaj pan, muszę pogadać z doktorem.

Tamten nie odpowiada, w ogóle się nie rusza. Na ustach wciąż ma ten uśmieszek.

— Cholera jasna, co jest z tym facetem? — pyta Roy.

— Jest w hipnozie — wyjaśnia Klein. — W tym stanie nie mogę mu kazać wyjść. Przykro mi, Roy.

Roy okrąża biurko, nachyla się nad mężczyzną i patrzy w jego oczy. Przygląda się uśmieszkowi. Nagle chwytą go za ramiona i gwałtownie potrząsa, aż głowa odskakuje do tyłu.

— Obudź się! — krzyczy mężczyźnie do ucha, klepiąc go mocno po policzku. — Zbudź się, kurwa, i to już!

Pacjent wraca do przytomności, mruga oczami. Rozgląda się błędnym wzrokiem.

— Co się...

— Hej, śpisz jeszcze?

— Nie... chyba...

— To dobrze — stwierdza Roy, podnosząc go i stawiając na nogi.

— Do widzenia. — Wypycha mężczyznę z gabinetu i zatrzaskuje za nim drzwi.

— To było bardzo nieprofesjonalne — mówi Klein. Roy wybucha głośnym śmiechem.

— Zabawny z pana gość, doktorze. Pan mnie będzie pouczał o profesjonalizmie? — Podchodzi do biurka i przysiada na jego skraju. Kiwa nogami, jego but ociera się o kolano Kleina. — To co, chce się pan może wytłumaczyć?

— Wolałbym, żebyś usiadł.

— Siedzę.

— Ale... tak jak pacjent. Na krześle.

Roy zeskakuje z biurka, chwytając krzesło za siedzenie i przestawia je na drugą stronę. Tuż obok Kleina. Siada. Wpatruje się w niego. Nie chce się odsunąć. Żeby doktor nie czuł się zbyt komfortowo.

— Tak może być?

— No... może, Roy. Powiedz mi wobec tego, czemu twoim zdaniem musisz zażywać lekarstwa?

Roy kręci głową, wydyma dolną wargę.

— Nie, nie, nie, pan nie zadaje teraz pytań. Najpierw odpowie pan na moje. Dawał mi pan kapsułki z cukrem?

— Tak.

— Aha, dobra. — Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo, że Klein nie zaprzeczy. — A dlaczego?

— Ponieważ nie potrzebujesz effexoru.

— Pieprzenie. Mam za mało...

— Tak, tak. Czegóż w mózgu, wiem. Posłuchaj mnie tylko przez chwilę i na pewno coś wymyślimy. Odpowiedz: dlaczego twoim zdaniem musisz zażywać lekarstwa?

Roy podnosi rękę. Trzęsą się. Jest tak od zeszłej nocy, od tej historii w aptece.

— Niech pan patrzy — mówi. — Jestem wrakiem, do kurwy nędzy.

— Zgadza się.

— Nie mogę... nie jestem w stanie normalnie myśleć, zachowuję się... jak idiota. W ustach mam ciągle pełno śliny. Nie mogę wyjść z pokoju, bo bez przerwy sprawdzam, czy zamknąłem drzwi. Nie mogę patrzeć na dywan,

na wykładzinę. I mam to w gardle, ten płyn, piecze i chce mi się wymiotować. Zeszłej nocy prawie mnie aresztowali w aptece.

Wystarczy?

— I twoim zdaniem przyczyną jest to, że dawałem ci kapsułki z cukrem.

— Bo dawał pan.

— To prawda.

Roy rozkłada szeroko ręce.

— No właśnie o tym mówię. Kapsułki z cukrem i mi odbija. O czym tu jeszcze gadać?

Klein odchyła się do tyłu. Roy już nad nim nie wisi.

— Jak tam Angela? — pyta psychiatra.

— Niech pan nie zmienia tematu. — Roy pokasłuje.

— To właśnie jest temat. Co u Angeli?

— Wyjechała.

— Kiedy?

— W zeszłym tygodniu.

— A dokładnie?

— Nie pamiętam. We wtorek albo środę. Kilka dni przed moją podróżą.

Klein kiwa głową. Bierze ten przeklęty notatnik. Roy wyrywa mu go z ręki i rzuca w kąt pokoju.

Psychiatra odkłada ołówek na biurko, ale poza tym nie wygląda na zaskoczonego. Jakby spodziewał się po nim takiego zachowania.

— Czyli jak długo jej już nie ma? — docieka Klein.

— Sześć, siedem dni.

— Mhm. Siedem dni.

Roy zaciska dłonie w pięści. Nie zamierza uderzyć doktora, jeszcze nie, ale dobrze się czuje z zaciśniętymi.

— A co to ma do rzeczy? — pyta.

— Czy rozmawiałeś z nią od jej wyjazdu? Roy wzrusza ramionami.

— Ona ma szkołę i w ogóle...

— Więc nie rozmawiałeś.

— Nie, ale ona ma swoje zajęcia. Co, mam ją śledzić? Będzie chciała, to zadzwoni.

— Ale ty sam nie próbowałeś zadzwonić.

— Nie. Tak jest... lepiej. Angela powinna być ze swoją matką. Klein patrzy mu w oczy.

— Czy zaczynasz już dostrzegać korelację, Roy?

— Że co?

— Związek. Między wyjazdem Angeli a twoimi... problemami.

Roy kręci głową. Nie łapie tego. Terapeutyczne sztuczki i tyle.

— Dawał mi pan cukier — mówi. — To jest ta pańska korelacja.

— A więc nie dostrzegasz.

— Proszę mi tego nie robić. — Roy wzdycha. Wie, że przegrywa. Cała zawziętość zniknęła. — Czego mianowicie? Czego nie dostrzegam?

Klein podsuwa się z krzesłem, kolanami dotyka kolan Roya. Bez pocałunku już bliżej się nie da.

— Miałem kiedyś pacjenta — zaczyna — trzy, cztery lata temu.

Ogólnie fajny facet. Kochał rodzinę, miał przyjaciół, zrobiłby dla nich wszystko. Ale nie zawsze mu się dobrze układało. Życie

dawało mu się we znaki tak samo jak nam wszystkim. Większość ludzi akceptuje to jakoś i idzie dalej. Ale on miał coś, co nazywamy błędem atrybucji.

— Nie łąpię.

— Takie wymyślne określenie na poszukiwanie winnych. Na przykład, na studiach nie zaliczył astronomii. Uznał, że to przez profesora, który się wziął na niego od samego początku.

— Może tak było — mówi Roy.

— Może. Ale to weszło mu w nawyk. Wyrzucili go z pracy. Z trzech prac po kolei. Dlaczego? On za każdym razem twierdził, że szefowi nie podobały się jego włosy, jego strój czy co tam jeszcze. W końcu żona też go zostawiła. Dlaczego? No, oczywiście, na pewno się z kimś związała. On sam w żadnym razie nie mógł być przyczyną. Pewnej nocy spalił mu się dom, bo gość zasnął w fotelu z papierosem w ręce. I co zrobił? Pozwał do sądu producenta papierosów i sklep, w którym je kupił. — Roy nie może powstrzymać parsknięcia śmiechem. Klein się przyłącza. — Przypomina ci to coś, Roy?

— Czyli powinienem obwiniać sam siebie?

— Ja tylko chcę powiedzieć, że szukasz w niewłaściwym miejscu, to wszystko. Zrzucasz winę na kapsułki, tymczasem to nie jest odpowiedź. Dawałem ci cukier od pierwszego razu, kiedy się u mnie zjawiałeś i...

— Ty sukinsynu!

— ...i jak sam wielokrotnie przyznałeś, czułeś się znakomicie. Przyszedłeś w trzecim tygodniu, w czwartym, i było coraz lepiej. Obsesje i natręctwa się uspokoiły, depresja przygasła i w drugim miesiącu terapii byłeś w takiej formie jak jeszcze nigdy. Któregoś dnia byłeś cały w skowronkach, to twoje własne słowa.

Roy nie może temu zaprzeczyć. Chciałby, ale nie może, bo tak było.

— No i co?

— No i wniosek z tego taki, że nie potrzebujesz żadnego effexoru. Mógłbym w tej chwili wziąć bloczek i wypisać ci receptę, możesz lecieć do apteki i po sprawie. Tylko po co, skoro tego nie potrzebujesz. Bierzesz te kapsułki z cukrem od miesięcy i gdyby ci nie zabrakło, gdybyś nie poszedł do tej apteki, dalej nie byłoby żadnej różnicy. Więc w czym problem? Dlaczego tak naprawdę znowu zaczęło cię to łąpać?

Roy zna odpowiedź, ale nie chce jej jeszcze wypowiedzieć na głos. Klein spokojnie czeka. Wpatrują się w siebie nawzajem w milczeniu. Dzwoni telefon doktora, lecz on nie odbiera. Nawet nie mrugnie. Czeka, aż Roy się odezwie. Telefon dzwoni ponownie, w końcu zapada cisza.

— Angela — odzywa się w końcu Roy.

— Tak, Angela. Wyjechała i znów zacząłeś mieć problemy.

Angela jest kluczem. Była kimś nowym w twoim życiu i dzięki niej ono stało się lepsze. Nie dzięki prochom. A teraz jej nie ma.

— Tak — mówi Roy. — To przez Angelę.

— Jak to załatwisz, będzie po kłopotach.

Po kilku minutach szukania Roy znajduje na pobojuwisku w kuchni karteczkę. Telefon leży na ziemi, roztrzaskany w drobny mak. Drzwi lodówki są otwarte, cuchnie psującym się jedzeniem. W takim stanie zostawił dom, kiedy wychodził do apteki. Nie był całkiem normalny. Nie był całkiem sobą.

Numer jest na karteczce z kotkami. Roy idzie do telefonu w salonie. Ten nie jest rozwalony. Mruga światelko automatycznej sekretarki. Jedna wiadomość. Naciska guzik z nadzieją, że usłyszy głos Angeli.

— Cześć, kumplu. — To Frankie. Przyciszony. — Tamtej nocy... sprawy wymknęły się trochę spod kontroli, co? Nie powinniśmy... nie powinno tak być. Czasami zdarza się człowiekowi wdepnąć w gówno, sam wiesz. No więc... przepraszam cię. Nie chciałem... no, nieważne. Jakbyś miał ochotę coś zrobić, to mam parę numerów na oku. Nic skomplikowanego, tylko... dobra, jak będziesz chciał, to zadzwoń. Jestem w domu. Zresztą zadzwoń tak czy inaczej. Czekam.

Roy wymazuje wiadomość, zadowolony, że Frankie zadzwonił. Że przeprosił. On też powinien to zrobić. Ale nie teraz. Teraz ma przed sobą karteczkę z numerem komórki Angeli. Do Frankiego zadzwoni później.

Wybiera numer i czeka na połączenie. Ma nadzieję, że Angela nie wyłączyła komórki. Nie znosi zostawiania wiadomości, bo to oznacza, że trzeba się nagrać. Każdy może potem odtworzyć takie nagranie i rozpoznać go po głosie. A co, jeżeli telefon leży gdzieś w mieszkaniu i Heather odbierze? Wówczas po prostu się rozłączy. Będzie musiał się rozłączyć.

— Tak? — Męski głos. Roy spogląda na kartkę przed sobą, na aparat. Jest pewien, że wybrał dobry numer.

— Dzień dobry — mówi Roy. — Nie wiem, czy mam właściwy numer, ale...

— Ja też nie wiem. — Szorstki głos. Niezbyt przyjazny.

— Chciałbym rozmawiać z Angelą.

— Z kim?

— Z Angelą. Mówi jej... mówi Roy. Czy może ją pan poprosić?

— Dobra, zaraz. — Przerwa, słychać ryczący w tle telewizor.

Muzykę, jakieś odgłosy. — Pan zaczeka.

Stłumiony krzyk, facet na pewno zasłania ręką mikrofon. Woła kogoś, ktoś odkrzykuje. Trzask, coś upadło. Roy wstaje i zaczyna chodzić po pokoju, kabel płącze mu się przy nogach. Teraz już nic nie słychać. Czyżby facet się rozłączył? Będzie trzeba dzwonić drugi raz?

— Halo? — To Angela.

— Angie, mówi Roy.

— O, cześć! Dzwoniłam do ciebie.

— Tak? Nie było mnie w domu. A kto to był?

— Gdzie?

— Ten gość, który odebrał.

— A, to Joe. — Zniża głos do szeptu. — Straszny dupek.

— To facet twojej mamy?

— Mhm. Czasem tu przemieszkuje. Nie przejmuj się nim, jest pijany.

Roy słyszy w tle jakieś uderzenia, czyjeś krzyki. Znów coś upada na podłogę, tamten facet wrzeszczy. To nie jest miejsce dla dziecka. Nie miejsce dla Angeli.

— On dużo pije?

— Tak — odpowiada dziewczynka. — Czasami chleje... Urywa, słychać jakąś szamotaninę. — Odwal się ode mnie, Joe — burczy. — I przestań odbierać moją komórkę.

Roy słyszy w jej głosie napięcie, jakby odpychała tamtego. Zrzuciła z siebie jego rękę.

— Chcesz, żebym tam do ciebie przyjechał? — pyta.

— Nie, nie — mówi szybko Angela. — Poradzę sobie z nim. — Zmienia bieg i wskakuje znów na swój zadziorny ton. — Fajnie, że zadzwoniłeś. Kiedy mogę wrócić do ciebie?

— Myślałem o sobocie. Moglibyśmy wyskoczyć do...

— Mogłabym przyjechać już jutro. Nie mam szkoły.

— Jutro nie, mam... sprawy do załatwienia.

— O, mogę ci pomóc.

— Nie takie sprawy, o jakich myślisz. Przyjedź w sobotę, dobrze?

Cisza. Wkurza się? Wydyma usta?

— Dobra, tym o wpół do dziewiątej. Będzie fajnie, zobaczysz.

Roy wyplątuje się z kabla, siada w fotelu.

— No to jesteśmy umówieni.

— Tak.

Zapada cisza. Roy nasłuchuje Joego, tego pijanego świrusa. Ale nic nie słyhać.

— Będziemy tak sobie milczeć przez telefon? — mówi w końcu Angela. Roy się śmieje.

— Do zobaczenia w sobotę.

— Do soboty. Pa, tato.

Roy tym razem wie, jak się z nią pożegnać.

— Pa, Angie.

Odkłada słuchawkę i siedzi jakiś czas, wpatrując się w dywan. Zastanawia się, czy nie zadzwonić jeszcze raz. Czy powiedzieć jej, co planuje na jutrzejsze popołudnie. Czy wprowadzić ją we wszystkie szczegóły, uczynić częścią planu.

Lepiej zaczekać. Zrobić jej niespodziankę. Sprawdzić, czy to w ogóle jest możliwe, zanim ujawni temat. Najpierw trzeba się umówić na spotkanie. Najlepiej jakby to wypaliło jutro po południu. Przed przyjazdem Angeli.

Jeszcze jeden telefon. Roy najpierw dzwoni do informacji, bo nie zna numeru na pamięć. I bardzo dobrze.

Mężczyzna nazwiskiem Glasser jest ubrany lepiej od Roya, choć ten ostatni jest w nowym garniturze. Materiał jest w lepszym gatunku. Krój też lepszy. Krawat mniej krzykliwy. Bez ostentacji, ale z klasą. Nie chodzi zresztą tylko o garnitur. Także o skórzane kanapy. Meble na wysoki połysk. Nawet farbę na ścianach. Roy rzadko kiedy bywa onieśmielony. Ale tutaj nie czuje gruntu pod nogami. Nie czuje się komfortowo.

Tamten to widzi.

— Czy krzesło jest wygodne? — pyta. — Mogę poprosić Sandrę, żeby przyniosła jakieś inne.

— Nie, dziękuję. — Roy nie chce sprawiać kłopotu. Bawi się nerwowo przyciskiem do papieru na biurku. Ciężkim. Dziwnym. Ściany gabinetu są obwieszane fotografiami z dzieciństwa gospodarza, z wakacji, z rozdania świadectw. Tu i ówdzie zdjęcie żony.

— Więc jak to właściwie wygląda, panie Glasser? — chce wiedzieć Roy. — Czy to bardzo trudna sprawa?

Na biurku leżą papiery. Dokumenty Roya. Mężczyzna przekłada je, zsunąwszy okulary na czubek nosa.

— Te sprawy nigdy nie są łatwe — odpowiada. — Zawsze jest przepychanka, szczególnie jeśli druga strona się sprzeciwia.

— To jest możliwe.

— No to mamy dodatkowy problem, który też trzeba brać pod uwagę. — Adwokat podsuwa okulary do góry, poprawia uchwyty. — Jednakże na początek sąd będzie chciał sprawdzić pańskie dochody.

— Mam pieniądze, to nie problem.

— Rozumiem, ale sędzia będzie chciał zobaczyć coś, co można zweryfikować. Jakies świadectwa pracy, przebieg kariery zawodowej. Ma pan coś takiego?

Roy kręci głową.

— Raczej nie mam niczego, co by się nadawało do pokazania w sądzie. Mam przykrywkę, ale...

Glasser kiwa potakująco.

— Już rozumiem. To będzie sprawa numer jeden do załatwienia. Poza tym nie widzę tu pańskich deklaracji podatkowych z ostatnich lat.

— Mam deklaracje. Własna działalność, handel antykami. To ta przykrywka.

— Mmhmm. Proszę je przynieść następnym razem, przyjrzymy im się wspólnie.

— Zrobi się. Będę pamiętał.

Glasser odchyła się na krześle, pociera palcem nasadę nosa.

Patrzy w sufit, nie na Roya.

— Stałe miejsce zamieszkania? — pyta.

— No, mam. Mam dom.

— Aresztowania? Narkotyki?

— Nie, nic z tych rzeczy — odpowiada pospiesznie Roy.

— To dobrze. Jacyś świadkowie co do pańskiego usposobienia?
Roy wzrusza ramionami.

— Tak jak z zarobkami, nie za bardzo się nadają do pokazania sędziemu. Chyba że mój psychiatra.

Adwokat kręci głową, siada wyprostowany.

— Nie wspominajmy w ogóle o terapii, jeśli tylko da się tego uniknąć. Jeżeli trafi się starszy sędzia, może być przewrażliwiony na tym punkcie. Proszę mi teraz powiedzieć, jak jest do tego nastawiona matka dziewczynki?

— W ogóle się z sobą nie kontaktujemy.

— A więc nie omawialiście sprawy. Roy wierci się na krześle.

— Skoro się nie kontaktujemy, to jak mogliśmy cokolwiek omawiać?

— Spokojnie, jestem po pańskiej stronie — obrusza się Glasser.

— Chcę tylko wiedzieć, na czym stoimy.

Roy to rozumie, ale nie czuje się dobrze, odpowiadając na te wszystkie pytania. Niepokoją go te manewry.

— Proszę mi powiedzieć prosto z mostu — mówi, ponieważ chce znać prawdę. Dobrą albo złą. — Mam szansę czy nie?

Okulary zostają zdjęte, łokcie oparte na biurku.

— Prowadziłem już takie sprawy jak pańska — wyjaśnia Glasser.

— Niektóre nawet gorsze. Każda jest inna. Zależy od sędziego, od dnia, a czasem wręcz mam wrażenie, że podejmują decyzje zależnie od fazy księżyca. Ale wcale nie jest powiedziane, że nie może pan uzyskać wspólnej opieki nad córką. Jeżeli wszystko pójdzie po

naszej myśli, to ma pan szansę. Przed wystąpieniem z wnioskiem do sądu będziemy mieli mnóstwo roboty. Ściślej mówiąc, pan będzie miał mnóstwo roboty. Nie mogę stanąć przed sędzią, mając częściowo związane ręce. Nie możemy powiedzieć, że pan się dopiero stara o pracę i zamierza się pan włączyć w życie społeczeństwa. To musi być jakoś udokumentowane, przynajmniej kilka miesięcy wstecz od dnia, w którym wejdziemy na salę sądową. Krótko mówiąc, musi się pan zdecydować na zmianę stylu życia — domu, samochodu, środków utrzymania, wszystkiego — jeśli w ogóle chce pan myśleć o uzyskaniu opieki nad tą dziewczynką. Jeżeli panu na tym zależy, to tak właśnie trzeba działać. Więc zanim pójdziemy dalej, proszę mi powiedzieć, czy jest pan gotowy na coś takiego? Roy nie chce wyjawić Angeli, dokąd jadą, a ona się nie domyśla aż do momentu wjazdu na parking. W oddali, za bramkami wejściowymi, widać górną połowę ogromnego diabelskiego młyna. Roznosi się woń popcornu. Słysząc muzykę.

— Przecież ty nienawidzisz jarmarków i wesołych miasteczek — stwierdza Angela.

— Z tobą jeszcze w żadnym nie byłem. Może miałem do tego złe podejście.

Dziewczynka chwyta go ze śmiechem za rękę i prowadzi przez parking w stronę kas. Ma dziś na sobie ogrodniczki i Roy nie może się oprzeć wrażeniu, że wygląda w nich młodziej. Bardziej bezbrinnie, jakby

potrzebowała jego opieki. W końcu to przecież jeszcze dziecko.

— Jeżeli mają tutaj kolejkę górską — zaczyna Angela — ale taką z podwójną pętlą, a potem są takie kręte zjazdy, to na pewno ci się spodoba.

— Oj, oj, nad tym to dopiero musimy się zastanowić.

— No co ty, nie bądź dzieckiem — strofuje go.

— Mam bardzo wrażliwy żołądek.

— Polubisz to, wierz mi. — Zatrzymuje się, patrzy mu w oczy.

— Wierzysz mi?

Roy kiwa głową i po paru sekundach uzmysławia sobie, że naprawdę tak jest.

Kolejka po bilety jest krótka, interes się jeszcze dziś nie rozkręcił. Angela i Roy dochodzą szybko do okienka, w którym starsza kobieta czeka na skasowanie od nich pieniędzy. Około sześćdziesiątki, tlenione włosy, naszyjnik z amuletami wyrzucony na bluzkę. Służbowy uśmiech na twarzy na widok Angeli.

— Jeden normalny i jeden ulgowy — prosi dziewczynka. Roy dał jej pieniądze jeszcze na parkingu, żeby mogła się czuć tak, jakby to ona mu stawiała.

— Dwadzieścia jeden pięćdziesiąt, kochanie — mówi kasjerka. Angela wyciąga z kieszeni dwa banknoty dwudziesto-dolarowe.

— Dziwne, ale mam same dwudziestki. Zdawało mi się, że miałam drobne...

— Nic nie szkodzi, kochanie — odpowiada kobieta. — Mogę ci wydać bez problemu.

Roy patrzy na córkę. Doskonale wie, co się dzieje. Chwyta Angelę za ramię i ściska mocno. Ona podnosi

wzrok, uśmiecha się figlarnie. Błyski w oczach. Roy kręci głową. Ona kiwa w odpowiedzi. On znów kręci, a ona odwraca się do kasjerki.

Kobieta podaje jej bilety i osiemnaście pięćdziesiąt reszty.

— Dobrej zabawy — życzy i patrzy już na następnego klienta.

Ale Angela nie odchodzi.

— Jaki piękny ma pani naszyjnik — zauważa, nachylając się do okienka.

Starsza kobieta kraśnieje z dumy.

— Dzięki, milutka, to prezent od moich wnuków. — Pokazuje na amulety dyndające na cienkim złotym łańcuszku. — Każdy od jednego z moich dzieciaków. Trzech chłopców i dwie dziewczynki.

— O rany — dziwi się Angela. Niesamowite. Pięcioro wnuków...

— I następny w drodze. Jak tak dalej pójdzie, nie udźwignę tego na szyi.

Angela śmieje się razem z nią i odwraca się, żeby odejść. Roy jest zadowolony, miał nadzieję, że tak się to skończy.

A jednak po chwili Angela przystaje z ręką w kieszeni ogrodniczek.

— Oj, zaraz, znalazłam drobne — mówi.

No tak. Robi numer z dwudziestką tej starszej pani w kasie. Roy chwytają za przegub, łagodnie, lecz stanowczo. Odciąga od kas.

— Nie znalazłaś. — Odwraca się do kasjerki. — Nie znalazła drobnych.

— Znalazłam — upiera się Angela. — Mam tu dolara pięćdziesiąt.

— Nie. Nie dzisiaj, dobrze? Niczego nie masz. Angela patrzy na niego, mrużąc oczy. Przechyliła głowę na bok. Próbuje go wysondować. On nie mówi już ani słowa. Nie musi. Tylko na nią patrzy, licząc na to, że uda się uniknąć sceny w miejscu publicznym.

— Masz rację — przyznaje w końcu dziewczynka. — Nie mam drobnych. — I idzie z nim posłusznie do parku rozrywki.

— No dobra — mówi, gdy są już w środku — o co ci właściwie chodziło?

— Nie chciałem zaczynać dnia od tego.

— Bez sensu.

Włączają się w dużą grupę ludzi zmierzających w głąb parku.

— Chodzi mi o to — wyjaśnia Roy — że chciałbym się przekonać, czy możemy spędzić dzień bez przekrętów.

— Cały dzień?

— Cały.

— Ale dlaczego? To fajna zabawa.

— Pewnie, że fajna... rodzice jednak nie powinni robić takich rzeczy z dziećmi. Tak się po prostu nie robi.

— No to co. My jesteśmy inni.

— Jesteśmy, to prawda. I mnie się to podoba. Ale... Słuchaj, po prostu tak zrobimy, co? Ty i ja, tatuś i córeczka, spróbujemy przeżyć cały dzień, do samego wieczora, bez planowania przekrętów. Żadnych numerów, zgoda?

— No dobra — zgadza się Angela. — Skoro tak chcesz.

— Tak właśnie chcę.

Roy wyciąga rękę. Angela patrzy na nią, bez złości,

przetrawia to w myśli. On uśmiecha się szeroko, podsuwa jej swoją dłoń, a ona w końcu ją ujmuje. Z uśmiechem. Ochota do zabawy powraca w jej głosie, w poruszeniach ciała.

— Chodź — mówi, ciągnąc go w największy tłum. —

Znajdziemy taką kolejkę górską, że rzyganie murowane.

Dzień mija wśród niekończących się zjazdów, pętli, zakrętów i podskoków. Roy wprost nie może uwierzyć, że z własnej woli funduje sobie nudności. Ale o dziwo, nie kończy się to wymiotami, nie ma owego gryzącego posmaku żółci. Nie ma ucisku w głowie ani utraty orientacji. Takie nudności są nawet do zniesienia. Roy już prawie zaczyna rozumieć, co tak podnieca ludzi na zjeżdżalniach.

Na Angelę siły grawitacji jakby w ogóle nie działają. Nie kręci jej się w głowie, nie zzieleniała na twarzy. Zupełnie jakby była z innej planety i przyleciała na Ziemię, żeby jeździć z ludźmi kolejkami górskimi, aż dostaną kręcka. Pierwsza faza ataku, obezwładnienie naiwnych tubylców.

Na lunch jedzą szaszłyki. Roy skubie mięso na szpikulcu jednym zębem, za to Angela zje wszystko, byle smażone. Ledwie donosi do stolika tacę z jedzeniem, bo ręce ma zajęte sześcioma pluszakami, które Roy powygrywał dla niej w różnych budach. Dla niego to łatwizna. Zanim się spiknął z Hankiem, pracował przez kilka miesięcy w wesołym miasteczku i zna wszystkie sztuczki. Jak strącić piłeczką puszki, jak zarzucić kółko na butelkę i tym podobne. Za każdym razem nagroda dla Angeli. Roy nie

uważa tego za naciąganie. Oszukiwanie oszustów to nie oszustwo.

— To szczęście, że masz taką przemianę materii — mówi, gdy siadają na drewnianej ławce. Kilkadziesiąt metrów od nich odbywa się pokaz wołyżerki i kiedy wiatr zawieje, Roy traci apetyt. Je więc na raty. — Od takiego żarcia większość ludzi padłaby na miejscu.

— Mhm — mruczy Angela z ustami pełnymi przypieczonego boczku. — Mogę zjeść prawie wszystko.

— Masz to po mamie. Wciąż jest taka szczupła? Angela wzrusza ramionami.

— Wygląda normalnie. Nie jemy razem, więc nie wiem, czym ona się żywi.

— Nie ma obiadów w domu?

— Raczej nie. Coś tam znajduję w lodówce i biorę do swojego pokoju. Albo jem w mieście. Ona tak samo.

— A Joe?

Angela pochmurnieje.

— Co Joe?

— No, co on je.

— Mam to gdzieś. Nie mówmy o nim.

Roy wyciąga warzywka powkładane między kawałki mięsa.

Marnowanie miejsca.

— Często w ogóle się widzisz z mamą? — pyta, mając nadzieję, że nie odkrywa się za bardzo.

— Tak sobie. Idę do szkoły, wracam, ona jest w pracy. Ona wraca, to ja wychodzę. Codziennie się widzimy. W sumie jest tego z pół godziny, jakoś tak.

Pół godziny. To właśnie takich informacji mu potrzeba dla mecenasa Glassera. Bardzo się potem przydadzą w sądzie.

— To niezbyt wiele.

— Zgadza się.

Roy mówi jakby od niechcienia, ze śmiechem:

— Chyba ze mną widujesz się częściej niż z nią.

— Zgadza się.

— Słuchaj, Angela — zmienia temat Roy, odkładając szpikulec na talerz — dobrze się bawisz?

— Świetnie. Zastanawiam się, czy nie pójść po lunchu do nawiedzonego domu. Ja się tego w ogóle nie boję, ale widziałam, że chyba wyjście jest przez wirujące filizanki.

— No dobrze, niech będzie. — Roy wraca do swojego wątku. — A czy ja jestem, twoim zdaniem... dobrym ojcem? Wiesz, jeśli chodzi...

— Uważam, że jesteś super. — Dziewczynka uśmiecha się do niego z autentycznym uczuciem.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Wiesz, na początku trochę się martwiłam, jak to będzie. Było trochę dziwnie, nie znałam ciebie, a ty nie znałeś mnie. Ale teraz... jest świetnie, prawda?

— Prawda — mówi Roy. — Prawda.

Angela wraca do pałaszowania smażeniny, ale on już niczego nie może przełknąć. Ścisza go w żołądku, serce mu wali. To pewnie skutki tych kolejek górskich. Na pewno.

— Słuchaj — ciągnie, walcząc z zaciskającym się gardłem — a co byś powiedziała, gdybym wystąpił o przyznanie mi częściowej opieki?

Ona odkłada szaszłyk na talerz.

— Nade mną?

— Nie, nad moją szóstką nieślubnych dzieci. Pewnie, że nad tobą.

Angela nie zastanawia się zbyt długo.

— I moglibyśmy razem mieszkać?

— Częściowo.

— Częściej niż teraz?

— Och, jeśli tylko będziesz chciała. Możemy poszukać tutaj jakiejś szkoły dla ciebie. Nie wiem, na razie jeszcze nie obmyśliłem wszystkich szczegółów.

— A mama nie będzie mogła się sprzeciwić?

— Będzie mogła i pewnie to zrobi, ale wpierw chciałem zapytać ciebie, zanim zacznę dalej działać. Wiele rzeczy trzeba będzie zmienić, to znaczy nie między nami, tylko ja będę musiał się zmienić. Znaleźć sobie jakieś inne zajęcie.

— I zrobiłbyś to?

— Tak — odpowiada Roy. — Chcę to zrobić. Angela kiwa głową, przysuwa się bliżej niego na ławce.

Ich nogi się stykają.

— Super. Bardzo mi się to podoba — mówi.

Pięć minut później kończą lunch, a po kolejnych pięciu Roy walczy już z grawitacją na tęczowym rollercoasterze. Żołądek w jednej chwili ma zgnieciony, a zaraz potem podchodzi mu do gardła. Zapiera się nogami, pewnie już całe ma w siniakach. I jest mu jeszcze bardziej niedobrze niż przedtem. Kiedy jadą w dół, Angela łapie go za rękę i wrzeszczy wniebogłosy. Wydaje mu się, że już ogłuchł, a ona krzyczy właściwie przez całą jazdę. Bębenki mu pękają. Jeszcze nigdy w życiu tak świetnie się nie bawił. Umówił się z Frankiem w dobrej restauracji w centrum, żeby uniknąć scen. Gdyby spotkali się w swoim barze, to

jego wspólnik nie miałby żadnych oporów przed zdemolowaniem sali. I nie krępowałby się krzyżeć. Wrzeszczeć na Roya. I chociaż ten ostatni być może na to zasłużył, może faktycznie zdradził swego przyjaciela i wspólnika, nie chciałby awantury. Nie teraz, kiedy miał w zanadrzu te wszystkie plany. Frankie zjawia się spóźniony o dziesięć minut, kręci się między stolikami w nowym, stylowym garniturze. Roy dzięki Angeli nabrał trochę wycucia i jest zdziwiony, że jego wspólnik potrafi się tak ubrać. Frankie wyciąga szyję, rozgląda się. Roy wstaje i macha do niego, a on przeciska się w jego stronę przez zatłoczoną salę.

— Dzięki, że przyszedłeś.

— Nie ma sprawy, stary. Dobrze cię widzieć. — Frankie wyciąga z wahaniem rękę, a Roy ją ściska. Obejmują się w niezgrabnym uścisku. To im wystarcza za całe przeprosiny. Siniec Frankiego już schodzi, niebieskoczar-ne smugi pod prawym okiem bledną.

— Siadaj, siadaj — zaprasza Roy. — Zamówiłem już dla ciebie wódkę.

Frankie wysuwa krzesło i sadowi się wygodnie. Kręci z podziwem głową.

— Dobrze wyglądasz. Jeszcze schudłeś.

Roy wzrusza ramionami; wie, że schudł. Nie ze swojej winy, ale tak się stało.

— Raz na wozie, raz pod wozem — mówi. — A ty masz dzisiaj randkę czy co?

— Z Rhondą — odpowiada Frankie, pociągając za klapy marynarki.

— To ta z klubu?

— Ta sama. A ty?

Roy rozkłada ręce.

— Kolacja z tobą.

— Elegant z ciebie, nie ma co — śmieje się Frankie. Kelner przynosi mu wódkę, a on pociąga spory łyk. — Przyjemne miejsce — stwierdza. — Czemu się tutaj umówiliśmy?

Roy szczyrzy zęby.

— Bo jesteśmy odlotowymi chłopakami.

— Coś ty, wieśniakami. Wiem, że masz jakiś inny powód, wspólniku. Obrabiamy ten lokal? Wykręcamy im jakiś stary dobry numer?

Roy kręci głową, wpatrując się w talerz z przystawką.

— Nie tym... nie o to chodzi, Frankie.

— Szkoda. Kupa szmalu tutaj siedzi.

— Pewnie tak. — Roy nie chce tego popsuć. Nie chce, żeby wypadło koślawo. Podnosi głowę, zmusza się do spojrzenia wspólnikowi w oczy. — Ja wychodzę — mówi.

— Dopiero przyszliśmy.

— Wychodzę z gry. Zmieniam swoje życie. Frankie nie mówi słowa. Sięga po drinka, dopija go do

dna. Kręci kostkami lodu w szklance. Roy nie naciska, czeka, aż tamten sam się odezwie.

— Znalazłeś sobie kogoś nowego? — pyta w końcu Frankie.

— Nie.

— Z powodu tego, co się stało pod komisariatem?

— Nie, nie rozumiesz. Nie mam nowego wspólnika — tłumaczy Roy. Wycofuję się. Kończę z tym. Chcę... cholera jasna, nie wiem, co chcę robić. Może faktycznie zacznę handlować antykami. Nie wiem. Pójdę na sprzedawcę do sklepu z dywanami.

— Sklepu z dywanami?

— Nieważne, tak tylko mówię. Grunt, że się wycofuję. Będę się starał o opiekę nad Angelą i muszę wykazać w sądzie, że prowadzę normalne życie.

— Życie frajera.

— Tak jest. — Roy kiwa głową. — Życie frajera. Zostanę zwyczajnym bolkiem, którego można obrobić na ulicy.

Frankie odchyła się na twarde oparcie drewnianego krzesła.

— I zrobisz to tylko dla tej dziewczuchy? Zostawisz mnie dla niej?

— To właśnie zrobię. — Roy rozgląda się po sali, szacuje odległość dzielącą ich od innych stolików. Jeżeli Frankie zacznie wrzeszczeć, trzeba będzie szybko go uciszyć. Uspokoić.

— No cóż — odpowiada Frankie po chwili. — W takim razie życzę ci szczęścia.

Roy marszczy czoło. Coś tu nie gra.

— Poważnie?

— Poważnie. A co, zabronię ci mieć rodzinę? Oczywiście uważam, że jesteś skończonym idiotą, ale to żadna nowość. — Frankie szczyrzy zęby, to jest zaraźliwe. — Słuchaj, było mi dobrze z tobą przez ładne parę lat. Nauczyłeś mnie od cholery... chłopie, ja sam bym nigdy nie wymyślił takich numerów. A skoro teraz chcesz się wycofać, to przecież nie rzucę się na podłogę, wyjąc z rozpacz.

— To dobrze — mówi Roy, cokolwiek skonfundowany. — Bo... nie wiedziałem, jak to przyjmiesz.

— Teraz już wiesz.

— To prawda. Teraz już wiem.

Roy smaruje sobie kromkę chleba masłem.

— Ale chciałbym cię poprosić o jeszcze jedną przysługę —
dodaje Frankie.

— Wal śmiało. — Roy chętnie mu się przysłuży. Czuje ulgę, że rozmowa przebiegła tak gładko.

— Jeszcze jeden numer, żebym mógł stanąć na nogi.

— No nie, Frankie...

— Ostatni numer, Roy, żebym zarobił coś na nowy początek.

— Naprawdę nie wiem...

Frankie odkłada chleb, przysuwa się z krzesłem bliżej Roya.

— Skoro mam teraz działać w pojedynkę... albo znaleźć sobie nowego współnika... to muszę zdobyć jakiś kapitałik, żeby mieć z czym zaczynać. Nie pociągnę tego sam na tym poziomie co z tobą.

— Poradzisz sobie.

— Na dłuższą metę tak, ale potrwa jakiś czas, zanim się rozkręcę. Zrób ze mną ten jeden ostatni numer, jakiś naprawdę dobry przekręt, i będę ustawiony. A ty nie będziesz się musiał martwić o to, że Frankie gdzieś tam leży pod płotem i zdycha.

Roy pociera czoło, trze oczy. To nowe uczucie, które opada nań niczym obłok. Nie ma ucisku ani rozmytej wizji. Lekki niepokój w dole brzucha. Poczucie, że powinien pomóc, chociaż nie chce. Ciekawe, czy to poczucie winy. Czy to się właśnie w ten sposób objawia.

— To nie jest za dobry moment, Frankie — mówi w końcu. — Muszę wszystko poprzestawiać w swoim życiu, i to tak z marszu.

— A ja ci mogę w tym pomóc. Mogę ci na przykład załatwić legalną pracę. Mój kuzyn ma fabrykę mebli pod miastem, może by cię wziął na jakiegoś kierownika, nie wiem. Proszę cię tylko o jeden ostatni strzał. Dzielimy się po równo, jak zawsze. I wychodzimy na swoje, ty i ja.

— Wychodzimy na swoje...

— Właśnie to mówię. Ostatni strzał. Na zakończenie. Zobaczysz, że będziesz zadowolony. Posłuchaj mnie ten jeden... ostatni raz. Roy nie chce w to wchodzić, ale wie, że koniec końców i tak wejdzie.

— Muszę to przemyśleć.

Frankie kiwa głową i zabiera się do przeglądania menu.

— Jeśli w ogóle jesteś mi cokolwiek winien, Roy, to ten jeden mały drobiazg.

Dwa

Podczas tych trzech tygodni, które Roy poświęca na przygotowania do ostatniego przekrętu w swoim życiu, Angela przyjeżdża do niego i wyjeżdża dwukrotnie. Za każdym razem przywozi trochę swoich rzeczy i zostaje na pięć dni. A to narzutę na łóżko, a to jakieś kosmetyki; przedmioty, które tworzą dom. Roy tego nie komentuje. Przygląda się tylko z uśmiechem. Wie, że powinien zadzwonić do Heather i omówić z nią sytuację. Wy tłumaczyć jej swoje motywy. Zaprezentować się jej na nowo po latach. Angela mówi jednak, że matki najczęściej nie ma w domu, a jak już jest, to w dalszym ciągu nie chce rozmawiać z byłym mężem. Zadawnione urazy. Złość. Bezwład. I tak niedługo będzie musiało dojść do tej rozmowy. Albo z nią, albo z jej prawnikiem. Za parę miesięcy, jak już będzie po wszystkim, jak wykona już ten swój ostatni przekręt w życiu, załatwi sobie normalną pracę. Normalne życie, o którym będzie można opowiadać. Etat, pensja. Może coś społecznie w schronisku dla bezdomnych. Żeby, jak to określił

mecenas, poprawić swoje notowania. Żeby mieć świadków, którzy potwierdzą, że postępuje właściwie. Wówczas złoży papiery o opiekę nad Angelą i rozpocznie się rozgrywka. Jest pewien, że Heather zacznie z nim wtedy rozmawiać. Choć ma nadzieję, że nie.

Kiedy Frankie z Royem zjawili się w magazynie portowym, Saif był wniebowzięty. Przyjechali późno, pora odbioru przesyłek ze sztuką już minęła. Roy, w przededniu swego nowego życia, wycofał się również z interesu z malarstwem, zrzekając się przyszłych zysków na rzecz Frankiego.

— Wróciliście — cieszył się Saif, biorąc ich kolejno w objęcia.

— Ale nasza przesyłka jeszcze nie nadeszła.

— My nie w sprawie malarstwa — powiedział Roy, świadom, że musi to należycie rozegrać. Nie spłoszyć Turka. — Frankie... w końcu mnie przekonał, że warto cię wziąć do spółki. Włączyć do gry.

— Do gry? Jako waszego wspólnika? Roy westchnął ciężko.

— Jednorazowo — podkreślił. — Jednorazowy wspólnik. Potem, później, być może Frankie weźmie cię na stałe. Jeżeli dobrze pójdzie.

— A ty?

— Ja wypadam. Mam już powoli dość. — Nie było sensu mówić facetowi o Angeli. Dopiero jak będzie musiał.

Saif był zainteresowany. Aż mu ślinka ciekła.

— Jak się do tego zabierzemy? — zapytał.

— Sprawa jest taka — wtrącił się Frankie — że musimy mieć pewność, że jesteś w stanie wykonać strzał tak jak trzeba. Jedyny sposób, żeby się o tym przekonać, jest taki, że musisz się wystawić przy pierwszym numerze.

— Nie rozumiem — powiedział Saif. — Być może mój angielski...

— Twój angielski jest w porządku — przerwał mu Roy. — Frankie chciał powiedzieć, że jeśli chcesz wejść z nami w spółkę, musisz wyłożyć pieniądze na pierwszą akcję. Jakiś czas temu stwierdziłeś, że chciałbyś wykonać numer długoterminowy...

— Tak, tak.

— ...a taki numer wymaga kapitału. Więc jeśli chcesz działać razem z nami, a właściwie z Frankiem, musisz nam udowodnić, że masz te pieniądze, i to z góry.

Turek nie zastanawiał się ani chwili.

— Mogę to zrobić — oznajmił podekscytowany. — Oczywiście, że tak. A wy dwaj przeprowadzicie... rozgrywkę, tak?

Frankie i Roy wymienili uśmiechy. Szerokie, zębiaste uśmiechy.

— O, rozgrywkę to my już mamy przygotowaną — zauważył Frankie. — Mamy już obmyślony numer i mamy ślicznego frajera, który tylko czeka na strzał.

Tak było przed tygodniem. Od tego czasu Roy próbuje jakoś to wszystko poukładać. Prowadzi podwójne życie. W ciągu dnia rozmawia z prawnikami, z Kleinem, spotyka się z agentami nieruchomości. Nocami obmyśla przekręt. Rozmawia z odpowiednimi osobami. Załatwia odpowiednie towary.

Wymyślił zabawny mały trik do tego numeru, Frankie też coś dorzucił. To dobry numer, stara szkoła. Nie całkiem długoterminowy i nie całkiem szybki, ale właśnie czegoś takiego będzie mu brakowało, jak już się wycofa.

— Pan Arbeiter teraz pana przyjmie. — Zaskoczony

Roy podnosi głowę. To recepcjonistka. Roy odkłada czasopismo, które przeglądał, i wstaje. Strzepuje spodnie, poprawia krawat. Jeszcze nigdy nie był na rozmowie w sprawie przyjęcia do pracy. — Wygląda pan na trochę spiętego — mówi Arbeiter, gdy Roy siada na krześle w jego biurze. — Może drinka albo wody? Facet jest od niego młodszy i dobrze się czuje w swojej roli. Roy kręci głową. Dłonie ma lepkie, spocone. Okno biura wychodzi na tył budynku, na parking i ceglane, nieotynkowane ściany.

— Nic mi nie jest — zapewnia. — Możemy zaczynać. Arbeiter zadaje mu kilka całkiem niewinnych pytań.

Wiek, zainteresowania. Przegląda resume Roya, które pomogła mu napisać Angela. Nauczyła się tego w szkole, na wychowaniu obywatelskim.

— Magistra pan nie zrobił? — pyta tamten.

— Nie — odpowiada Roy. — Nie było mnie stać na studia. — Stara się jak najbardziej to uprościć, żeby uniknąć potknięcia. Napisał, że ma ukończony ogólniak. Nie zamierzał kłamać w podaniu, od razu na początku nowego życia, ale Angela powiedziała mu, że wszyscy tak robią. Nikt nie zaczyna całkiem czysto.

Arbeiter kiwa głową i przewraca kartkę. Jakie ma młode dłonie, myśli Roy. Może mieć trzydziestkę, najwyżej trzydzieści dwa. I jest tutaj szefem.

— A więc sprzedawał pan antyki — mówi.

— Tak, przez jakiś czas... proszę pana.

— Trudno się tym handluje?

— Nie bardzo trudno. Ale trudno jest z tego wyżyć.

Arbeiter zaplata ręce na piersi. Odchyła się do tyłu.

— No cóż, Roy—ciągnie — nie każdy jest urodzonym biznesmenem. Niektórzy są w tym po prostu lepsi od innych. Roy nie wie, czy uznać go za kołtuna, czy nie. Ma to gdzieś. Przez chwilę nachodzi go ochota, żeby przeskoczyć przez biurko, złapać dupka za krawat i powiedzieć mu, że nie tacy młodzi i nie tacy silni już obrywali od niego po nosie. Powiedzieć mu, że w realnym świecie, poza ścianami tego biura, nie miałyby szans. Ale to dawny Roy. Obecny, nowy Roy, szuka pracy. Przyzwoitej pracy, w każdym razie do czasu uzyskania opieki nad Angelą. A potem... no cóż, zawsze przecież można się zwolnić.

— Zależy mi na pracy w dobrej firmie — mówi grzecznie. Słowa kłują go w gardle. Myśli o Angeli. Zbiera się w sobie. — Skoro potrafię sprzedawać antyki, to mogę też sprzedawać... co tu produkujecie?

— Urządzenia do klimatyzacji.

— Mogę sprzedawać urządzenia do klimatyzacji. Zasady handlu są te same. Dajcie mi tylko szansę, a sprzedam wam tego tysiące sztuk.

— Z pewnością, Roy. Dziękuję ci za rozmowę. Roy nie wstaje z krzesła.

— Zależy mi... muszę dostać pracę.

— Oczywiście. Odezwiemy się do ciebie. Roy kręci głową.

— Ja... będę ciężko pracował — składa obietnicę.

— Oczywiście — powtarza szef, twardszym tonem. — A my się odezwiemy do ciebie. Dziękuję.

Arbeiter wstaje i jest jasne, że to znak do wyjścia.

Wymieniają uścisk dłoni i Roy wychodzi. W poczekalni siedzi jeszcze piątka petentów. Patrzą na niego, gdy przechodzi, wypatrują jakiegoś znaku.

— Klimatyzatory — mówi do spłoszonej młodej kobiety w najdalszym kącie. — Jakby się pytał, to produkują klimatyzatory. Ostatnią noc przed zrobieniem ostatniego przekrętu Angela spędza u Roya. Jego dawna nora stała się już właściwie jej pokojem. Roy przestawił ceramicznego konia w najdalszy kąt i pozdejmował obrazy, które jej się nie podobały. W koniu jest teraz tylko gotówka na bieżące wydatki, góra dziesięć tysięcy. Akwarele powędrowały prosto na śmietnik. Angela ma własny gust, własne poczucie stylu. Roy wie, że lubi tulipany, więc kupił kilka i postawił je w wazonie obok jej łóżka.

Przygląda się teraz, jak jego córka szczotkuje włosy przed położeniem się spać. Angela wie, co ma się jutro wydarzyć. Zna wszystkie szczegóły. Mimo początkowych obiekcji, Roy włączył ją do gry. To jedyny sposób, żeby poszło jak należy, żeby zadziało. To znaczy, są inne sposoby, ale ten jest najlepszy. Wystarczy zastosować właściwą metodę i można obrobić dowolnego frajera. Tak właśnie musi być, jeżeli przekręt ma się udać. Tak musi być, jeżeli Frankie ma stanąć na własnych nogach.

Roy siedzi na skraju jej łóżka. Kupił Angeli normalne, porządne łóżko zamiast starej wersalki. Z zagłówkiem. Ma nowiutki materac. Sama go sobie wybrała w sklepie. Roy w tym czasie wypełnił formularz podania o pracę. Mógłby sprzedawać materace, czemu nie.

— Dobrze się czujesz przed jutrzejszym? — pyta.

— Jasne. A czemu mam się nie czuć dobrze?

— Nie, oczywiście, chciałem się tylko upewnić, czy nie masz cykora.

— Zero cykora, tatuńciu. — Odkłada szczotkę i ściąga włosy gumką w koński ogon. — I tak nie możesz tego zrobić beze mnie, no nie?

— Zgadza się. Jak uzgodniliśmy, w razie... jakichś problemów...

— Wiem, mam uciekać. Pędzę na dworzec i jadę do domu, do mamy.

— Tak jest.

— Ale nie będzie żadnych problemów — mówi Angela. — Wiem to.

— Ja też to wiem. A teraz już lulu.

Angela zagrzebuje się pod kołdrą, zgarnia poduszkę pod głowę. Przyciąga Roya do siebie, kładzie sobie jego rękę na plecach. Roy na w pół leży na łóżku, obejmując córkę. Ona wtula się mocniej w niego i patrzy mu w oczy.

— A jak już będzie po wszystkim... Grają w tę grę od tygodni.

— Jak już będzie po wszystkim — podchwytuje Roy — sprzedamy ten domek i kupimy sobie duży dom na wsi. Teraz jej kolej.

— A ty dostaniesz świetną pracę w sklepie zoologicznym.

— W sklepie zoologicznym, tak?

— Mhm. Mają różne bonusy. Można brać za darmo do domu jednego psa dziennie, a koty za pół ceny.

— To dobry sklep. No i jak już będzie po wszystkim... zrobimy sobie basen ze zjeżdżalnią i dziesięciometrową trampoliną.

— O, to super. — Powieki jej opadają, głowa zagłębia się w poduszce. — Jak już będzie po wszystkim, będziemy razem przez całe lato...

— I przez zimę, jeżeli będziesz chciała. Znajdziemy ci dobrą szkołę, poznasz nowe fajne koleżanki, będziesz ustawiona jak trzeba.

— I poukładam wszystko między tobą i mamą... Roy milczy. To już nie jest gra. Słucha tylko, co ona mówi. Czego pragnie. I wie, że się to nie stanie.

— ...i znów... będziemy... normalną rodziną. Angela zasypia w jego ramionach. Może to jej się tylko śni. Roy nie chce zbudzić dziewczynki. Jeszcze nie.

Ostrożnie zsuwa się z łóżka, podtrzymując jej głowę i kładąc delikatnie na poduszce. Życzy Angeli spokojnego snu.

Spotykają się na ciemnym rogu ulicy, dwie przecznice od kina.

Angela, Roy i Frankie podjeżdżają autem, Saif przychodzi na piechotę. Niesie dużą sportową torbę, którą Roy dał mu do transportu gotówki. Wisi na jego ramieniu, wyraźnie mu ciężąc.

Roy ma nadzieję, że Turek rozegra to po jego myśli. Od tego wszystko zależy.

— To twoja córka, tak? — pyta Saif, podając im rękę.

— To Angela — przedstawia ją Roy. Saif nachyla się do niej.

— Twój ojciec jest bardzo odważnym człowiekiem — mówi. — Bardzo dobrym człowiekiem.

— Wiem.

— Zostawia... wszystko. Dla ciebie. Wiesz o tym, prawda?

— Tak, wiem. — Angela spogląda na Roya. Czy nie da się tego przerwać? Roy sięga po torbę Turka.

— Masz pieniądze? — pyta.

— Całą sumę. To spory ciężar. — Saif stawia torbę na ziemi i otwiera zamek błyskawiczny. Wewnątrz są pliki studolarówek, owinięte folią. Paczki banknotów. — Trzysta tysięcy dolarów. Przynęta.

— A po co ta folia? — docieka Frankie.

— Musiałem to jakoś popakować — wyjaśnia Saif. — A nie chciałem iść do banku i prosić o sto banderol.

— Dobra, może być — stwierdza Roy. — Idziemy. Saif podnosi torbę i zarzucają sobie na ramię. Ruszają chodnikiem, trzymając się blisko siebie.

— To dla mnie bardzo ekscytujące — oznajmia Saif. — Taki początek.

— Nie ma się co ekscytować — mówi Roy. — Masz to traktować jak każdą inną pracę.

— Tak, oczywiście, ale...

— Żadnego ale. To jest wymiana, tak to mamy rozumieć. Tak mi się w każdym razie wydaje. Nic więcej nie kombinuj, a wszystko pójdzie dobrze.

Przecznicę przed kinem stają przed niedużym budynkiem biurowym. Frankie wyjmuje z kieszeni klucz i otwiera drzwi.

— Masz wszystko co trzeba? — pyta go Roy.

— Jest w środku — odpowiada Frankie. — Przebiorę się tutaj i niedługo tam będę, przeczekał w toalecie.

— Dobrze. Tylko żebyś wyskoczył w odpowiednim momencie.

— Jak zawsze — zapewnia Frankie i wchodzi do

budynku. Wyciąga rękę przez próg, ściska dłoń Roya. — To jest to, współniku. Ostatni walc...

— Ostatni walc — powtarza jak echo Roy. — Nie daj się złapać. Drzwi się zamykają, Frankie zostaje za nimi. Roy, Saif i Angela idą dalej. Saif przechyla się w stronę Roya, opierając ciężką torbę o biodro.

— Mam pytanie — zagaduje. — Jak odzyskamy torbę, kiedy już... frajer odejdzie?

— Nie musimy — mówi Roy. — Sęk w tym, że jeśli pójdzie dobrze, on nie będzie miał torby. Jak towar będzie na podłodze, Frankie wyskakuje i... słuchaj, tam na miejscu gadanie zostaw mnie, rozumiesz? Ja poprowadzę całą sprawę i wszystko będzie dobrze.

Saif kiwa głową.

— A ten frajer... na pewno się na to złapie?

— Złapie się jak złoto — potwierdza Roy. To dealer spoza miasta. Znam go już jakiś czas, ma do mnie zaufanie. Nie domyśli się niczego i strzelimy pięknego gola. Tak jak mówiłem, my nie wchodzimy w handel narkotykami, to podstawowa zasada. Więc ty weźmiesz sobie ten towar, sprzedasz go swoimi kanałami i wtedy dzielimy zysk. Ale musisz zagrać jak trzeba. Angela nie wytrzymuje, by nie wtrącić się do rozmowy.

— Roy mówi, że to jest bułka z masłem.

— To prawda, kochanie. Stara szkoła.

— Mnie też się wydaje proste — mówi Saif.

— Proste nigdy nie jest — poprawia go Roy. — Tylko tak wychodzi. Jeśli się gra według planu, nic nie powinno się stać. Ale jeżeli coś wyskoczy...

— Na przykład?

— No, właśnie nie wiem. Coś, cokolwiek. Jeżeli coś pójdzie nie tak, musisz się stamtąd od razu zmywać. Nie będę mógł cię chronić. — Obejmuje Angelę, przyciąga ją do siebie. — W środku ona będzie dla mnie najważniejsza, nie ty. Jeśli coś pójdzie nie tak, przede wszystkim ją będę ochraniał.

— I tak powinno być — kończy temat Saif. Skręcają za róg. O tej późnej porze ulice są wyludnione, szczególnie tutaj. Przed nimi stoi stary wiktoriański budynek, od dawna opuszczony. Kiedyś było w nim kino.

— Z tego, co wiemy — podejmuje Roy — facet powinien łatwo chwycić przynętę i wszystko powinno zadziałać. W środku używamy tylko tych nazwisk, które ustaliliśmy. A po numerze najlepiej wynieść się na trochę z miasta.

— Może pojedziemy na Fidżi — proponuje Angela. — Widziałam zdjęcia w folderze. Niebieskie morze, wysokie góry. — Pewnie, kochanie. Na Fidżi jest super.

Ściany kina pokryte są graffiti. Pomarańczowe plamy, żółte gryzmoły na tynku. Okna są zabite deskami, frontowe drzwi zamknięte na kłódkę. Roy prowadzi swoją grupkę do alejki na tyłach budynku. Przy bocznym wejściu jest okno oznaczone czerwoną literą Q. Roy łapie za jedną z desek i pociąga mocno. Podnoszą się wszystkie, umocowane wspólnie na zawiasach.

— Ukryte wejście. Włóżcie po kolei.

Saif wrzuca do środka torbę i gramoli się za nią. Po nim Angela, Roy pomaga jej się wdrapać na parapet. Przed wskoczeniem do wnętrza dziewczynka odwraca się i puszcza do niego oko, a on odpowiada jej tym samym i wchodzi jako ostatni.

Podłoga opuszczonego budynku jest zasłana śmieciami. Worki foliowe, tekturowe tacki, igły, butelki po piwie, zużyte kondomy. Ekran wspaniałego niegdyś kina wisi w strzępach. Powyrywane siedzenia foteli, wypruta pianka wala się po ziemi.

— Chyba odwołali nocny seans — mówi Angela. Roy toruje im drogę, rozkopując śmieci na boki.

— Jest nieczynne od jakichś dziesięciu lat — wyjaśnia. — Sporo transakcji się tutaj odbywa.

— Z tobą?

— Ze mną też, czasami.

Saif wlecze się za nimi, mrużąc coś pod nosem. Roy nie rozumie słów.

— Idziesz czy nie? — rzuca i Turek kiwa z uśmiechem głową. Przyspiesza kroku.

Za porwanym ekranem coś się porusza. Jakiś cień. Roy chwytą Angelę za ramię, zatrzymuje ją.

— Panie Thomas! — woła. — Czy to pan?

Ktoś się potyka, słychać ciężkie stąpania po niewidocznym rumowisku.

— Ciemno tutaj jak w dupie! — słyszą i zza ekranu wyłania się jakaś postać, wychodzi do światła. Niewysoki, barczysty mężczyzna w swetrze staje na wąskiej scenie. Ma ze sobą torbę, taką jak Saif. — Ładny masz lokal, Roy.

Roy wchodzi po schodkach na scenę, ciągnąc za sobą Angelę. Saif idzie za nimi.

— Dobrze znów pana widzieć — mówi Roy, podając tamtemu rękę.

— Spóźniłeś się.

— Przepraszamy.

— Nie lubię niepunktualności. Roy kręci głową.

— Nie dało się szybciej.

— Ja musiałam iść się wysikać — wtrąca Angela, jakby na dany znak.

Thomas przygląda się całej trójce. Głównie Angeli.

— A to? — pyta.

— Moja córka.

— Z dzieckiem pan przyszedł?

— Ona wie, co jest grane. Angela posyła facetowi uśmiech.

— Jestem w branży od lat — chwali się. Thomas odpuszcza.

— Dobra Roy, twoja rodzina, twoja sprawa. Słuchaj, robimy to, czy nie robimy?

Roy kiwa na Saifa, żeby podszedł. Turek staje obok niego.

— To jest Alan. Mój kumpel od lat. Alan, pokaż panu

Thomasowi gotówkę. Turek stawia torbę na podłodze i teatralnym gestem odciąga suwak. Pliki banknotów są w środku, ciasno poowijane paskami folii.

— Trzysta tysięcy dolarów — mówi Saif.

— A po kiego grzyba ta folia? — pyta Thomas. Roy spogląda na Turka pytająco, jakby sam tego nie rozumiał.

— Nie mogłem znaleźć banderol — wyjaśnia Saif. — Forsa to forsa, co za różnica, jak opakowana. Zobaczmy może teraz, co pan ma nam do zaoferowania.

Thomas nie draży tematu. Rzuca swoją torbę w objęcia Roya, który pod jej ciężarem zatacza się do tyłu. Otwiera ją i pokazuje zawartość Saifowi.

Sześć plastikowych torebek wypełnionych śnieżnobiałym proszkiem. Roy naciska jedną palcem; jest twarda, nabita.

— Ładnie. Tylko żeby była czysta...

— Pewnie, że jest czysta — obrusza się Thomas. — Daje takiego kopa...

— Ja tylko pytam — wyjaśnia Roy. — Tylko pytam. Thomas rozgląda się po wnętrzu, stuka niecierpliwie stopą o podłogę.

— To co, sprawa załatwiona? Handlujemy, tak? — Spogląda na torbę Saifa.

— Ja uważam, że handlujemy — mówi Turek.

— To dobrze — rzuca Angela. — To miejsce dziwnie na mnie działa.

Jakiś trzask od strony kinowego holu. Trzask i odgłos szurgania. Kroków. Wszyscy zamierają w bezruchu, głowa Thomasa lata w lewo i w prawo.

— Ciii — szepcze Roy. — Nie ruszajcie się.

Zza rzędów foteli wyskakuje snop światła, widzą, jak błyska w tę i z powrotem. Przesuwa się coraz bliżej sceny. Słyszą męski głos:

— Kto tam jest? Darryl, to znowu ty?

Czwórka na scenie stoi nieporuszona. Czekają skryci w półmroku, aż światło ich minie.

— Zabroniłem ci tu przychodzić! — woła mężczyzna. —

Wywaliłem cię stąd w zeszłym tygodniu, wywalę cię i w tym.

Mogę ci znaleźć miejsce w schronisku, ale nie będę marnował czasu na uganianie się za tobą po mieście!

Sylwetka mężczyzny jest słabo widoczna w blasku latarki, lecz nietrudno dojrzeć mundur. Czapkę z daszkiem,

pagony. Długi ciemny przedmiot dyndający na lewym biodrze.

— Rany boskie — mamrocze gliniarz, sięgając po broń, gmerając przy zapięciu kabury.

Thomas przykłęka na jedno kolano, wkłada rękę pod sweter, wyciąga pistolet i kieruje lufę ku policjantowi... Który już trzyma całą czwórkę na muszce.

— Rzuć to! — krzyczy. — Rzuć tę przeklętą broń! — Podchodzi do nich, roztrącając śmieci w przejściu między rzędami.

Thomas upuszcza pistolet na podłogę. Oczy Roya iskrzą się gniewem.

— Ty skurwielu — warczy, pchając Thomasa w pierś i przewracając na ziemię. — Wrobiłeś nas!

— Co ty gadasz! — Thomas odpełza tyłem poza zasięg wyciągniętych rąk Roya. — Nie mam pojęcia...

— Zabiję cię za to. Już nie żyjesz.

— Zamknąć się, wy dwaj! — rozkazuje policjant. Wdrapuje się na scenę, wyłączając jedną ręką latarkę i wsuwając ją za pas.

Światło już ich nie oślepia i mogą się przyjrzeć twarzy funkcjonariusza. To Frankie.

— Niech pan posłucha — mówi Roy. — Może się jakoś dogadamy?

Frankie kieruje lufę w jego pierś.

— Powiedziałem zamknąć się — rzuca ostro.

— Tato? — Angela patrzy na Roya, gra swoją rolę.

— Spokojnie — mówi Roy. — Nie bój się. Frankie kłęka przy torbie na podłodze, celując teraz

w Thomasa. Rozrywa jedną z torebek, trochę proszku się wysypuje. Dziabie go palcem, próbuje językiem.

— Jesteście zwykłą bandą dealerów — oświadcza. —

Wciągnęliście w to dziecko, bardzo mądrze. Sędziemu to się spodoba.

Zdejmuje z pasa radiotelefon i włącza go. Słyszc trzaski.

— Dyspozytor, mam tu cztery trzydzieści trzy w toku — mówi na tle szumów. — W starym kinie Adelphi na Szóstej Ulicy, dajcie dwa wozy ze wsparciem.

Thomas robi krok w stronę Frankiego, przygląda się uważniej jego broni. Roy wybałusza oczy i próbuje go powstrzymać gestem dłoni. Ale facet nie zwraca na niego uwagi. Roy rzuca zatroskane spojrzenie Saifowi, który wzrusza ramionami.

— Mam trzech podejrzanych — ciągnie Frankie. — I jedna nieletnia.

Następny krok do przodu i Thomas śmieje się już teraz szeroko. Podchodzi jeszcze bliżej Frankiego. Ten unosi wyżej lufę, zaciska dłoń na kolbie.

— Nie ruszaj się. Ani kroku dalej. Thomas nie reaguje.

— Na miłość boską! — krzyczy Roy. — Przestań, już przepadło! Thomas wybucha śmiechem. Nie słucha Roya, nie słucha Frankiego.

— Nie wydaje mi się — mówi. Schyla się i podnosi z podłogi swój pistolet. Celuje we Frankiego, w Roya, w Saifa. W Angelę. Saif zaczął się pocić, rozgląda się bezradnie, wyłamuje palce, pociera dłońmi o siebie. Denerwuje się.

— Proszę tego nie robić — błaga Thomasa — przecież to policjant, nie możemy...

— Gównu, a nie policjant — warczy Thomas.

Frankie patrzy na Roya. Ten kiwa głową. Frankie unosi wyżej lufę.

— Rzuć to albo strzelam! — rozkazuje.

— Czym? — pyta kpiąco Thomas. — Ślepakami? Chcesz mnie zastrzelić ślepakami?

Frankie zaczyna drżeć.

— Zaraz przyjedzie wsparcie — ostrzega.

— Gównu przyjedzie. Odłóż ten pistolet, człowieku. Albo nie odkładaj, mam to gdzieś. — Thomas staje swobodnie na linii strzału Frankiego, chwytając za lufę jego broni. Wrywa mu ją z ręki. Rzuca za siebie.

Angela podbiega do Roya, wtula się w niego. On otacza ją ramionami, obejmuje mocno.

— Skurwiele, chcieliście mnie wyruchać — mówi Thomas. — Chcieliście mnie zwyczajnie oszukać.

— Nie, coś ty — protestuje Roy. — Widzę tę świnię pierwszy raz w życiu.

Thomas w ogóle go nie słucha.

— Myślicie, że ja nie znam takich numerów? Myślicie, że tam, skąd pochodzę, nikt nigdy nie widział przekrętu na gliniarza?

Frankie nie ustępuje, próbuje się trzymać scenariusza.

— Nie wiem, o czym mówisz, człowieku, ale jeżeli natychmiast...

Thomas wali go kolbą pistoletu w twarz. Frankie pada, zakrywając rękoma nos i wyjąc z bólu.

— Pojawia się zły policjant — ciągnie Thomas — i odgrywa scenę. Ma mnie wystraszyć, żebym stąd zwiął bez towaru i bez pieniędzy. Fajna sztuczka. Prawie wam się udało. A może na zewnątrz macie jeszcze kumpli, którzy mieli tu wparować jako wsparcie dla tego Kojaka?

Aresztować nas, zapakować w fałszywe suknie, a potem ja bym dostał w łeb i obudziłbym się gdzieś w polu, bez niczego. Taki mieliście plan?

Thomas podnosi obie torby, zarzuca je sobie na ramię i podchodzi do Saifa. Smagła twarz Turka pobladła, wąsy mu obwisły, oddycha szybko i głośno.

— No, jak to miało być? — pyta Thomas.

— Nie wiem, o czym gadasz — kręci głową Saif. Thomas błyskawicznym ruchem chwyta go za szczękę, zmusza do otwarcia ust i wpycha do środka lufę. Odwodzi kurek.
— Zapytam cię jeszcze raz, a jeśli odpowiedź mi się nie spodoba, poinformuję cię o tym, pociągając za spust. Gadaj: Taki mieliście plan?

Saif kiwa głową, zęby szczękają o metal. Nie przestaje kiwać, jest bliski płaczu. Z krtani dobywa się wysoki pisk. Thomas wyjmuje pistolet z jego ust.

— Tak było — jęczy Turek. — To pierwsza... wersja.

— Rany boskie — mruczy Roy. — No to pięknie. Thomas staje z powrotem na środku, trzymając całą czwórkę na muszce.

— Pytanie nie brzmi, jak się was pozbędę, tylko który ma paść pierwszy.

— Weź pieniądze — odzywa się Frankie. — Masz kasę, masz prochy. Nikomu nic nie powiemy. Przysięgam.

Thomas kręci głową. Uśmiecha się.

— To nie zabawa — stwierdza. — Muszę mieć z tego trochę przyjemności, no nie? Mógłbym na początek zabić ciebie.

Fałszywego gliniarza. Prawdziwego byłoby fajniej, ale trudno. — Kieruje lufę ku Saifowi, który aż się kur-

czy. — A ten tutaj? Kto wie, co robi, jak się zacznie. Może się nawet posika w gacie?

Thomas odwraca się teraz do Roya i Angeli. Rozdziela ich ruchem lufy. Przygląda się Angeli, kiwa z aprobatą głową.

— No i mamy jeszcze tę lalunię. Jak masz na imię?

— Zostaw ją — warczy Roy.

— Zamknij dziób, tatuś. Jak masz na imię, rybeńko?

Dziewczynka ledwie dobywa z siebie głos.

— An... An... Angela. Roy robi krok do przodu.

— Powiedziałem, zostaw ją, gnoju.

Thomas go ignoruje. Wodzi lufą pistoletu po ramieniu Angeli, po jej biodrze.

— Ładniutkie z ciebie stworzonko, Angela. Może pójdziemy razem do mnie?

— Ja... nie...

— Nie ma sprawy — mówi Thomas, głaszcząc ją po włosach. — Możemy to zrobić tutaj...

Coś zwierzęcego, nieludzkiego. Gardłowe warczenie, ryk rozdzierający powietrze. Roy szarżuje na Thomasa, głowę pochyla niczym wściekły byk. Rozpościera ręce, żeby pochwycić tamtego, zwalić go z nóg.

— Roy! Nie! — krzyczy Frankie.

Ogłuszający huk wystrzału. Gryzący dym. Roy zwała się na ziemię, trzymając się za brzuch. Spomiędzy jego palców płynie krew, ścieka na deski sceny.

Angela biegnie do niego z wrzaskiem, rzuca się na leżącą postać.

— Tatusiu! — zawodzi. — Tatusiu...

Gdy Thomas rusza, żeby ją ściągnąć z leżącego ojca,

Frankie skacze na niego od tyłu. Chwyta go za ręce, krepując ruchy. Torby zderzają się ze sobą, ich paski tworzą zaimprovizowane więzy. Thomas obraca się i padają spleceni w uścisku. Siłują się, walcząc o pistolet.

Saif nie wie, co robić; stoi jak sparaliżowany i gapi się na to wszystko. Jest w szoku.

— Uciekaj! — krzyczy Frankie. — Zmywaj się stąd!

Saif obejmuje spojrzeniem całą scenę. Roya, wykrwawiającego się na śmierć na podłodze. Zawodzącą Angelę, która usiłuje przywrócić go do przytomności. Frankiego, zmagającego się z Thomasem o przejęcie pistoletu. Saif nie zamierza czekać na wynik tej walki. Zeskakuje ze sceny i pędzi między rzędami do wyjścia z sali, do okna na ulicę.

Walka trwa jeszcze kilka minut, stopniowo tracąc na intensywności. W końcu Thomas i Frankie przestają się kotłować i leżą jeden na drugim, dysząc ciężko. Takie zapasy to nie w kij dmuchał. Było trudniej, niż się spodziewali.

— No, już wystarczy — stęka Frankie, spychając z siebie Thomasa. — Zmył się.

— Na pewno?

— No jasne, zwiął gdzie pieprz rośnie. Jest już w połowie drogi do Turcji.

Thomas wstaje, pomaga się podnieść Frankiemu.

— Prawie mi zwichnąłeś ramię, wiesz o tym?

— Ty już lepiej nic nie mów, bo jakbyś mnie walnął jeszcze trochę mocniej, to wylądowałbym w szpitalu ze złamanym nosem — odpowiada Frankie.

Thomas wzrusza ramionami.

— Roy powiedział, że mamy iść na całość, no to poszedłem.

Odwracają się w stronę Roya i Angeli, wciąż przyklejonej do jego krwawiącego ciała. Ale już niezawodzącej. Uśmiech na jej twarzy mówi wszystko.

— Dobrze wypadłam, prawda? — pyta.

— Z przykrością muszę przyznać — stwierdza Frankie — że wypadłaś świetnie, dziewczyno.

Roy otwiera oczy. Patrzy na nich wszystkich.

— Nieźle to wyglądało z dołu — mówi. — Pomóżcie mi wstać. Podnoszą go na nogi. Brzuch ma usmarowany czerwonym płynem.

— Kurczę, jeden ładunek ułożyłem odwrotnie — oznajmia Roy, pocierając to miejsce. — Bolało jak wszyscy diabli.

Frankie patrzy na Thomasa, kręcąc głową.

— Coś ty wymyślił, Marco, z tą zasypką dla niemowląt? — pyta. Thomas, czyli Marco uśmiecha się z zakłopotaniem.

— Nie miałem w domu tyle mąki, a najbliżej mnie jest drogeria — wyjaśnia.

Frankie wybucha śmiechem.

— Masz pojęcie, jak trudno było nie splunąć, kiedy posmakowałem tego świństwa? — skarży się Roy.

— Przynajmniej nie będziesz miał wysypki na ustach. — Marco kręci ze zdumieniem głową. — Widzieliście, jak on spieprzał?

Jakby mu się paliło koło dupy!

— Tak właśnie miało być — stwierdza Roy. — Spadajmy stąd. Podzielimy się w domu.

Zeskakują ze sceny i ruszają w stronę głównego wyjścia z budynku. Frankie kładzie Royowi rękę na ramieniu.

— Będzie mi ciebie brakowało, stary — mówi.

— Mnie ciebie też — kiwa głową Roy. — Ale numer był przedni, co?

— Dobra zabawa na pożegnanie — dodaje Frankie. Angela wciska się między nich. Dobrze jej tak w środku.

— To co, jesteście teraz ustawieni, Roy? — pyta.

— Jesteśmy ustawieni — odpowiada Roy, czując ulgę, że już jest po wszystkim. Ostatnie piętnaście lat, przekręty, życie oszusta, to już skończone. Teraz może rozpocząć nowe życie, cokolwiek ono oznacza.

Wkraczają do holu. Roy jest zdumiony, że słyszy jakieś głosy. Przez szpary pod podwójnymi drzwiami padają smugi światła. O tej nocnej godzinie nikogo nie powinno tam być. Nikt nie powinien się tam kręcić.

Blask zalewa wnętrze, frontowe drzwi stają otworem. Gwar głosów, okrzyki, padają komendy. Roy cofa się odruchowo, potyka o własne nogi. Podnosi rękę, zasłania oczy przed światłem. Angela przywiera do niego, wczepia się mocno w jego ramię.

Do holu wchodzi Saif w towarzystwie dwóch mundurowych. Prawdziwych policjantów, nie takich jak Frankie. Turek ma zawieszoną na szyi odznakę. Wąsy zniknęły. Ciężki akcent też.

— Widzę, że brzuch ci się błyskawicznie zagoił, Roy — stwierdza najczystszą amerykańską angielszczyzną.

Twarz Roya zmienia się w maskę zgrozy. To nie tak miało być. Nie tak miało się skończyć.

Strach Angeli jest tym razem prawdziwy. Trzyma się mocno ojca i nie puszcza.

— I co teraz będzie, Roy?

On się cofa, odsuwa się od Saifa i tamtych dwóch policjantów. Od pistoletu Saifa, który w nich celuje.

Powinien był się domyślić. Przygwoździć faceta na samym początku. Nie przekraczać w ogóle progu tego magazynu. A już na pewno nie wchodzić z nim w żadne układy.

— Wiedziałem, że jesteś zgniłkiem — mówi Roy do rzekomego Turka. — Od pierwszego dnia.

— Dzięki za zaufanie... współniku — odpowiada Saif, wchodząc głębiej do holu. Trzymając ich na muszce. — Przekręt w przekręcie. To świetny numer. Już rzadko kto go wykonuje, ale jest świetny. Naprawdę się cieszę, panowie, że was poznałem. Roy rozgląda się za drogą ucieczki. Zablokowana. Dwaj mundurowi osaczają ich grupkę z dwóch stron. Cofa się jeszcze trochę, Angelę ma po swojej prawej. Jest przerażona. Źle zrobił, że ją w to wszystko wciągnął.

— Będzie doskonały temat dla prasy — oświadcza Saif. — Oszust i jego partnerka, Panna Przekręt. — Widzisz już te tytuły w gazetach?

Roy czuje narastający ucisk w głowie. Kiedy indziej próbowałby go stłumić, pomyśleć o czymś innym. Teraz go hołubi, zaprasza, chce, żeby narastał. Żółć już podchodzi mu do gardła. Cholera, nie tak to miało być. Nie taki miał być koniec. Powinni teraz siedzieć w domu i liczyć pieniądze. A nie zajmować się tym bezsenssem.

— Zabiłeś nas, Frankie — syczy Roy.

— Rany boskie, Roy! — Frankiemu trzęsie się głos. — Ja nie wiedziałem! Myślałem, że on jest czysty.

— Zamordowałeś nas.

Saif opuszcza na chwilę pistolet, by sięgnąć za plecy po kajdanki. Roy nie może oderwać od nich wzroku. Kajdanki. Jeszcze nigdy nie był skuty. Raczej nie sądzi, żeby mu się to spodobało. Ucisk wciąż narasta. Obraz się

rozmazuje, ale to nie wystarczy. Nie może wzbudzić w sobie gniewu. Wściekłości. Wie, że został pokonany. Kajdanki są coraz bliżej.

Angela stoi tuż przy nim. Wpatruje się w pistolet Saifa. Już nie jest w nich wycelowany. Saif go opuścił. Dość nisko. Roy widzi to wszystko — jej wzrok, ten pistolet i myśli, które przelatują przez głowę dziewczynki.

To się dzieje powoli, tak wolno, że Roy aż nie rozumie, dlaczego zamarł w bezruchu i nie może zareagować. Przygląda się tylko, jak Angela przykuca, ugina nogi w kolanach i skacze... w górę i przed siebie. Roy zaczyna krzyczeć, ale jest już za późno. Jego okrzyk jest przeciągły i rozlazły. Angela przywiera całym ciałem do Saifa, wbija paznokcie w jego skórę, rozoruje twarz do krwi. Na policzkach wykwitają mu długie, czerwone pręgi. Roy wreszcie otrząsa się z letargu, rzuca się ku walczącej parze, usiłuje odciągnąć Angelę od policjanta.

— Nie rób tego! — wrzeszczy. — Przestań, Angelo!

Czuje, że dwaj mundurowi już są za jego plecami, lecz nie zważa na to. Szarpie Angelę, chcąc ją ratować, uchronić przed pogrążeniem się jeszcze bardziej. Z nim już koniec; z nimi jako parą także. Ale nie z nią, dla niej to nie musi oznaczać końca.

Jeszcze da radę to odkręcić, jakoś wytłumaczyć sądowi...

W jego głowie eksploduje ból. Nie jest to jednak ten dobry ból, znajomy ucisk. Jest ostry, przenikliwy. Gasnącym wzrokiem Roy widzi jeszcze, jak jeden z policjantów znów unosi pałkę. Bierze zamach. Opuszcza ją na jego głowę.

Stęknienie. Łagodny powiew powietrza. Już nie ma bólu. Tylko odczucie ruchu. Budynek się przechyla, prze-

wraca na bok. Wszystko jest przekrzywione, odwrócone do góry nogami. Ciało Roya pada twardo na podłogę holu, policzek uderza mocno o cement. Głowa zatacza krąg, oczy tańczą w orbitach.

Wnętrze ogarnia półmrok. Roy nie rozumie, co się stało. Czy wszyscy wyszli? Zamknęli za sobą drzwi? Widzi buty, kilka par butów sunących w różne strony po podłodze. Słyszy jakieś poruszenia. Co się tam dzieje? Światło wciąż przygasa. Pada strzał. Z pistoletu, głośny, ostry. Odbija się echem. Strzał, a po nim krzyk. To Angela. To ona tak krzyczy. Światło już całkiem zgasło, a ona wciąż krzyczy. Głos przycicha, ale to jej głos.

Angela krzyczy, przebiega mu przez głowę w ostatniej chwili przed utratą przytomności. Angela krzyczy, czyli musiałem zrobić coś złego. Odwołuję to. Odwołuję wszystko.

Jeden

Roy leży na plaży, spodnie zsunięte nisko, na biodra. Patrzy i dziwi się, że zamiast owłosionej wypukłości ciała widzi wąską talię i opaleniznę. Brzuch zniknął. Dobrze jest to widzieć. Miał go tyle lat. Słońce świeci, jest jasne, ale nie pali. Właściwie w ogóle nie grzeje, lecz to nie problem. Grunt, że jest jasne.

Bryza od wschodu. Roy nie czuje powiewu, ale widzi płynące żaglówki. Wiatr zrywa kapelusze z głów rodzicom, przeszkadza dzieciom wznosić zamki z piasku. Błękitna, przejrzysta woda. Ryby pływają tuż przy brzegu. Wielobarwne płetwy, lśniące łuski. Spokojne morze.

Angela jest na leżaku obok, opala się. Ubrana w niebieski kostium, który jej kupił... gdzieś tam. W jakimś małym miasteczku. W lokalnym sklepiku. Porozmawiali z właścicielem, pożartowali, poczęstował ich napojami. Kupili kąpielówki dla Roya i kilka naszyjników z muszelek i zębów rekina. I to niebieskie bikini dla Angeli.

Dziewczynka patrzy na Roya i uśmiecha się. Jest starsza, niż ją zapamiętał, starsza niż wtedy, kiedy kupowali

ten kostium. Ale to nie ma znaczenia. Jest już kobietą. Piękną. Zaczęła już chodzić na randki i Roy nie ma nic przeciwko temu. Przestrzega ją, żeby uważała, sprawdza chłopaków, z którymi córka się umawia, ale jak dotąd żaden mu nie podpadł. Nie pamięta twarzy, ale na pewno ich zaakceptował.

Angela czyta. Pewnie się uczy. Nawet na wakacjach. To dobre dziecko. Dobrze, że mu przyznano tę opiekę, że mogli razem wyjechać. Nie pamięta, co było między tymi wydarzeniami i jak się tu dostali, ale to właśnie urok rajskich wysp. Można o wszystkim zapomnieć i wypoczywać.

Macha ręką. Ona odmachuje. Jest tylko trzy metry dalej i nie potrzeba nic więcej. Wystarczy pewność, że jest blisko, że wypoczywa. Rozluźniona. Zadowolona.

— Ta, ta, ra, ta, ta — mówi Angela z uśmiechem. Roy nie zrozumiał. Nachyla się ku niej.

— Ta, ra, tam, ta, ta, ta. — Z naciskiem w głosie, jakby jej zależało, żeby zrozumiał.

Jednak szum fal narasta i Roy nie potrafi rozróżnić słów.

Przystawia dłoń do ucha.

— Ti, ta, ri, ta, tam, ta, ram, ta — woła Angela. — Ta, ram, ta, ta, ra, ta, ta, ta. Tam, ta, ram, ta, ta, ta, ra, ta, to! — Przekrzykuje fale. Otwiera szeroko usta, krzyczy coraz głośniej, żeby ją wreszcie usłyszał.

On jednak wciąż nic nie rozumie. Co ona chce mu przekazać?

Roy próbuje się podnieść z leżaka, lecz okazuje się, że nie może. Utkwił, leżąc na boku, z policzkiem przyciśniętym do naprężonej tkaniny. Usiłuje się odepchnąć, wyprostować. Nie jest w stanie. Patrzy na Angelę, chce, żeby mu pomogła. Ale jej nie ma. Leżak jest pusty, tylko góra od bikini powiewa na

wietrze. Angela zniknęła z plaży. Wszyscy zniknęli z plaży. Piasek robi się czarny. Niebo robi się czarne. Lecz on wciąż słyszy jej wołanie, te bezsensowne sylaby, nawet gdy leżak się zatrząskuje, zamyka go w sobie i ciągnie na brzeg, w fale przyboju.

Trąbka zawodzi, w górę i w dół skali. Roy widzi dwoje małych dzieci, chłopca i dziewczynkę. Wbiegają na wielkie schody i zjeżdżają po poręczy. Tony trąbki wznoszą się, gdy dzieci pędzą do góry, a opadają podczas zjazdu. Przez jego umysł przelatują obrazy. Wchodzi bas, wybija rytm w takt podskoków piłki, którą gonią dzieci. Skok, uderzenie, skok, uderzenie. Wszystko to obok niego, poprzez niego. Podskoki... już nie muzyczne. Coś potrząsa jego ciałem, uderza jego głową o podłoże, nie całkiem twarde i nie całkiem miękkie. Skóra. To jest skórzane. Każdy podskok to ostrzegawcze ukłucie bólu. Pulsowanie w głowie. Ucisk, ale z zewnątrz. Jak gdyby jakaś obręcz ścisnęła mu skronie.

Odgłosy jazdy. Szum opon na asfalcie, samochód jadący z dużą prędkością. Roy leży na skórzanym fotelu. W poprzek dwóch siedzeń. Kubełkowych, z czarnej skóry. To auto Frankiego.

Trąbka. Muzyka w samochodzie. Frankie też tutaj jest. To tylne siedzenia jego auta. Roy nie rozumie, dlaczego tutaj leży.

Dlaczego tak go boli głowa. I chyba ktoś jeszcze powinien z nim być? Jakaś... kobieta?

Podpiera się rękami i usiłuje usiąść. Brak mu siły. Nawet nie drgnął. Chce się odwrócić, zawołać Frankiego, lecz nie może poruszyć ustami. Z ich kącika cieknie ślina, zbiera się pod policzkiem.

Musi podnieść głowę. Podnieść głowę i znaleźć Frankiego. Zapytać go, o co chodzi, co się dzieje. Zbiera się w sobie, napina mięśnie karku. Głowa unosi się, jest w powietrzu, i Roy myśli, że nie jest tak źle, nie było to takie trudne.

Znów przeszywa go ból, przed oczami rozbłyskuje światło i głowa opada z powrotem, twarzą w skórzane obicie. Błękitne niebo, ciepły piach. Wrócił na plażę, na Fidzi, jest tam znów z Angela.

Ponownie twarzą do góry. Może otworzyć oczy na sekundę, nie dłużej. Światło oślepiające. Przenika głowę. Ktoś dyskutuje, słyhać głos Frankiego, coś komuś wyjaśnia, awanturuje się.

Lewa powieka zostaje uniesiona. Twarz, nieznajoma twarz. Lewa powieka opuszczona. Prawa powieka uniesiona. Ta sama twarz. Ciała nie widać. Ktoś w zieleni. Inni są w bieli.

Znów jakiś ruch. Turkot, podskoki. Dokądś go wiozą. Słyhać zapowiedź z głośnika, niewyraźną, choć głośną. Wjeżdżają gdzieś, znów podskok. Chce usiąść, ale nie może. Chyba ma głowę w pasach. Ręce i ciało też.

Próbuje się uwolnić. Nie da rady. Skrepowali go. Nie dają mu się zbliżyć do... do kogoś. To jest ich cel. Żeby się nie mógł ruszyć. Szturchnięcie w ramię. Ukłucie i nic więcej. Ciało zaczyna coś odczuwać. Poświata. Ciężar. Ciepło.

Kiedy Roy się budzi, wie doskonale, że był nieprzytomny. Że na jakiś czas stracił świadomość. Pamięta akcję

w kinie i pamięta wpadkę. Pamięta, że Saif okazał się tajniakiem, że wszystko poszło źle. Pamięta, jak Angela mu się wyrwała. Pamięta strzał i jej krzyk. Nie wie tylko, gdzie się teraz znajduje. Głos Frankiego... gdzieś blisko.

— Co to za światełka? — pada pytanie. Inny głos, kobiecy, ale nie Angeli. Surowy.

— Proszę tego nie dotykać, proszę pana! To delikatna aparatura.

— To pokazuje, kiedy on się obudzi, tak? — pyta Frankie. — Czy w ogóle się obudzi, tak?

— To bardzo drogi sprzęt, niech pan nie dotyka. Roy otwiera oczy. Jasno, ale do wytrzymania. Światło nie rani mu źrenic jak poprzednio. Czysty, biały sufit. Czysta, biała pościel. Stęka, próbuje znów unieść głowę.

Nagle pojawia się nad nim twarz Frankiego, wypełnia cały obraz. Nieproporcjonalna, nieostra. Wielkie, wystające zęby, wybałuszone oczy. Ale to Frankie.

— Proszę pani! — krzyczy, niemal wrzeszczy w twarz Royowi.

— On się budzi! — Frankie klęczy przy łóżku, tuż przy głowie Roya. — Hej, misiek, wróciłeś do nas?

Roy usiłuje skinąć głową. Ledwie drgnęła. Przebiegająca truchtem pielęgniarzka spostrzega ten ruch.

— Pójdę po doktora — mówi i wybiega z pokoju. Frankie zamyka za nią drzwi i wraca do Roya.

— Chłopie, ale się o ciebie martwiłem — mówi.

Roy usiłuje posklejać to wszystko w jakąś całość. Przetworzyć samodzielnie te informacje. Jest jednak na to zbyt zmęczony.

Chociaż dopiero co się obudził, czuje się bardzo znużony. Skupia się na sformułowaniu pierwszego słowa.

— Gdzie ja...

— Szpital Ogólny w Tapper — odpowiada Frankie. Roy nie wie, gdzie to jest, w życiu nie słyszał o Tapper. — Nie mogłem cię zawieźć do szpitala w mieście, bo tam mogliby cię szukać.

Przejechaliśmy jakieś trzysta pięćdziesiąt kilometrów, stary.

Zbladłeś już tak, że zacząłem się niepokoić i uznałem, że dość tej jazdy. Byłeś nieprzytomny prawie przez dwa dni.

Trzysta pięćdziesiąt kilometrów na tylnym siedzeniu samochodu Frankiego. Z tymi wszystkimi bakteriami. Roy woli o tym nie myśleć. Znowu próbuje się podnieść, ale przy każdym ruchu przeszywa go ból. Frankie kładzie mu rękę na piersi. Jakby położył kawał ołowiu.

— Lepiej leż. Powiedzieli, że powinieneś leżeć. To prywatna klinika, załatwiłem ci ładny pokój. Mają dobrych lekarzy.

Powiedziałem im, że wdałeś się w bójkę w barze i oberwałeś w głowę cegłówką. Chyba to łyknęli.

Roy ma gdzieś, co Frankie im powiedział. Chce znać sytuację, ogólny obraz. Chce wiedzieć, co z Angelą. Próbuje kolejnych słów.

— Co... się... stało?

Twarz Frankiego obleka się grymasem zniesmaczenia.

— Spaprałem sprawę, i tyle — mówi. — Ten Saif... człowieku, znałem go dwa lata, rozumiesz to? I po dwóch latach się okazuje, że to pieprzony pies. Widziałem, jak przez jego ręce przechodzi więcej towaru niż przez połowę kolesiów z ulicy razem wziętych, a on nagle chce nas aresztować!

— Nie. Co... się stało... później?

— Później? Zbyt pięknie to nie wyglądało. Tych dwóch

mundurowych zaczęło cię walić po głowie pałami. Marco się zmył. Ja też bym to zrobił, ale jak zobaczyłem, że cię tak tłuką, stary, nie wytrzymałem, rozumiesz? Rzuciłem się na jednego i zacząłem mu spuszczać łomot...

— Angela...

Frankie nie patrzy na niego.

— Silny był sukinsyn, mówię ci. Bicepsy jak... no, po prostu potęga. Ale udało mi się go walnąć sierpowym w szczękę...

Ręka Roya wyskakuje, chwytą Frankiego za klapy i przyciąga blisko. Włożył w ten ruch całą swoją siłę.

— Angela — szepcze. Ślina pryska na twarz Frankiego. — Co z Angellą?

Frankie próbuje się wyrwać, ale bez skutku.

— Dorwali ją. — Wzdycha ciężko. — Gliny ją zwinęły. Z ciała Roya uchodzi cała siła, ręka puszcza marynarkę

Frankiego, zwisa bezwładnie z boku łóżka. Powieki zaciśnięte. Pokój znika.

— Zrobił się straszny burdel — ciągnie Frankie. — Na zewnątrz było jeszcze więcej glin, czekali na rozkaz. Wyciągnąłem cię tylnym wyjściem, przekradałem się w zupełnych ciemnościach. Roy usiłuje pomyśleć, przypomnieć sobie nazwisko swojego adwokata. Zastanawia się, czy prawnik zajmuje się sprawami kryminalnymi, czy będzie mógł mu pomóc.

— Ona... niczego nie zrobiła — mówi. — Zeznam to przed sądem.

— Roy, to nie...

— Sam się zgłoszę. Pójdę na policję i powiem im, że to ja ją tam zaciągnąłem, że ona nie miała z tym nic wspólnego. Powiem, że była...

— Roy — przerywa mu Frankie — to nie o to chodzi. To w ogóle... — Bierze głęboki oddech. — Roy, ona zabiła gliniarza. — Co?

— Zabiła policjanta. Angela zabiła Saifa.

Roy zaciska teraz mocno powieki, odgradza się od całego świata.

— Nie, nie, coś ci się poplątało, przecież...

— Walczyli ze sobą — ciągnie Frankie, a każde jego słowo jest dla Roya jak cios w serce. — Walczyli o pistolet, Angela już trzymała na nim rękę i nagle padły strzały, jeden strzał właściwie. I Saif upadł na ziemię. Wtedy wbiegli tamci gliniarze, no i było po wszystkim.

— Nie, nie. — Roy nie chce tego słuchać. Nie może tego słuchać. Szum morza. Odgłosy plaży.

— Angela zastrzeliła policjanta, Roy, taka jest prawda. Nie chciała tego, ale stało się.

Roy zbiera się w sobie. Musi mu się rozjaśnić w głowie, żeby mógł trzeźwo pomyśleć.

— Gdzie ona jest? — pyta.

— W areszcie okręgowym. Dzwoniłem do paru kumpli, dowiadywałem się o nią.

— Oddział dla młodocianych? Frankie kręci głową.

— Zamknęli ją z dorosłymi. Jutro mają ją przewieźć do więzienia.

Roy pamięta poprzedni raz, kiedy ją zatrzymano, jak bardzo to przeżywała jeszcze długo po wyjściu z komisariatu. Ma czternaście lat, to nie jest miejsce dla takiego dziecka. Ona tam umrze. Albo ją zabiją.

— Nie mogłeś wpłacić kaucji? Ona musi wyjść, nie może tam zostać.

— Nie mam takiej kasy, Roy. Gliny zabrały torbę z gotówką.

— Ile wynosi kaucja?

— Człowieku, ona zabiła gliniarza!

— Ile?

— Pół melona — mówi cicho Frankie. — Dzisiaj rano sędzia tyle wyznaczył. Przykro mi.

Roy bierze głęboki oddech. Z wysiłkiem. Musi być jakiś sposób, żeby to załatwić.

— A co z Dominikiem? — pyta. Mają znajomego, który zawsze jest gotów złożyć poręczenie w sądzie i wpłacić pieniądze. Tak na wszelki wypadek.

— Nie ma szans, Roy. Dom wyjechał z miasta, a Eddie nic nie zrobi pod nieobecność szefa.

— A Jackie?

— Pytałem go, ale nie chciał. Nikt się nie zgodzi poręczyć w takiej sprawie, Roy. Ona zabiła policjanta. Nie wejdą w to, bo nie mamy zabezpieczenia. Gdybym miał taką kasę...

— Ja mam — szepcze Roy. Decyzja podjęta.

— Jak to?

— Mam pieniądze. Mam tyle.

— Mówisz poważnie?

Roy kiwa głową. Już nie boli tak jak poprzednio.

— Tak, mogę zapłacić tę kaucję. — Znow próbuje usiąść. Ból przeszywa mu czaszkę, pokój robi się ciemny, ściany zamykają się nad nim. Pada z powrotem na łóżko. Nie da rady. Przez jakiś czas donikąd się nie wybierze.

— Ty musisz to załatwić — mówi do Frankiego. — Musisz ją wydostać.

— Ja? Człowieku, jak tylko wejść na komisariat, jestem trupem.

— To poprosisz doktora Kleina, kogokolwiek. Powiem ci, gdzie są pieniądze, jak je stamtąd wyciągnąć, a ty znajdziesz pełnomocnika i on załatwi sprawę. — Roy patrzył na Frankiego błagalnie. — Zrobisz to dla mnie, prawda?

— Dobrze — odpowiada jego wspólnik. — Dobrze, Roy, zrobię to dla ciebie.

Roy wypuszcza głośno powietrze. W tle słychać sygnał aparatury kontrolnej.

— Mam konto w Grand National Bank na Kajmanach — wyznał. Podaje Frankiemu czternastocyfrowy numer konta. Każe mu go powtarzać tak długo, aż Frankie się nauczy na pamięć. — Kiedy cię zapytają o hasło, to powiesz anafranil. Powtórz.

— Anafranil.

— Dobrze. Powiedz im, żeby przelali pół miliona na konto Kleina w Stanach. Będą marudzić, ale nie ustępuj. Potem wydostań jak najszybciej Angelę. Jeżeli będziesz mógł tu do mnie z nią przyjechać, to przyjedź. Jeżeli nie, ukryj ją gdzieś. Frankie chwyta go za rękę i mocno ściska.

— Wyjdziemy z tego, wspólniku — zapewnia. — Wszystko będzie dobrze, co?

— Jasne. — Roy parska gorzkim śmiechem. — Wszystko będzie świetnie.

Chwilę później otwierają się drzwi i wchodzi pielęgniarka, a za nią sznur lekarzy. Frankie odkłada dłoń

Roya na kółdę, klepie lekarzy po ramieniu, życzy im wszystkim powodzenia i wychodzi z pokoju. W drzwiach odwraca się jeszcze, żeby ostatni raz powiedzieć Royowi do widzenia. Ale już go nie widzi. Dostrzega tylko małą, skuloną postać, otoczoną kurtyną białych fartuchów i plastikowych rurek.

Minęły dwa dni, a Roy nie dostał od nikogo znaku życia. Nikt nie zadzwonił, nikt go nie odwiedził. Zaczyna się martwić, że coś poszło nie tak, że może przymknęli Frankiego. Próbował dzwonić do niego, do jego domu, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Roy nie zostawił wiadomości, bo gliny mogły mieć telefon na podsłuchu. Centrala przychodni Kleina też na nic. Rozłączył się, zanim kobieta w ogóle zaczęła mówić. Już miał z nią do czynienia i nie chciał powtórki.

Lekarze powiedzieli, że to wstrząs. Bardzo poważny uraz, ale nic nie zostało złamane. Nie trzeba interwencji chirurgicznej.

Odpoczynek i relaks, żadnych gwałtownych ruchów łepetyną. Powiedzieli, że mózg mu obrzękł od ciosów i ciśnienie pozbawiło go przytomności na czterdzieści osiem godzin, ale mogło być dużo gorzej, bo zwykle to się kończy śpiączką. Powiedzieli, że się cieszą, że tak dobrze to zniósł. Roy tylko się zaśmiał, a oni zalecili kolejne badania.

Już się nie martwi swoim wstrząsem. Martwi się Angelą. Myśli o niej nie odstępują go od dwóch dni i wyrywają ze snu, gdy powinien odpoczywać. Widzi ją w więzieniu. Z innymi osadzonymi kobietami. Jak płacze, dopóki nie

zaśnie, bo nie rozumie, dlaczego o niej zapomniał. Musi koniecznie się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Z Frankiem także, ale przede wszystkim z Angelą.

Roy naciska guzik przywoływania pielęgniarki. Dotąd starał się go nie używać, zachować na trudne sytuacje. Pielęgniarka zjawia się błyskawicznie, tak jak się spodziewał.

— Czy coś się stało? — pyta.

— Nie, chciałem się tylko dowiedzieć, czy kogoś u mnie nie było, kiedy spałem.

— Raczej nie.

— Może dziewczynka, taka czternastoletnia? Włosy do ramion. Albo chudy facet z zapadniętymi oczami?

Pielęgniarka wzrusza ramionami.

— Jestem na dyżurze od rana i nie sędzę, żeby miał pan jakichś gości. Przykro mi.

— To moja córka. Miała wyjść z... miała mnie odwiedzić. Czeka na nią.

Kobieta kiwa ze zrozumieniem głową.

— Tak bywa — mówi. — Ludzie są zajęci, zapominają...

— Nie, nie, ja... no dobrze. Dobrze. — Roy rozgląda się po pokoju, patrzy na wiszące na krześle ubranie, na otwarte drzwi do łazienki. Siada na łóżku, krzywiąc się z wysiłku. Ale jest nieźle. Można wytrzymać. — A telefony? Może ktoś dzwonił?

Pielęgniarka pokazuje na beżowy aparat, stojący tuż przy łóżku.

— To jest pański telefon. Prywatny pokój, prywatna linia. Skoro nie zadzwonił, to nikt do pana nie telefonował.

— Rozumiem — mówi Roy. — Ale może spałem i rozmowa była przełączona do dyżurki?

— Nie przyjmujemy wiadomości dla pacjentów.

— Może ktoś jednak przyjął. Ludzie czasami robią takie rzeczy, jak się ich ładnie poprosi. — Głos Roya łagodnieje. Prosi grzecznie. — Czy mogłaby pani to sprawdzić? Może jest jednak jakaś wiadomość dla mnie. Bardzo panią proszę.

Pielegniarka wzdycha ciężko. Zamierza odmówić, lecz nie robi tego.

— Zaraz wracam — oświadcza. Wychodzi z pokoju Roya, idzie na koniec korytarza, do dyżurki.

— Nicole — mówi, podchodząc do biurka recepcjonistki — czy była może jakaś wiadomość dla pacjenta z dwieście osiemnaście?

— Przecież wiesz, kochanie, że nie przyjmujemy wiadomości. Czy ja wyglądam jak automatyczna sekretarka?

— Właśnie mu to powiedziałam, ale się uparł.

— To powiedz mu jeszcze raz.

Pielegniarka człapie korytarzem z powrotem do pokoju Roya. Otwiera drzwi i wsuwa przez nie głowę.

— Tak jak panu mówiłam — zaczyna. — Nie przyjmujemy...

Pokój jest pusty. Łóżko zaścielone, kołdra równiutko wygładzona. Światło zgaszone. Zniknęła karta z historią choroby. Jakby w ogóle nikogo tu nie było. Jakby już posprzątało pokój na przyjęcie następnego chorego.

Podróż taksówką z powrotem do miasta sporo kosztowała, ale Roy miał szczęście. Zwitek banknotów wciąż

tkwił w kieszeni spodni, które miał w kinie, a potem w szpitalu. Sto pięćdziesiąt dolarów później wciąż ma przy sobie jeszcze osiemdziesiąt. Wystarczy na jazdę po mieście. Nie chce wracać do swojego domu po samochód, dopóki się nie przekona, czy nie czekają tam na niego.

Taksówka staje pod budynkiem, w którym mieszka Frankie. Okna o zielonkawych szybach spoglądają na niego z góry, odbijając słońce. Oślepiając go. Każe kierowcy poczekać, a ten chętnie się godzi. Lepszego kursu nie miał od tygodni.

Mieszkanie numer sześćset osiemnaście, tyle zapamiętał. Znajduje nazwisko Frankiego w spisie lokatorów i wbija kod na klawiaturze. Czeką na odpowiedź.

Sygnal taki sam jak przy telefonowaniu. Odzywa się poczta głosowa Frankiego. Roy nie wie, co zrobić. Frankie czasami nie odbiera telefonów, może teraz też śpi.

Z windy wychodzi któryś z mieszkańców i zmierza do wyjścia. Roy obserwuje go przez szybę w drzwiach. Udaje, że rozmawia: „To co, mam wejść na górę?”. Mówi to bardzo głośno. „Dobra, to musisz mi otworzyć”. Mężczyzna w ogóle na niego nie patrzy, wychodzi z budynku, nie zamykając za sobą drzwi. „Zaraz będę”, rzucił jeszcze Roy, wślizguje się do korytarza i rusza w stronę windy.

Na szóstym piętrze znajduje drzwi z numerem sześćset osiemnaście. Przypomina mu się układ budynku, już jest pewien, że to mieszkanie Frankiego. Naciska dzwonek i czeka. W mieszkaniu rozlega się dźwięk gongu, ale nie słychać żadnego ruchu.

Roy wali w drzwi pięścią, łomocze w szybkim rytmie.

— Frankie! — woła, chcąc przebić się głosem do wnętrza. — Frankie, to ja, otwieraj! — Patrzy na dywan,

na koliste wzory. Sprawdza, czy dojrzy smugi brudu. Chyba że dywan jest czysty.

Znowu dobija się do drzwi, tym razem stukając mocno knykciami.

— No już, Frankie! — krzyczy na cały głos. — Otwieraj, jeśli jesteś w domu!

Ktoś klepie go w ramię. Przez głowę przemykają mu obrazy... Frankie, Angela, lecz przede wszystkim policja. Obserwowali dom. Znaleźli go i zaraz zamkną. To koniec.

Roy odwraca się przygarbiony, zrezygnowany. Spodziewa się zobaczyć mundurowego. Tymczasem stoi przed nim niski staruszek, tak z metr sześćdziesiąt w kapeluszu. Niebieski garnitur, zbyt szeroki pasek. Tupecik niepasu-jący kolorem do resztki naturalnych włosów.

— Szuka pan tego gościa, który tutaj mieszkał?

— Tak — odpowiada Roy. — Tak, szukam... zaraz, zaraz, jak to... mieszkał?

— Wczoraj się wyprowadził. Strasznie nabałaganił. Ciągnęli skrzynie po dywanie, poskarżyłem się gospodarzowi domu.

— Nie pomyliło się panu? Na pewno się wyprowadził?

— No tak, razem z córką. Ładna dziewczyna, ale gęba niewyparzona.

Córka. Angela. Frankie widocznie wy dostał ją z pierdła i postanowił się ukryć. Dobrze. Doskonale.

— Jakież czternaście lat? — dopytuje Roy. — Długie włosy? Staruszek wzrusza ramionami.

— Ja tam się już nie oglądam za młodymi dziewczynami, ale chyba tak jak pan mówi.

Roy jest już w połowie korytarza. Pędzi do windy. Musi ich znaleźć i wie, kto mu będzie mógł pomóc.

— Dzięki! — woła przez ramię do starszka. — Dziękuję bardzo. Dziadek jednak nie daje się ugłaskać.

— Pan powie swojemu koledze, że będzie się jeszcze musiał mocno tłumaczyć! Ja tego tak nie zostawię!

Jazda do gabinetu doktora Kleina trwa długo z powodu korków, a taksówkarz nie przestaje opowiadać o swoim marzeniu, żeby otworzyć restaurację. Roy siedzi z tyłu. Rozmyśla. Usiłuje nie myśleć. Wygląda przez okno i stara się nie dopuszczać myśli do siebie.

Docierają do Kleina tuż przed siedemnastą i Roy modli się w duchu, żeby doktor jeszcze był. Znowu każe kierowcy czekać, obiecuje mu dwudziestkę ekstra. Kończy mu się gotówka, ale w domu ma jeszcze kupkę banknotów w ceramicznym koniu. Jeżeli uda mu się tam dostać, będzie mógł zapłacić ile trzeba. Jeżeli nie, to gdzieś pożyczy albo wyroluje gościa. Na jedno wychodzi. Czeka na windę dwie minuty, po czym uświadamia sobie, że jest zepsuta. Jest nawet kartka obok guzika. Rusza więc do schodów i wbiega na górę. Cztery piętra; na trzecim już ciężko dyszy. Musi zwolnić i pokonuje ostatnie piętro, wlokąc się stopień za stopniem.

Gabinet Kleina jest na końcu korytarza. Roy przyspiesza kroku, patrzy na zegarek. Chyba zdążył, Klein siedzi zazwyczaj około kwadransa dłużej. Za chwilę się okaże.

Chwyta za klamkę i naciska ją, a sekundę później jego ciało zderza się z drzwiami. Dziwne. Naciska klamkę

ponownie i napiera mocno, ale drzwi ani drgną. Zacięły się? Roy uderza w nie barkiem. Na próżno.

Czyli zamknięte. Wcześniej dzisiaj skończyli czy co? Wali w drzwi pięścią, krzyczy do kogoś, kto może jest w środku, lecz odpowiada mu cisza. To bez sensu.

Cofa się o krok, próbuje zrozumieć. Drzwi wyglądają jakoś inaczej. Miejsce się zgadza, ale drzwi się zmieniły. Niby te same, lecz jakieś... większe? Wyższe?

W końcu zrozumiał. Nie są wcale wyższe, tylko zniknęła tabliczka. Złota tabliczka z nazwiskiem doktora Kleina.

Zamiast niej wisi kartka, przyklepiona taśmą. Biała, z czerwonym napisem. Dziwne, że jej od razu nie zobaczył. Nie chciał zobaczyć. I nie chce jej widzieć. Ale ona wciąż wisi.

Pokoje biurowe do wynajęcia, głosi napis. Informacja u gospodarza obiektu.

Na ulicy jest cicho i niemal pusto. Przejeżdża jakiś dzieciak na rowerze i rzuca Royowi kose spojrzenie. On nawet tego nie zauważa. Stoi na środku drogi i wpatruje się w trzymaną w ręce kartkę. Litery i cyfry co chwila się rozmazują. Roy chyba sporo wypił. Na kartce jest adres, adres domu, przed którym właśnie stoi. Nieduży, żółty wiejski domek. Ale trawnik ładnie utrzymany, dach solidny.

Roy wolałby nie dzwonić, lecz nie ma wyboru. Jeżeli chce ją znaleźć, musi to zrobić. Wie, co się wydarzy, kiedy zadzwoni. Kiedy drzwi zostaną otwarte. Nie chce przyjąć tego do wiadomości. Jeszcze nie teraz. Więc trochę zaczeka.

Kwadrans później wciąż stoi na środku ulicy z kartką w ręce. Wpatruje się w dom. Drzwi się otwierają.

Wychodzi z nich kobieta ubrana w zwykłą koszulkę z krótkimi rękawami i bawełniane spodnie. Szczupła, niemal zbyt szczupła, włosy związane wysoko w ciasny koński ogon. Roy widział ją ostatnio przed piętnastu laty, lecz poznaje natychmiast. Przez moment ma ochotę rzucić się do ucieczki, ale stoi dzielnie w miejscu.

— Szuka pan kogoś? — woła kobieta. Podchodzi bliżej, zostawia sobie otwartą drogę odwrotu, na wypadek gdyby facet się na nią rzucił. Gdyby okazał się jakimś świrem.

— Cześć — mówi Roy. Głos ma ochryply, jak nie swój. Ale to bez znaczenia.

— Cześć — odpowiada kobieta.

— Witaj, Heather.

On zna jej imię. Heather podchodzi jeszcze krok bliżej i coś zaczyna jej świtać.

— Roy? O Boże... Roy, to ty. Roy kiwa głową. Patrzy na kartkę.

— Znalazłem twój adres w książce telefonicznej — mówi. Ona stoi już naprzeciwko niego, na chodniku. On wciąż na jezdni. — Był w książce przez te wszystkie lata.

— No jasne. Czemu by miał nie być.

— Właśnie. — Roy kiwa głową.

Stoją tak i milczą. Heather już zamierza zaprosić go do środka, gdy Roy pyta:

— Widziałaś ją dzisiaj?

— Kogo?

— Angełę.

— Czy ja... Roy, ty jesteś może chory?

— Stało się coś złego. Z Angką.

Heather kręci głową i robi kolejny krok, jakby go chciała wziąć pod rękę i zaprowadzić do domu.

— Może napijesz się kawy? Mogę ci zrobić.

— Chodzi o Angelę — ciągnie Roy. — Wiem, że coś się jej przydarzyło i pomyślałem, że może zajrzała tutaj przed... wyjazdem.

— Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

— O Angeli! — wyrzuca z siebie Roy i cofa się chwiejnie, strącając z ramienia dłoń Heather. — O naszej córce! Mówię o naszej córce!

Dlaczego to do niej nie dociera?

Heather długo milczy. Roy ma nadzieję, że jego była żona pójdzie po rozum do głowy. Zacznie mówić rozsądnie.

— Naprawdę nie wiem, co ty kombinujesz. I nie wiem, dlaczego to robisz. Jeżeli chcesz wejść...

— Heather, błagam cię. — Roy jest bliski łez. Pierwszy raz w życiu zbiera mu się na płacz. — Nie rób mi tego. Musimy porozmawiać o naszej córce, bo...

— My nie mamy żadnej córki! — krzyczy Heather. Jej przenikliwy głos rani boleśnie jego uszy.

— Oczywiście, że mamy! Mamy Angelę! Przyjeżdżała do mnie co kilka tygodni, mieszkała u mnie...

— Ja nie mam z tobą dziecka, Roy. — Widać, że Heather jest bliska wybuchu, gniew wzbiera w niej z każdą chwilą. — Nie mam z tobą córki i nigdy nie miałam.

Roy kręci gwałtownie głową. Ulica wiruje, ładny żółty domek nagle odchyła się od pionu.

— Przecież jak odchodziłaś, byłaś w ciąży — mówi.

— Przestań!

— Urodziłaś ją beze mnie, ale to jest też moja córka.

— Przestań natychmiast!

— Angela jest też moją córką.

— Usunęłam ciążę, rozumiesz, Roy, czy nie? Po to się tutaj zjawileś nagle, po piętnastu latach, żeby się tego dowiedzieć? Usunęłam ciążę, i niech cię szlag trafi!

Roy milczy. Patrzy pustym wzrokiem przed siebie. Na żółty domek. Na zielony trawnik. Na porządny dach.

— Nie mieliśmy żadnej córki — powtarza Heather, już ciszej i spokojniej, ruszając w stronę domu. — I nigdy nie będziemy mieli. Do widzenia, Roy. — Milknie na chwilę. — I nie przychodź więcej.

Wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Roy stoi na środku ulicy. Wpatruje się w cyfry na kartce. Numer się zgadza z tym na budynku. To dom Heather. Powinna w nim mieszkać Angela. Godzinę później jest w swojej norze. Siedzi oparty plecami o łóżko należące kiedyś do Angeli. W jednej ręce telefon, w drugiej butelka rumu. Pokaleczone stopy i nogi. Ale on ma to gdzieś. Nie czuje bólu. Patrzy na pokój, na szczątki ceramicznego konia, roztrzaskanego na milion kawałków. W środku już nic nie było. Patrzy na to nic. Wpatruje się w pustą ścianę. I tak już chce zostać. Tak się to powinno skończyć. Tak zostało zaplanowane od samego początku, od pierwszego ruchu w grze. Tak łatwo poskładać to teraz w całość. Tak trudno o tym myśleć. Telefonuje, wiedząc już z góry, co się wydarzy. Wiedząc, co usłyszy. Grał w tę grę tyle razy, że wie, jak się skończy. Był mistrzem przekreślenia i został załatwiony mistrzowskim przekreśleniem. Już za późno. Już po wszystkim.

W banku na Kajmanach podnoszą słuchawkę i Roy podaje numer konta, a potem hasło. Czekają, podczas gdy oni sprawdzają jego rachunek. Czekają, aż podadzą mu stan. Czekają, aż powiedzą, że jest zerowy. Czekają, aż go spytają, czy jeszcze czymś mogą służyć. Czekają, aż go spytają ponownie, zaczną wołać do słuchawki. Dopytywać się, czy wszystko w porządku. Czy jeszcze jest przy telefonie. Głos dobiega z oddali, jak gdyby Roy odpłynął daleko łodzią, a reszta świata została w porcie. Dryfuje w samotnym rejsie, a wokół pusto. W drodze donikąd, zostawiwszy wszystko i wszystkich za sobą. Tylko łódź, błękit wody i bezkres oceanu; reszta zniknęła za horyzontem.

Zero

Roy wchodzi do baru i siada przy bufecie. Nie pamięta, kiedy tu był po raz ostatni. Może kilka dni temu, może kilka tygodni. Kontuar jest brudny, upaprany tłuszczem na brzegach. Roy znajduje miejsce trochę czystsze od innych i siada. Próbuje rozsiaść się wygodnie, ale na stołku nie ma zbyt wiele miejsca. Podchodzi kelnerka.

— Gdzie pański przyjaciel?

— Nie wiem.

Skinienie głową. Bez dalszych pytań.

— Indyk na żytniej grzance? — domyśla się kelnerka. Roy wzrusza ramionami. Brzmi nieźle. Dziewczyna odchodzi. W barze jest dziś pustawo. Tak to czasami bywa. W niektórych godzinach tłok, a za chwilę pusto. Roy pamięta to z dawnych czasów. Jak ludzie wchodzili i wychodzili. Jak ich taksował wzrokiem. Jak razem z Frankiem obserwowali ich przy jedzeniu. Z prawej strony słyszy jakąś rozmowę, stłumione głosy.

Nie musi nasłuchiwać, jest jasne, że to dzieciaki z uczelni. Śmieją się, chichoczą. Coraz więcej ich tu przychodzi. Roy zastanawia się, czy nie zacząć jadać gdzieś indziej.

— Słuchaj, znam nową sztuczkę — mówi jeden głośno. — To znaczy, nową grę. Jest świetna.

— Przestań — odpowiada drugi równie głośno. Równie wyraźnie. — Ty i te twoje sztuczki...

Roy przymyka oczy. Czuje z zaplecza woń smażenia. Czuje pod stopami brud wtarty w podłogę baru. Słyszy brzęk naczyń, pogwarki obsługi. Smakuje nasycone tłuszczem powietrze.

— Nie, nie — ciągnie pierwszy chłopak. — Ta naprawdę jest super. Już ją opanowałem.

Ktoś dotyka jego ramienia. Prawego. Roy otwiera oczy. Odwraca się. To jeden ze studentów, brunecik w dresowej bluzie.

Uśmiechnięty.

— Przepraszam pana — zagaduje — chciałby pan może popatrzeć, jak mojemu kumplowi nie wychodzi sztuczka karciana?

Roy bierze głęboki oddech. Przygląda się obu chłopakom. Wciąż się uśmiechają, jakby ta sztuczka już im wyszła. Jakby już mieli gotówkę w kieszeni.

— Jasne, czemu nie — zgadza się. — Mogę popatrzeć.

Przedstawiają mu się jako Bob i Dan i rozpoczynają grę.

— Niech pan wybierze jedną kartę — mówi Dan — i nie pokazuje mi jej. — Roy wyciąga kartę z talii. To dzoker. — Dobrze, teraz proszę ją włożyć z powrotem w dowolne miejsce. Doskonale.

Dan tasuje karty, a Roy zatapia się w rozmyślaniach. A może Frankie też w tej chwili robi ten przekręt. Może Angela — czy też jak tam się ona naprawdę nazywa —

odgrywa rolę tego drugiego. Ciekawe, czy idzie im lepiej niż tym dwóm sztywnym studenciakom. Na pewno tak. Tamci dwoje potrafią wykonać każdy numer.

— Uwaga! — Dan przesuwa palcem po brzegu talii. — Teraz będę kolejno wykladał karty, aż znajdę pańską, rozumie pan? — Zaczyna rzucać karty na stół, twarzami do góry. W końcu pokazuje się dzoker i Roy widzi, jak kumpel Dana puszcza do niego oko. Robi to tak niezręcznie, że ślepy by zauważył, lecz Roy nie daje po sobie niczego poznać.

— No widzisz — odzywa się Bob, trochę spóźniony ze swoim wejściem — mówiłem, że jesteś cienki w te klocki.

— Zaczekaj chwilkę — odpowiada Dan. Nieruchomieje, namyśla się. — Chcesz się założyć, że następna karta, którą wyłożę... znaczy się, którą odwrócę... *odwrócę*... to będzie ta właściwa?

Bob grzebie w kieszeni i wyciąga banknot dziesięciodolarowy. Kładzie go z rozmachem na stole.

— Wchodzę — mówi i odwraca się do Roya, który znów ma zamknięte oczy. — Halo, panie szanowny? — Roy się otrząsa, patrzy na leżącego na stole dzokera, czekającego na zamknięcie gry. Na finałowy przekręt. — Chce pan też się założyć?

Roy kiwa głową, wstaje, szuka w kieszeniach spodni. Wyjmuje banknoty, półdolarówki, dziesiątki i centy. Wszystko, co ma. Opaskę z nazwiskiem ze szpitala, rachunki z kolacji z Angełą. Jeszcze kilka dolarów z kieszeni marynarki. Gromadzi to na kupce, przesuwa na środek stołu. Czterdzieści siedem dolarów. Cały jego majątek.

Studenciaki popatrują na siebie, wzruszają ramionami.

— Teraz będą czary-mary — mówi Dan. — Powiedziałem, że następna karta, która odwróce, to będzie ta właściwa, prawda? *Voilà!* — Niezgrabnym ruchem odwraca dzokera obrazkiem do dołu i wybuchają obaj donośnym śmiechem. Roy siedzi spokojnie, kiwając głową, z nikłym uśmieszkiem w kącikach ust. Dan chowa pieniądze do portfela. Bob klepie Roya w ramię.

— To było dobre. Sam pan chyba przyzna, że sztuczka jest super, no nie?

— Oczywiście. Oczywiście.

— Nie ma pan żalu?

— Nie mam żalu.

Bob z Danem nie przestają sobie gratulować, zamawiają ciastka i napoje. Roy odwraca się z powrotem do kontuaru, czeka na swego indyka na żytniej grzance. Już nie ma czym za niego zapłacić, ale to nie jego zmartwienie. Może zmartwienie kelnerki, ale nie jego.

— Powinien pan na siebie uważać — rzuca do niego Dan, wciąż rozpromieniony triumfem. — To taka przyjacielska rada, wie pan? Dzisiaj nikomu nie można zaufać.

— Właśnie — dodaje jego kolega. — Następnym razem niech pan bardziej uważa. To może być coś gorszego niż taki numer z kartami.

Roy nie odpowiada. Wkrótce dostanie swojego indyka i będzie go jadł. Co potem, nie wie. Już bardzo dawno tak się nie czuł. Nie wiedząc. Nie planując. Ale na pewno zje indyka i napije się kawy, tyle wie. A potem coś się pojawi. Znajdzie się coś do zrobienia. Znajdzie się sposób, żeby to zrobić. W końcu to jego bar. Tak samo dobre miejsce na nowy początek jak każde inne.